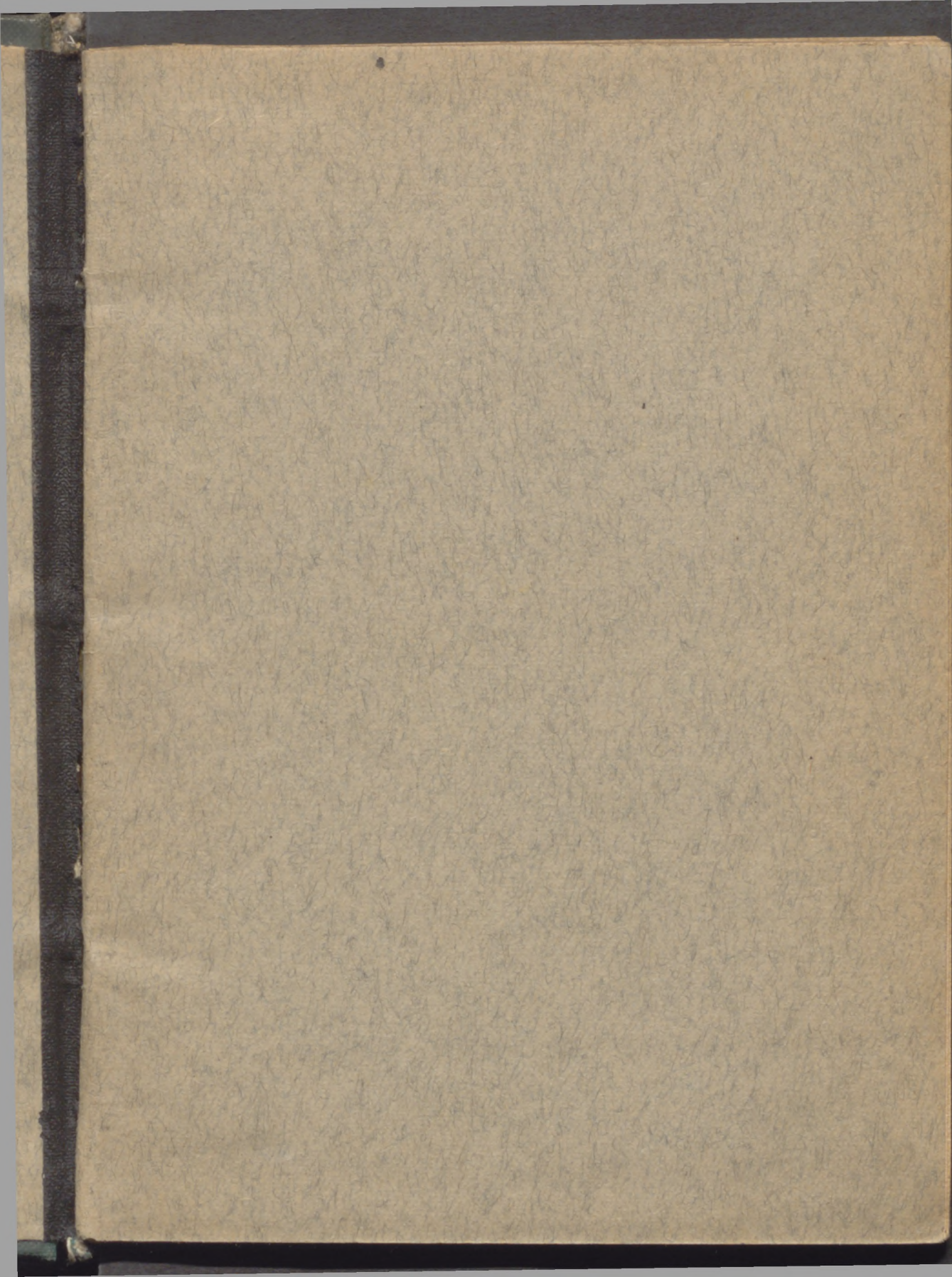


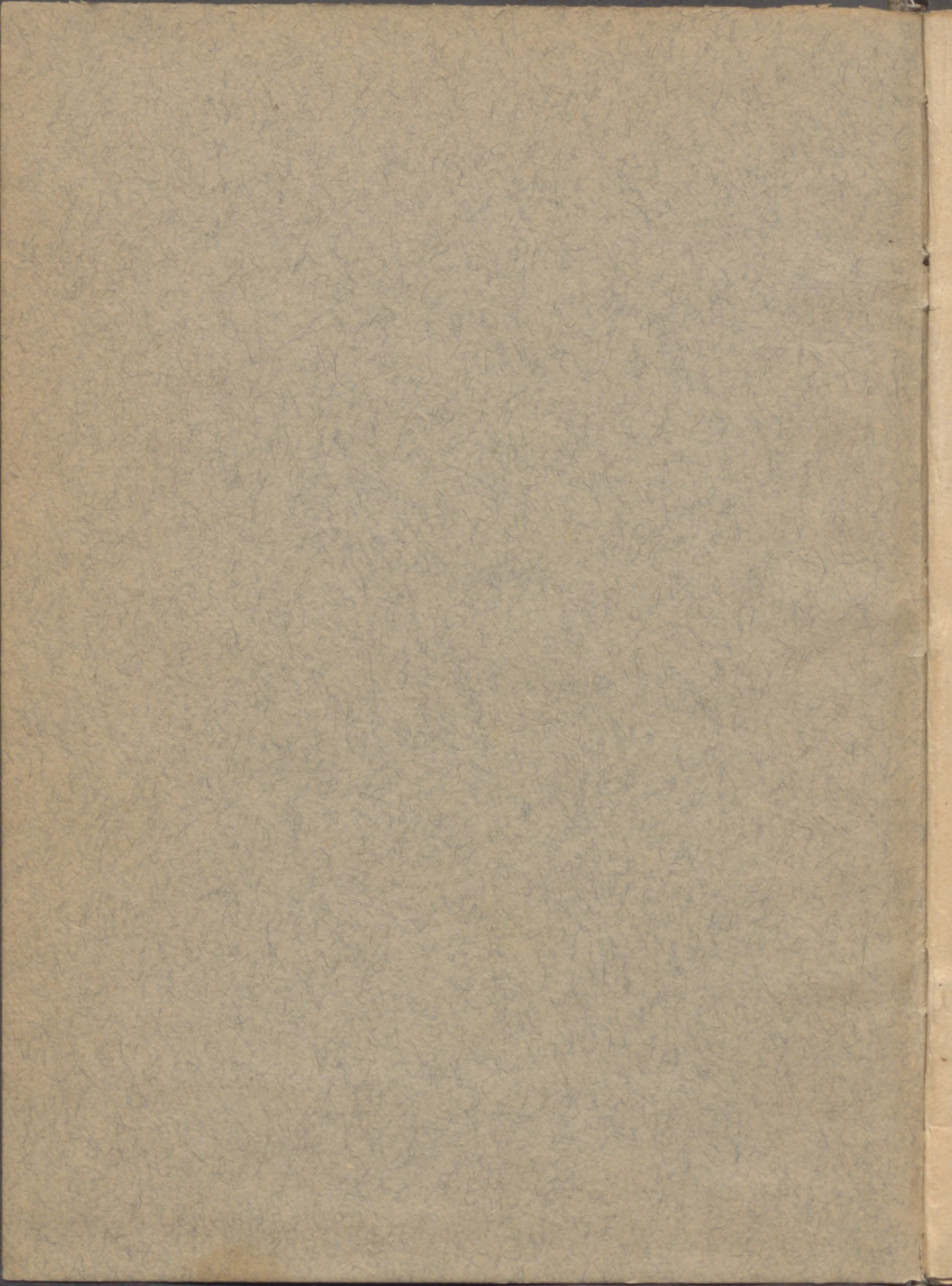
188

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

254723/1







693749

~~XXXXXXXXXX~~
Dr. W. MIKLASZEWSKI.

N^o 190

MEMORABILIA

(PAMIĘTNIK od 1. VIII. 1914 do 1. IX. 1915)

*„O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem...”*

~~188.~~



WARSZAWA — 1929.
NAKLADEM AUTORA

Ku uczczeniu

X-cio LECIA

WSKRZESZENIA POLSKI

wychodzi pamiętnik z czasów wojny światowej
d-ra W. Miklaszewskiego

Dzieło to w 3 tomach (50 ark. = 800 stron) przedstawia:
I-y tom „**Memorabilia**“, poświęcony towarzyszom broni, — stosunki wojskowe i cywilne, następujące orientacje i przeżycia w I-ym roku wojny.

II. „**Diaspora**“, poświęcony towarzyszom tułaczki, — losy wysiedleńców w Rosji, organizację opieki i szkolnictwa dla nich, upadek caratu, powstanie polskich związków wojskowych i społecznych za rządów Kiereńskiego i bolszewików.

III. „**Katabasis**“, poświęcony Komendantowi J. PIŁSUDSKIEMU, — powrót do Kraju, ostatnie miesiące okupacji niemieckiej, powstanie PAŃSTWA POLSKIEGO aż do zwołania sejmu.

254723
Towarzyszom broni ze wszystkich zaborów którzy zrozumieli, że to „**chwila osobliwa**” pamiętnik ten poświęca

AUTOR.



Druk. „**SŁA**” Warszawa, Marszałkowska 71.

K.2389/56.

PRZEDMOWA



Od pierwszych dni wojny światowej można było wyczuć, że jest to zapowiedziana przez naszego Wieszcza wojna ludów. Każdy Polak winien był brać w niej czynny udział, nie zrażając się możliwością przeciwstawienia się rodakowi w szeregach rozbiorców Polski. Trudno! Logiki walki i jej wyniku ostatecznego nie można przewidzieć. Wszak nawet po zawarciu pokoju nie mogą się pogodzić politycy, strategicy, historycy, które czynniki miały wpływ rozstrzygający. To pewna, że wielu uczestników walk stara się podnieść znaczenie w nich swego udziału. Liczba Zagłobów jest legion. Wszelako udział czynny w dokonywajacem się przeobrażeniu wart jest więcej, niż obserwacja z bezpiecznego zakątka i krytyka działań innych. A że mogę powtórzyć za Eneaszem: „gesta, quae vidi, quorumque ipse pars parva fui” (wydarzenia, które widziałem i brałem w nich skromny udział), więc ogłaszam te listy, pisane do żony od pierwszych dni wojny.

Wprawdzie na skromnem stanowisku ordynatora szpitala Ujazdowskiego nie mogłem objąć szerokich widnokręgów; jednak, stykając się z tysiącami wojskowych i cywilnych, poznałem ich nastrój, dążności, czyny. Cechowała je dbałość o samych siebie i pragnienie najszybszego powrotu do pokoju, choćby miał on być podawnemu martwotą, trzebieniem myśli i katem wolności. Co do tego niewolniczego nastawienia nie różnili się zbyt Polacy od Rosjan, Niemców, Tatarów, Żydów. Jedyne legjoniści Komendanta J. Piłsudskiego wnosili pierwiastek wiary w przyszłość „trudu i znoju”, z którego „powstanie Polska, by żyć.”

Pamiętnik odzwierciadla przeżycia i nastroje, o których nie wie nasze młode pokolenie, zrodzone

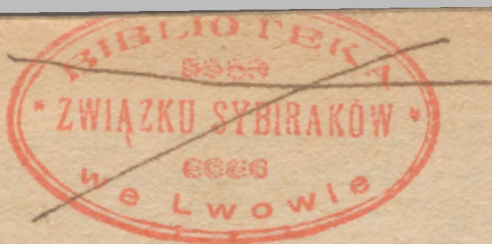
i wychowane w wolności, a stare — zapomniało, pochłonięte kłopotami dnia. Ku pokrzepieniu dusz i ku przestrodze nieświadomych ogłaszam te wspomnienia w tej postaci, w jakiej gromadziły się z biegiem wydarzeń i przeżyć. Niech współcześni mają możliwość spojrzeć wstecz i zmierzyć przestrzeń przebytych piętnastu lat. A może z czasem dziejopis i pisarz poczerpnie stąd materiały, aby odtworzyć minione życie.

Przed kilku laty zaczęli moi słuchacze z Wolnej Wszechnicy wydawać ten pamiętnik przy „Przeglądzie Polskim“, który przestał wychodzić. Może stało się dobrze, że się praca „odleżała“: rzecz, pisana na gorąco, jest zawsze zbyt podmiotowa, a oświeclanie osobistości, które rzuciłyby chętnie zasłonę na swą przeszłość, jest przykre. Gdybym miał pewność, że zdążę jeszcze wydać tę książkę, odłożyłbym jej druk jeszcze na kilka lat. Lecz nie o pieśń mi chodzi i nie oto „że co ma w niej żyć wiecznie, musi zginąć z życia“. Niech z tych kartek poczerpnie młode pokolenie, pochłonięte partyjnictwem, lub zgoła obojętne na sprawy polskie, niech poczerpnie umiłowanie Ojczyzny, poczucia godności narodowej, których tak nam brak!

Nie mogąc odkładać druku, wolę skreślić wiele nazwisk i trochę wydarzeń. Może niejeden będzie dotknięty, żem o nim przemilczał, albo mówił beżimiennie. Zginęli w tłumie. Inni woleliby nie występować zgoła w tych kartkach, żądając dla siebie przywilejów, przyznanych zmarłym: „de vivis aut bene, aut nihil“. Trudno. Kto wysunął się na czoło gromady, wywierał na nią wpływ, kierował jej losami musi ujrzeć odbitkę swego oblicza, odtworzoną przez współczesnych.

Powierniku moich przeżyć, uczuć, myśli, pragnień. Idź na służbę Polsce! Służ wiernie!

Warszawa 11 Listopada 1928 r. Dr. W. Miklaszewski



Warszawa

3 sierpnia 1914 r.

Kochana moja! Dotarłem do Warszawy i jestem w naszym mieszkaniu. Oto wiadomość, która wydała się nieprawdopodobieństwem przed kilku jeszcze godzinami, bo nie tylko towarzysze mej podróży, ale nawet i władze, były przekonane, że moje miasto rodzinne zostało zdobyte przez Niemców, lub stanie się ich łupem w godzinach najbliższych.

Jeżeli powtarzam wraz z innymi, że wojna wypadła niespodzianie, jestem o tyle w porządku, że nie mam pretensji do znajomości polityki z jej robotą zakulisową, szeregiem kłamstw, wykrętów, występków, które zowią się... dyplomacją. W dodatku parę tygodni, jakie przesiedziałem z wami na wsi poleskiej, dokąd wiadomości ze świata dochodziły z wielkim opóźnieniem, pozwoliły zorjentować się wtędy dopiero, że zanoszą się na wojnę europejską po zamachu sarajewskim, gdy przybito na ścianach dworu naszego „ukaz” mobilizacyjny i gdy wyprężono nam konie z pługa, aby się stawiły natychmiast na oględziny w kancelarii gminnej. Dziwny to był obraz! Ze wsi okolicznych ciągnęli chłopcy konno i na wozach, pełni niepokoju, czy nie zabiorą im siły pociągowej, która miała do zwiezienia nie tylko owies, lecz w wielu miejscach jeszcze oziminy, nawet siano. Kto jednak liczyłby się z taką drobnostką, że ludowi grozi głód, o ile nie zgromadzi pod dachem zbiorów?! Wojna wypowiedziana, więc wszystko musi podporządkować się temu jedynemu nakazowi.

I ja mam obowiązek stawić się do Warszawy jako lekarz, chociaż zostałem zwolniony przed 10 laty

od powinności wojskowej na zasadzie „ukazu cesarskiego“. Jednak nowy „ukaz“ zmienił dawny. Wszystko w porządku...

Krótkie było nasze rozstanie. Gdyśmy układali naprędce najpotrzebniejsze rzeczy, widziałem, że łzy kręciły Ci się w oczach, lecz ani jedna nie spłynęła na policzki. Było to dzielnie z Twojej strony, choć wiem, że powetujesz sobie tę wstrzemięźliwość w samotności. Dzieciaki nasze nie zdają sobie jeszcze sprawy z wydarzeń i nie przewidują ich następstw. Szczęsny zdał mi się uszczęśliwiony, że będzie miał rower na swe wyłączne usługi, Halina i Grażyna miały z sobą jakieś porachunki i tylko nasz dwulatek, Aldona, nie chciała się rozstać ze mną, jakgdyby przeczuwając, że rozłąka może potrwać bardzo długo. Szczęśliwy wiek! Chwila pochłania go całkowicie, usuwając z widnokregu odczuwań i myśli cały zakres niepokojów, które nam doświadczonym zatruwają chwilę bieżącą.

Kasjer odmówił mi sprzedania biletu, powołując się na nakaz powstrzymania ruchu ludności cywilnej. Musiałem udowodnić, że jestem powołany do wojska. Pociąg spóźnił się o parę godzin i o dziwo, wbrew zapowiedziom urzędników, był prawie pusty.

Jeszcze jeden uścisk i pocałunek, jedno „do widzenia“ i ciężka machina poleska ruszyła dysząc chrapliwie i ziejąc dymem gryzącym. Patrząc przez okno wagonu, jak bryczka, wioząca cię z powrotem do Dymska, sunie po drodze piaszczystej. Szukasz oczami mego wagonu jakgdybyś miała jeszcze coś ważnego do powiedzenia, coś takiego, od czego zawisły losy nie tylko nasze, nie tylko rodziny, lecz całego kraju. I cóż to za ważne słowo? Gdybym mógł wyskoczyć z pociągu, zbliżyć się do twej bryczki, to usłyszałbym niezawodnie, że wojna rozdzieliła nas nielitościwie, że nie wiemy, czy się jeszcze zobaczymy, że dzieci nasze będą pozbawione opieki ojcowskiej, że...

10

To samo mówiły włościanki, oplakujące mężów i synów, którzy dziś właśnie ciągną długim szeregiem, do gmin i powiatów. To samol! Nie, nic nie powiesz nowego. Wszyscy odczuwamy dziś jedno, jak nigdy. Nie mam poco wracać do Ciebie, bo pewno zrobiłoby się nam tylko wstyd obojgu, że w pierwszej chwili wydarzeń epokowych zdradziliśmy tchórzliwość i brak energii, że niewola wiekowa uczyniła nas nie obywatelami mężnymi, gotowymi zawsze stanąć do szeregów za swą sprawę ojczystą, lecz rabami poddańczymi, którzy drżą jedynie o swe życie i mienie, nie widząc nic poza niemi...

Nie ulegnę tej słabości! I ty jej nie ulegnij. Idźmy każdy w swoją stronę, pomnąc, że każde z nas ma teraz pracować za dwoje. Na łyzy i rozpacz czasu będzie jeszcze dosyć. Dziś czas na trud!

Pociąg posuwa się naprzód z łośkotem... Twoja bryczka jest już plamką tylko na tle zieleni łąk... Po chwili zginęła za lasem... Tak jest: wojna nas rozdzieliła, każde dąży do swych nowych obowiązków, każde ma teraz pracować za dwoje. Oto w oddali bieleją dwie wieże klasztoru w Torokaniach, dawnej siedzibie jezuitów, dziś przechrzczonej na parafję prawosławną. Te mury były świadkami zmiennych kolei naszej Ojczyzny. Czy z waszych szczytów, o wieże białe, nie zdolacie dojrzeć tego, co przed nami? Czy nie odwróci się znowu karta dziejów? Milczycie? Jedźmy dalej: może ujrzę sam, czego mi powiedzieć nie chcecie, czy nie umiecie.

Dojeżdżam do Kobrynia. Pierwsza ta stacja, na której zebrało się dużo podróżnych, zwłaszcza wojskowych. Do mego przedziału wniesiono w jednej chwili całą furę tłumoków, walizek i paczek. Był to dobytek oficera, który jechał wraz z żoną i czterema wyżłami na smyczy, trzymanemi na korytarzu przez „deńszczyka“.

— Nie chcieli wziąć wszystkiego bagażu — mówił porucznik do żony — wolno tylko pięć pudów na osobę; alem ich zmusił. Cóżto ma przepaść moje 30 pudów, bo wojna? —

— A ja ci mówię — woła głosem piskliwym połowica, która pokrywała warstwą różu i pudru twarz pomarszczoną, — że lepiej było zostawić to wszystko u Sonieczki.

— Jeszcze czego! wysypialiby się na mojej otomanie, rozsiadali na fotelach... A potem nie zechcełoby zwrócić.

— Ależ Sasza! Co mówisz? Wszak oni nasi najbliżsi...

— Od obcego odebrać łatwiej, a krewnemu dasz na przechowanie, to jakbyś przez okno wyrzucił. W dodatku nie obejdzie się bez obrazy.

— A ja ci mówię, Sasza, że gramofon napewno nie dojedzie do Kijowa: trąbę połamią, a płyty potłuką.

— Tak je dobrze zapakowałaś?

— Jakże było zapakować? Wczoraj przyszedł rozkaz, aby jechać, czyż można było nadążyć naprędce? A nasza porcelana! W tem ścisku zostaną z nich skorupy. Widziałeś jak rzucali skrzynki?

— Ależ nie wczas wypadła ta wojna! — żali się oficer.

— Istotnie niespodzianie, — wtrącam się do rozmowy.

— Co to niespodzianie! — unosi się porucznik — zaledwo parę tygodni korzystaliśmy z wypoczynku, jeszcze nie zdążyłem ułożyć moich wyłów do polowania, aż tu naraz... Mobilizacja! I jedź teraz na kraj świata, nadłóż głowę, gdy zapowiedziane były na ten miesiąc cztery bale, trzy polowania, parę majówek... Okropnel...

— A nasza porcelana i płyty gramofonowe to już napewno stracone, — zawodzi malowana dama. — A gdzie znajdziemy pomieszczenie odpowiednie dla wyżłów!

— Więc wojna jest dla państwa taką niespodzianką? Co innego dla mnie, obywatela, pracującego umysłowo. Ale dla was, mężów zżytych z orężem, dla których wojna stanowi jedyną okazję do wykazania zdolności i talentów, do wyróżnienia się, i zdobycia uznania, powinna być źródłem radości i nadziei.

Popatrzyli na mnie zakłopotani. Wreszcie ona rzecze:

— Tak niewątpliwie ma pan słusność... Czekać na awanse i orderzy za wysługę lat, to kiepska karjera. Jeszcze przy dobrym poparciu w Pitrze można dosłużyć się rangi i pensji, nawet dostać „cieple” miejsce. Ale bez protekcji człowiek może się zestarzeć na porucznikostwie. A jednak ta wojna wypadła tak jakoś nie wczas...

— Niezawodnie, mówię, siląc się na ton poważny: — zboże stoi w polu, siano na łąkach, zasiewy nie zaczęte, ziemia pod nie niegotowa a tu... rzucaj wszystko i idź się bić.

— To drobnostka, — przerywa porucznik. — Rosja ma pod dostatkiem zboża i siana; nie zginie, gdy jeden, nawet dwa zbiory przepadną. Ale zaczynać wojnę w taki upał, kiedy najlepiej jest wypocząć i rozzerwać się, to szaleństwo!

— Stosunki przyjacielskie z Niemcami zostały zerwane, więc każdy wierny poddany ma obowiązek wystąpić w obronie tronu i ojczyzny. Tak uczy prawo — mówię wpatrując się w grę fizjognomji pary oficerskiej.

— Ach, to teoria, którą wykładamy żołnierzom. Nas nie może ona zadowolić, bo jesteśmy na innym poziomie kultury.

— Zapewne. Jednak wojskowość jest pańskim rzemiosłem, gdy dla żołnierza stanowi ona tylko podatek w naturze z jego drogiego czasu, sił młodości, zdrowia. Pan poświęcił się wojskowości chyba z zamiłowania.

— Niewątpliwie! Przyzna pan, że nasz mundur jest ładny, korzysta z trochę przywilejów państwowych i nadewszystko z tego, że kobiety lgną do niego. Ot moja Marusia mogła była zrobić partję, bo miałem rywala bogatego adwokata. Ale taki pan w marynarce lub fraczku idzie w ką w obok oficera w mundurze, ze szlifami i szablą.

— Ta tylko bieda z mundurem, -- mówi malowana dama, — że nie traci on swych własności magnetycznych po ślubie.

— Wiecznie jesteś zazdrosna, — ofuknął oficer. — A ja cię przecież nie krępuję. Będiesz teraz w Kijowie panią niezależną.

— Rozdzielą nas! — biada patrząc z wyrzutem i smutkiem na męża.

Zbliżamy się do Brześcia. O trzy wiorsty od stacji zatrzymano nas w polu. Na tle nieba gwiazdźdźstego bije luna z fortecy, oświetlonej tysiącami lamp elektrycznych. Noc jest przepiękna, pełna głębi i zadumy. Wprost nie chce się wierzyć, że tę ciszę uroczystą mają zakłócić walki ludzi, jęki rannych, płacze i zawodzenia osieroconych.

Podróźni są niezadowoleni z postoju, który ciągnie się już godzinę. Wielu jest gotowych przebyć pozostałą drogę na piechotę, jednak stacja jest otoczona przez wojsko i nikogo nie wpuszczono bez odpowiednich dowodów. Na plancie zebrały się grupy podróżnych. Jedni niepokoją się o losy najbliższych, pozostawianych w Królestwie, które podług mniemania wielu zostało zapewne już zalane przez Niemców. Inni rozprawiają, jak nauczą ich rozumu, jak ich zbiją na kwaśne jabł-

ko, zajmą Berlin i osadzą tam swego jeneral-gubernatora. Jeszcze inni uznają, że pora jest spóźniona i że najrozumniej będzie udać się na spoczynek do wagonów.

Po czterech godzinach postoju dano wreszcie sygnały. Ruszamy powoli na stację. Jest ona zapełniona wysiedleńcami z miasta i okolic fortecy, oczekującymi od kilkunastu godzin na pociągi, które miały ich wywieść z Brześcia na rozkaz komendanta. Wszystkie tory kolejowe są zajęte. Z walizką w rękę staram się przedostać na stację, ale pociągi zagradzają drogę. Wdrapuję się po schodkach wagonów, ale przejścia są formalnie zatarasowane przez podróżnych i pakunki. Przedostaję się po buforach. Napis na wagonie głosi: „Moskwa—Warszawa“! Lecz oto zawód: pociąg jedzie do Moskwy, wioząc uciekinierów z Królestwa. Czeka on już sześć godzin. Przedostaję się przez następny pociąg z Warszawy, który czeka tu już dziewięć godzin i jest również przepełniony. Ale nawet taki pasażer, który stoi już 15 godzin w przejściu, nie odważy się zejść ze swego stanowiska, wiedząc, że czycha na nie sporo kandydatów. Niech by zdarzył się jaki wypadek, powstał popłoch, niewątpliwie połowa podróżnych zostałaby zaduszona. Jednak obawa przed Niemcami jest tak wielka, że uciekający zdają się nie widzieć żadnego już niebezpieczeństwa prócz spotkania się oko w oko z tymi, którzy ogłoszeni zostali wczoraj za wrogów Rosji.

Z trudnością przeciskam się przez stosy kufrów, koszów, pak, na których siedzą i śpią ich właściciele. Sala drugiej klasy jest również przepełniona. Powietrze przesycone wyziewami jest wprost nieprzezrocyste; mgła otacza rzesze spłoszone, jakgdyby odzwierciadlając mrok, w którym pograżyły się umysły. POCO ludzie ci porzucają ogniska domowe? Dokąd dążą? Nie uszli jeszcze kroku, a już znużenie pochwyciło

ich w swe objęcia. Oto skuleni bezwładnie na swych manatkach, zdają się zapatrzeni w chochoła, śpiewającego:

„To ich lęk i strach tak wzion

Posłyszeli Ducha głos:

Rozpion się nad nimi Los...”

— Czy prędko odejdzie pociąg do Warszawy?—
pytam pierwszego spotkanego urzędnika kolejowego.

— Nie wiadomo, czy wogóle odejdzie — odpowie. — Podobno Warszawa już zajęta przez Niemców. Zresztą niech pan się dowie od komendanta wojskowego.

Wiść o zdobyciu naszej stolicy rozchodzi się w jednej chwili wśród obecnych, a po godzinie odbija się falą powrotną, pełną szczegółów o strasznych okrucieństwach, jakich mieli się dopuszczać zdobywcy. Zdawało się, że jechać na te zgliszcza mógłby tylko lekkomyślny poszukiwacz silnych wrażeń. A jednak jest ich garść spora i są to prawie wyłącznie Polacy. Rosjanie podążają przeważnie w kierunku odwrotnym. Do komendanta dostępu niema. Zawiadowca zapewnia, że pociąg będzie nad ranem. Co robić? W zaduchu stacyjnym siedzieć niemożna, do miasta zaś nie puszcza straż. Chodzę więc wzdłuż dworca i przyglądam się, jak wygląda konieczność państwowa, wyrzucająca z siedzib ludność osiadłą w promieniu paru mil od forticy. Obraz straszny. Te stosy mienia nagromadzone bezładnie, piętrzące się w postaci wzgórków, przeznaczonych na rozgrabienie i zniszczenie, te tysiące ludzi, zrujnowane materjalnie, już znużone i bezsilne na pierwszym kroku tułaczki, choć nieprzyjaciela nie widziały jeszcze na oczy, cały ten obraz popłochu, nieładu, braku ręki kierowniczej są zapowiedzią pogromu nieuniknionego, wiszącego nad rządami nahajki czynowniczej. Pierwszy brzask wschodu bieli się zasłoną mgieł i obłoków. I zda mi się, że to są

śniegi Sybiru, przez które sunie kibitka, a w nięj postać z ręką w górę wzniesioną, wołająca: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ I jakaś dziwna błogość ogarnia mnie w tej chwili. Zda się, że oto nastaje „chwila osobliwa“, z utęsknieniem wypatrywana przez pradziadów, kiedy przybysze ze wschodu muszą opuścić ziemię, którą przyszli łupić. — Idźcie! Wschód jest rozległy. Nasyćcie się jego bogactwy. Nam zaś, potomkom wygnańców, pozwólcie wrócić do siebie!

Na ścianach stacyjnych odczytuję rozkaz komendanta fortecy, wzywający ludność do bezwzględnego posłuszeństwa: „Kto nie usłucha ślepo będzie uznany za zdrajcę cesarza i ojczyzny i podlegnie karze według orzeczenia sądu wojennego., Pod rozkazem podpis: „komendant fortecy Brześć z przyległościami..... von Łajning“. Przecieram oczy, bo zda mi się, że to jakieś przywidzenie po nocy nieprzespanej. Wyraźnie: „von Łajning“. A więc forteca, mająca być postrachem dla Niemców, kierowana jest przez Niemca?! Wallenrod współczesny? Z pewnością nie! Nie zemsta, lecz karjera doprowadziła go na to stanowisko odpowiedzialne. Jest on tworem polityki i długoletniej przyjaźni prusko-rosyjskiej, dzięki której kolonizacja niemiecka posuwała się w głąb ziem dawnej Rzeczypospolitej. Rzecz zajmująca, jaką też rolę odegra Brześć z jego komendantem w wojnie obecnej?

Z drogi Poleskiej przyszedł nad ranem pociąg z niewielką liczbą podróżnych, zmierzających do Warszawy. Spotkałem paru znajomych, gotowych przedrzeć się tam za wszelką cenę. Poza względami natury rodzinnej wyczuwałem jeszcze u nich coś niedopowiedzianego; rzekłbyś, tak wyglądała młodzież polska 1812 r., niktąca nagle za Niemnem, gdzie: „koń gotów i zbroja“. I ja śpieszę za Bug, i mnie ogarnia troska o tych, których pozostawiłem i niepokój o to, co tam zastanę. A jednak właściwie tylko

przymus mobilizacyjny każe mi jechać. Ta młodź podaża z jakimś dziwnym zapalem, jak gdyby czując, że to „chwila osobliwa“. Jest mi jakoś wstyd, że będąc jeszcze w sile wieku, nie umiem już doścignąć ich w zapalach, choć zda mi się, że rozumiem doniosłość wydarzeń. I mnie unoszą one, lecz jest to oczekiwanie czegoś, co ma przyjść, gdy ich umysły i ręce chcą tę pracę wykonać. Czy uda im się to zamierzenie? Wierzą, że tak. Wszak takie tylko zamierzenie może się stać rzeczywistością, które uważamy za wykonalne. Czyżbyśmy, my dojrzałi, mieli mieli być tylko świadkami, a ta młodź działaczami?

Przy gawędzie zbiegło kilka godzin. Parę pociągów odeszło na wschód, a zapowiadziany do Warszawy jeszcze się nie zjawia. Coraz bardziej trwożne wieści dochodzą o losach Królestwa. O godzinie 9-tej rano zbliża się pociąg z Moskwy, o którym komendant albo nic nie wiedział, albo uważał za zbyteczne zawiadomić podróżnych. Pociąg jest przepełniony. Na los szczęścia wsuwam się do pierwszego lepszego wagonu. Z przedziału wychodzi mężczyzna okazały, wzywając tragarza.

— Pan wysiada? Zajmę pańskie miejsce.

— Można, — odpowie podróżny.

Przyglądam się mu baczniej. Widziałem go kiedyś... Z rozlanych policzków, z otyłego tułowia wynurzają się rysy, czy też cechy właściwe niegdyś młodzieńca, z którym siedzieliśmy przed 30 laty na ławie szkolnej.

— Daruje pan, ale mam przyjemność mówić z panem S.....?

— Tak jest, — odpowie, — ale ja to sobie nie przypominam.

— A pamięta pan: Maziukiewicza, Stefanowicza, Proziarskiego, Gałuszkiewicza, Kańskiego?

Namyśla się chwilę. — Nazwiska znajome... Kiedyś słyszałem...

— Zapomniał pan naszych „obrusicieli” ze szkoły Apuchtina?

— A prawda, tośmy z jednej szkoły...

— Nawet z jednej ławy! Nie poznajesz mnie?

— Nie poznał. Wymieniłem swe nazwisko. Popatrzył, pomyślał.

— Prawda, był taki. Ależ się pan zmienił!

27 lat minęło od naszego rozstania. Na zjeździe koleżeńskim przed rokiem był on nieobecny. Mówiono, że mieszka i urzęduje na Wołyniu, że jest w stosunkach zażyłych z władzami miejscowymi, że bogaci się szybko podług metod czynowniczych i nawet raz poślizgnął się tak nieszczęśliwie, że mu sędownie dowodzono łapownictwa i wymuszania. Ongi był patrjotą gorącym. Wtedy zamęczano nas gramatyką, składnią i literaturą rosyjską. Dziś... A może to nieprawda? Szukam w oczach kolegi przebłysków ideałów, z którymi wstępowaaliśmy w życie. Oczy są dziś bez wyrazu. Może zmęczony drogą... noc nieprzespana. A może pozostawił ideały po drodze życia, jako brzemień ciężkie?

— Dokąd?

— Do domu! Ledwo „zaczął oddych kanikularny, przykaz jechać do urzędu”. Zwarjowali z tą wojną! Jeszcze nie wydechaliśmy rewolucji, a tu leżać w drugą biedę. Uściskał mi rękę pośpiesznie i znikł w tłumie, nie obejrzawszy się za siebie. Dążył na drugą stronę stacji do pociągu kijowskiego. Tak: są ludzie, którym ruch naprzód wypełnia całe życie. A jednak obejrzenie się poza się, ta retrospektywa życiowa, ma w sobie coś poważnego, jakgdyby była gwiazdą, wskazującą okrętowi drogę na bezdrożu.

Zająłem miejsce kolegi przy oknie. Było nas sześciu podróżnych w przedziale.

— Podobno Niemcy zajęli już kraj Nadwiślański — mówi jeden z oficerów, — zastali nas trochę nieprzygotowanych, — ale my ich stamtąd wyrzucimy won.

— Zdrajcy! Udawali przyjaźń.

Tak, tak — zapewnia drugi: — nietylko ich wyprzem, ale wkroczymy do Prus, zdobędziemy „Königsberg i Danzig“, potem Berlin. Ot, co będzie. Już ja to im nigdy nie wierzył.

Podróźni są zachwyceni. Jakże nie wierzyć zapewnieniom oficera rosyjskiego: siła bije z jego głosu, z jego wzroku, szlify lśnią się od gwiazdek, pasków, guziki błyszczą, jak wpatrzone w nie oczy piękności, a ręką uderza buńczucznie po gardzie pałasz! Mając takich oficerów, można być pewnym zwycięstwa. Niemiec opasły, rozepchany kartoflami i piwem, ma odwagę zmierzyć się z tymi rycerzami z urodzenia? Zobaczmy...

Ale już w Terespolu wysiedli mężczyźni rycerze, zegnani gorąco przez współbiedniaków. Widocznie nie śpieszno im na front. Moje vis à vis ożywiło się; zaczęło rozglądać po okolicy. Dowiedziałem się, że panna wraca z Litwy, gdzie spędziła kilka miesięcy, do Dobrzynia, gdzie ojciec jej ma majątek. Jest niepokojna o braci, którzy zostaną napewno powołani do wojska.

— Wszyscy jesteśmy w warunkach podobnych, — pocieszam ją. — O to i ja sam jadę, by stawić się do służby wojskowej, chociaż dobiegam pięćdziesiątki. Wydaje mi się jednak, że zbliżają się wielkie wydarzenia, zwłaszcza dla naszej własnej Ojczyzny. Nie przystoi w takich chwilach, być tylko niemyym świadkiem.

— Zawsze jednak... — urwała: — Cóż my możemy zrobić, wcieleni do trzech, wrogich nam państw?

— Czy wie pani, gdzie obecnie jesteśmy? W jakiej ziemi...

— Zdaje się, że w Siedleckiej. Cóż z tego?

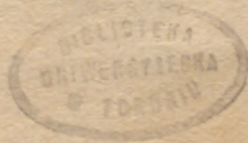
— To Podlasie, dawna ziemia Jadźwingów, przeobrażona przed półrokiem na „gubernię Chełmską“. Byli unicy po psześladowaniu połwiekowem zostali wpisani jako prawosławni, lub zesłani na Sybir i osadzeni w więzieniach. Lud ten przeszedł ciężkie męczarnie, jest biedny, ciemny, zdemoralizowany. Wcielono go do okręgów, dawniej już zruszczonych, a przynajmniej pomalowanych na barwy rządowe. Wie pani, mam wrażenie, że nie upłynie rok jeden, a cała ta „praca Eulogjusza“ runie w gruzach i lud ten, skazany na zagładę, odżyje i odetchnie pierśią wolną, przekonawszy się, że poza zagadnieniami średniowiecznymi, która religja jest najlepsza, istnieją znacznie donioślejsze zagadnienia życiowe. Czy nie warto było dożyć chwili, kiedy takie pytania mają być rozstrzygane?

— Niewątpliwie! A jednak czegoż lepszego możemy oczekiwać od Niemców, naszych wrogów odwiecznych?

— Cierpiący i zbolący zgodzi się na ból nowy, nawet większy, byle się pozbył tego, który go gnębi. Pani nie pamięta, kiedy został usunięty z jenerał-gubernatorstwa osławiony zaprzieniec, Hurko. Nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy, jaki będzie jego następcą. Można było nawet przewidywać, że postara się wykazać swą gorliwość wobec rządu. A jednak w kraju panowała radość powszechna, bo oprawcy i satrapie powiedziała jego własna zwierzchność: „poszól won!”

Jeden z podróżnych zaczął się przysłuchiwać naszej rozmowie. Po chwili wtrącił się do niej. Był to człowiek niski, otyły, z długą brodą i włosami siwiejącymi. Mówił językiem łamanym.

— Wy, Polacy, wiecie dobrze, że Niemcy nas przeciw wam podburzali. Ale teraz ustaną niechęci



wzajemne i pójdziemy „drżuzno“ na wroga wspólnego słowiańszczyzny. A kiedy go obalimy, to święta Rus nagrodzi przyjazną siostrzycę młodszą.

— Ofiarujecie nam samorząd miejski podług redakcji Hurki z paru poprawkami w duchu Stołypina?

— Niewątpliwie Priwiślanje otrzyma i samorząd wiejski. A i inne łaski monarsze na was spłyną.

— A może Chełmszczyzna zostanie wrócona Królestwu?

— To chyba trudno; naród prawosławny od wieków, przerobiony potem na unitów, ciąży do Rosji. Aby zaniechać tych sposobów trzeba go było przyłączyć do okręgów rdzennie rosyjskich.

— To i Polesie, Wołyń, Ukrainę uważa pan za rdzennie rosyjskie? Wszak zostały one zabrane Polsce ledwo przed stukilkudziesięciu laty.

— Zawsze były one rosyjskie, tylko wyście je spolonizowali, — zapala się rozmówca. — Musieliśmy przywrócić im ich charakter właściwy.

— Widzę, że pan zna dzieje doskonale, trudno mi więc go pouczać.

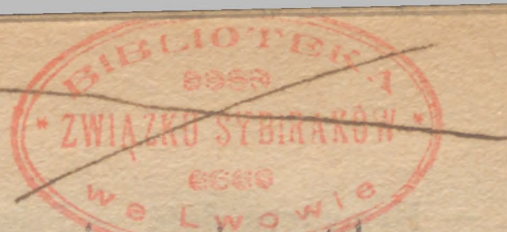
— O tak! To moja specjalność, — zapewnia; — my w dyrekcji naukowej zwracamy najbaczniejszą uwagę na dzieje ojczyste. To podstawa wychowania młodzieży.

— A to pan służy w dyrekcji naukowej? Czy jeszcze i dziś posługujecie się podręcznikiem historii Iłowajskiego, jak za czasów Apuchina?

— To bardzo dobry podręcznik: jasny treściwy, przesiąknięty miłością ojczyzny, patriotyzmem...

— Ma jeszcze jedną właściwość: kto się z niego uczył, ten utracił potrzebę sięgania do dzieł historycznych.

— Zupełnie słusznie. Tylko wiewiórka kręci się ciągle w kołowrotku; a człowiek nauczył się i „stupaj dalsze“.



— Dlatego to wasi uczeni są tak samo jak i wojskowi i urzędnicy, „stupajki”. Życie wymaga ciągłego sprawdzania naszych wiadomości, drogi, po której idziemy.

Patrzył na mnie, jak cenzor, który upolował zwrot w książce, zasługujący na podciągnięcie pod jakiś artykuł kodeksu, ale całość zdania i tekstu sprawia mu zawód. Więc szuka... A nuż złapie się autor, zdobędzie na szczerość. Gdy zaś nie uda się przyczepić do wyrażenia, to może myśl cała będzie buntownicza...?

Zapanowała chwila milczenia. Ale współbiednik nie dał za wygrane i mówi:

— Chełmszczyzna... Chełmszczyzna... O wiadomo, że żywiły „inorodcze” znalazły na tej ziemi dość buntowników, aby stworzyć rządowi trudności w jego pracy nad zespoleniem ziemi rosyjskiej. Ale tę przeszkodę zwalcza rząd łatwo. Widzi pan, ile tu się wznosi cerkwi? Czy to nie dowód oczywisty, że ziemia ta jest nasza?

— A gdyby tu było mnóstwo obór i chlewów, to pewno dowodziłby pan że to ziemia... zbydlęcona, zaświniiona.

I znów mój współbiednik patrzył, jak cenzor, któremu zapachniał art. 73 i 74 ustawy karnej. Zaczął mnie też wyraźnie prowokować; więc wróciłem do rozmowy z mojem vis à vis.

— Czy też dojedziemy do Warszawy?

— Straszą, że nie... Jednak dotychczas jest jakiś spokój.

— Czy pani nie uderzyło to, że w ciągu 4-godzinnej drogi dotychczasowej spotkaliśmy zaledwo jeden pociąg osobowy, podobnież przepelniony, jak brzeskie, i ani jednego wojskowego, ładowanego amunicją, zapasami, końmi, bydłem?

— Mamy tego dość w Priwislanju, — twierdzi długobrody.

— Bardzo szczęśliwie, — odpowiem.

W milczeniu dojechaliśmy do Siedlec. Postój trwał nader długo. O stanie rzeczy na teatrze wojny niema wiadomości ścisłych. Przeważa przekonanie, że Warszawa jest jeszcze niezajęta, choć może za kilka godzin stać się łupem Niemców.

Do przedziału wdziera się jakaś niewiasta. Mówi po rosyjsku, żywo gestykulując: — Bo to, dostałam przed dwoma tygodniami nominację na nauczycielkę a tu... Nieszczęście! Może pierwsza pensja przepadnie.

— A czego miała pani uczyć? — pytał brodac.

— Rosyjskiego, historii i geografji.

— A jaki ma pani patent?

— Wykształcenie domowe. Dotychczas nie zajmowałam się pedagogją. Ale widzi pan, mieszkać w takiej mieścinie... towarzystwa... wojskowych mało... urzędnicy przeważnie Polacy.

Świeżo upieczona nauczycielka zdążyła już utracić puszek brzoskwini, wygląda zaś, jak węgierka po pierwszym przymrozku. Odrazu powzięłam wątpliwości, azali stolica będzie względem niej bardziej łaskawa, niż miasto gubernjalne.

— Zwłaszcza przeniesienie urzędów do Chełma odbiło się ujemnie na naszym życiu towarzyskiem. Miasto spolszczyło się.

— A więc i wśród Rosjan, — zauważyłem — spotyka się głosy, nie pochwalające oddzielenia Chełmszczyzny.

— Bezwarunkowo! Należało stworzyć oddzielny ośrodek, sprowadzić doń urzędników z gubernij centralnych, ale nie trzeba było ruszać urzędzeń siedleckich, które kosztowały tyle trudu i kapitału.

— Polacy są istotnie wrogami naszej państwowości, — zauważył długobrody. — Pracuję w dyrekcji naukowej i widzę, jak umieją wykorzystać każdą naszą nieostrożność, niedopatrzanie, słabość.

— Nawet robak nędzny broni się od ciemiezcy, a cóż dopiero naród kulturalny — wtrącam, patrząc wprost w oczy cenzora. Opuścił powieki, udał, że nie słyszy, a może utrwał w pamięci wyrazy, by z nich zrobić potem użytek.

— Ach pan służy w dyrekcji?!... Jak to dobrze! Pan mi pomoże. Właśnie miałam dostać pierwszą pensję...

— A jeżeli Warszawa już zajęta, może Niemcy nie uznają pani nominacji, — mówię, nie mogąc przejąć się jakoś niepokojami duszy cierpiącej. — Może zresztą każą pani uczyć po niemiecku.

— Kiedy nie znam tego języka... Wykształcenie domowe. Pan sądzi, że to jest możliwe, żeby nam zabrali Warszawę. Tyleśmy dla niej poświęcili, tak olbrzymie nakłady pieniędzy i pracy.

— Pani ma na myśli cerkiew na placu Saskim? Istotnie kosztowała bajecznie dużo. Ale wie pani dla czego? Mówiono, że dzwony nie mają tonu czystego nie dlatego, że zostały ulane z armat polskich, lecz, że nie dodano do stopu kilkunastu pudów srebra. A kopuły są niedość żółte wcale nie ze względów klimatycznych, lecz skutkiem ukradzenia znacznej części złota. A pozatem jakimi wielkimi wydatkami i poświęceniami, nietylko dla Warszawy, lecz i dla całego Królestwa Polskiego, może się Rosja pochwalić?

Zapanowała głucha cisza. Tylko huk od miarowych uderzeń kół o szyny, jakgdyby śmiech, gwałtem powstrzymywany, zdał się sztydź z zakłopotanych towarzyszków podróży. Długobrody wysunął się w Mińsku Mazowieckim i rozmawiał z żandarmem, może

naradzając się w sprawie przyjrzenia się zuchwałemu pasażerowi. Ale przedstawiciel władzy nie wkroczył do przedziału. Byłem zadowolony, że może poraz pierwszy na drodze żelaznej Terespolskiej, którą jeździłem dość często, przegawędziłem parę godzin z Rosjanami po polsku, nie krępując się bynajmniej w wypowiedaniu mego poglądu na sprawy mego kraju. I w tym pierwszym dniu wojny europejskiej zaznaczało się już jaskrawo, że kruszeją kajdany, jakie pod osłoną samowładztwa nałożyła nam samowola.

— Zachwycona byłem pańską odwagą, — chwaliło mnie moje *vis à vis*, gdy zostaliśmy sami w przedziale.

— Lubię opowiadać urzędnikom rosyjskim rzeczy, które znają dobrze, lecz nie lubią ich słuchać.

Pod wieczór zbliżamy się do Warszawy. Nie ulega już wątpliwości, że nie została jeszcze zdobyta. Cisza dokoła. Na polach pusto, martwo. Tylko na stacjach i przystankach tłoczą się tłumy, przeważnie żydów. Pociąg zatrzymuje się wreszcie o $\frac{1}{2}$ wiorsty od dworca. Tragarzy niema. Natomiast cały peron, platformy i wszelkie pomieszczenia są zawałone kuframi, pakami, skrzyniami uciekających Rosjan. Pomogłem mej towarzyszce wydygować walizki i pudła; donieśliśmy je w pocie czoła do przepelnionej poczekalni. O odebraniu bagażu nie było mowy. Żegnaliśmy się, jak starzy znajomi. Przez Krakowskie-Przedmieście, Nowy-Świat ciągną wozy ładowne sprzętami, pakami i skrzyniami. Rzekłbyś przeprowadzka Świętojańska. Świat wyższych urzędników i wojskowych zdradza pośpiech gorączkowy, zdenerwowanie, niepokój. Tak uciekają szczury przed zatonięciem okrętu. Idźcie. Wasz łowajski pouczał, że posłowie mówili do książąt wariażskich: „ziemia nasza jest bogata i wielka, ale porządku w niej niema; przyjdźcie panować nad nami”. Przez te tysiąc lat nie

zmieniło się nic na Rusi, choć Rurykowicze wymarli, a dynastje następne krzyżowały się przeważnie z książętami niemieckimi, choć księstwo Moskiewskie podbiło i przyłączyło nietylko szereg księstw ruskich, lecz nawet znaczną część ziem Rzeczypospolitej Polskiej.

Idźcie! Ziemia wasza jest bogata i rozległa, ale porządku w niej niema. I oto przyjdą nowi wariagowie, aby panować nad wami, jako książęta. A chociaż ich stopa ciężka zdepcze i naszą ziemię polską; jednak świadomość, że musicie stąd uciekać, że przyszła godzina porachunku i zemsty za znęcanie się nad narodem bezbronny, ta świadomość daje tyle zadowolenia, że warto było dożyć tej chwili, gdyby miało się nawet głową nałożyć. Pewien jestem, że teraz zaczniecie nam prawić o jedności słowiańskiej, o walce z teutonami. I chociaż w tych słowach jest wiele uroku dla nas, jednak ja wam nie wierzę. I wy sami temu nie wierzycie.

Warszawa

10 sierpnia 1914 r.

Kochana moja! Zdziwił mnie Twój telegram. Gdyby wszystkie żony zdradzały taki niepokój o swych mężów, a oni o swe połowice, wszelka działalność społeczna i państwowa zostałaby zawieszona. Wszak tysiące ludzi zostały powołane pod broń i nie mają możności porozumienia się z najbliższymi. Nie jesteś w warunkach wyjątkowych pod tym względem. Uzbrój się w męstwo i odporność. Wojna to nie romanse bohaterskie, ani sielanka wzruszająca, lecz zupełne zatamowanie normalnego biegu spraw życiowych, ponieważ cała energia skierowana jest w jedną stronę. Rozumiem Twój niepokój, żeś nie miała przez cały tydzień listu odemnie. Ale nie dochodziły Cię też pisma, ani inne listy, bo ruch pocztowy jest prawie przerwany. Może pod innemi rządami dzieje się inaczej; jednak w naszym zaborze nie mamy prawa

spodziewać się normalnego działania wszelkich urzędzeń państwowych. Nawet instytucje społeczne zawiesiły w pewnej mierze swą działalność; masa ludzi zgłasza się do kas oszczędności, banków i towarzystw finansowych po odbiór swych oszczędności i zastaje podwoje zamknięte. Panuje z tego powodu wielki popłoch. W dodatku zbrakło naraz bilonu, który, jakgdyby zapadł się pod ziemię, skutkiem czego w handlu trzeba załatwiać rachunki w całych rublach. Ceny towarów podniosły się dość znacznie, a niektórych produktów niemożna dostać. Ludność uboższa jest w warunkach wprost rozpaczliwych. Nie wystawiam sobie, co się stanie, jeżeli tak pójdzie dalej.

Zostałem powołany na ordynatora do szpitala Ujazdowskiego.

Parę razy w życiu przekraczałem wrota tego szpitala, wzywamy na narady do chorych; i zawsze miałem wrażenie, że jest to jakaś otchłań. Ilekroć przyglądałem się tym gmachom z pagórka w Parku Ujazdowskim, lub z prawego brzegu Wisły podczas wycieczek zamiejskich, miałem wrażenie, że jest to ośrodek cierpień i niedoli, okrytych cieniem drzew, lecz wspinających się wysoko ponad ich korony jękiem przeciągłym, głębokim. Ile szpitali widziało się w życiu! Każdy miał swe cechy właściwe, wygląd swoisty, robił wrażenie przybytku wiedzy, pracy, miłosierdzia. Ten tylko jeden wyglądał na instytucję, nie mającą nic wspólnego z lecznictwem, jakąś jaskinię bezduszną.

Przed bramą wjazdową naprzeciw ulicy Wiejskiej zastaję wielki tłum. Żołnierz przepuszcza mnie do wnętrza, gdy mu oświadczam o mej nominacji. Tłum poborowych rozsiadł się na ławkach, trawnikach i ogrodzeniach; inni stoją grupami, zapatrzeni w altanę, gdzie zebrała się komisja poborowa. Spotykam kolegę O., który zaprasza mnie do komisji, mówiąc:

— Uwalniajcie! Sam uznałem za niezdatnych kilkudziesięciu.

— Ależ nie wstąpiłem jeszcze do służby, nie widziałem lekarza głównego...

— To nic; wszyscy jesteśmy w warunkach podobnych

W altanie siedzi kilkunastu kolegów, przeważnie starszych. Wielu z nich nie spotykałem dawno. Wojna skupia nas przy robocie wspólnej. Czy się poznamy? Z podniosłymi hasłami wstępowaliśmy w życie. Hasła brzmiały nadal, jednak czynów samodzielnych jakoś nie było widać. Ten i ów zdobył sobie większą praktykę, dochody... To i wszystko. Naukowo, społecznie, dla naszej sprawy żaden wiele nie działał.

Przywitania były krótkie. Zaznajomiłem się z paroma kolegami rosjanami w mundurach wojskowych. Przewodniczyli oni w komisjach.

— Kolega internista? — zapytuje jeden z umundurowanych — to proszę do nas, — bo mamy tylko akuszerów i psychiatrów.

Inne grupy wzywają mnie również. Koniec końców obsługuję wszystkie komisje. Przesuwają się szeregi poborowych, przeważają w nich żydzi, wśród których spotyka się duży odsetek gruźliczych i obarczonych chorobami serca, źle odżywianych, zwyrodniałych. Przekonywam się naocznie, że wnioski moje w książce: „Rozwój cielesny proletariatu Warszawy“ — są bynajmniej nie mylne, choć mi czyniono zarzuty, że je opieram przeważnie na badaniu chorych. Dziś, mając przed oczyma proletariata polski i żydowski, i to ludzi w wieku 20—24 lat, wezwanych do służby wojskowej, stwierdzam z całą stanowczością, że jest to b. podobny materiał ludzki do tego, który spostrzegam przez kilkanaście lat w przychodni bezpłatnej. Wymagania, stawiane dawniej co do rozwoju rekruta, są dziś zawieszane: ani wzrost, ani rozwój klatki piersio-

wej nie są brane pod uwagę, jedynie niezaprzeczone choroby, jak gruźlica, wada serca, kalectwo, choroby umysłowe.

Nagle staje przedemną dobrze znany mi pacjent Z. Jest blady, drżący, unika mego spojrzenia. Przed rokłem był sprawcą naganki na mnie w prasie żargonowej o rzekomą odmowę pomocy lekarskiej za to, że żydzi wybrali na posła z Warszawy socjalistę Jagiełłę. Prasa rosyjska („Riecz”) powtórzyła tę wiadomość za żargonowym „Momentem” i niebawem dziennikarstwo żydowskie w Polsce, na Litwie i w Rosji podnosi taką wrzawę, że aż Ministerstwo Spraw Wewnętrznych żąda odemnie wyjaśnień. Muszę tłómaczyć się pod grozą utraty dyplomu lekarskiego, że w przychodni bezpłatnej, której byłem jednym z założycieli, i gdzie udzielałem 16—20 porad dziennie biednym chorym bez różnicy narodowości i wyznania, że do tej pracy bezinteresownej nikt nie miał prawa mnie zmuszać, ani oznaczać jej granic, że w dodatku w dniu inkryminowanym Z. nie figurował zgoła na liście przyjęć. Ponieważ cała napaść miała cechy szantażu, obliczonego na zdyskredytowanie polskich postępowców, wytoczyłem procesy karne czterem piśmom o oszczerstwo. Niebawem też redaktor Parszyn przeprosił mnie w swem piśmie i złożył grzywnę pieniężną na cel wskazany. Inni poszli za jego przykładem. Wzdragał się Kempner i Koszucki.

Otóż w tej chwili stoi przedemną główny winowajca szantażu i czeka na wyrok, czy go uznam za zdatnego do służby wojskowej. Spuszcza oczy, gdy mu się przyglądam i blednie, gdy mu powiadam:—A stary znajomy! — Trzęsie się, jak galareta, gdy go badam. Te kilka minut, to dlań wieczność. Skończyłem. On podnosi oczy nieśmiało i pyta o wynik. Odpowiadam krótko: — proszę się ubrać — sam zaś notuję zebrane objawy chorobowe, uwalniające go od wojska.

— Czy wie pan, kto to był ten Żyd, którego przed chwilą uznałem za niezdatnego do wojska? — pytam prezesa komisji. — To bohater z mojej epoki żydowskiej.

— Takiego szelmę należało wziąć — odpowie radca stanu.

— Nie, kolego, on był tylko narzędziem w rękę polityków.

Siedzimy już parę godzin, a poborowych napływa coraz więcej. Od czasu do czasu trafiają się ludzie z inteligencji. Żołnierz wywołujący traktuje ich wszystkich na „ty“, dodając od czasu do czasu epitetety dosadne, by przyspieszyć rozbieranie. Nikt przeciw temu nie protestuje, bo tak właśnie zaleca prawo.

Pomiędzy członkami komisji kręci się jakiś wojskowy. Figurka niska o twarzy pergaminowej, zarostcie z kilkudziesięciu włosków, spiczastym, długim nosie, uzbrojonym w okulary złote, przez które przebija wzrok świdrujący, złośliwy.

— Kto to jest? — pytam kolegów.

— Pomocnik lekarza głównego, Bogdanow, powinien się przedstawić.

Podchodzę, podając moją nominację na ordynatora szpitala Ujazdowskiego. Figurka nie odpowiada na powitanie, lecz bierze papier, zdejmując okulary, czyta parę minut i prawi: — Pan złożył oświadczenie w komisji gubernjalnej, u naczelnika wojskowego? — Otrzymałszy zaś odpowiedź, że tam właśnie otrzymałem tę nominację, z którą polecono mi się stawić u lekarza głównego, poucza mnie w tonie podniesionym: — Powiedziano tu jasno, że masz pan naprzód otrzymać pieniądze na umundurowanie, a potem stawić się tutaj.

— Czyli, że moja robota zarówno, jak i moich kolegów jest tu zbędna, dopóki nie otrzymaliśmy pieniędzy. Przepraszam, że się wziął nieświadomie do pracy.

Bogdanow popatrzył na mnie swemi przenikliwymi oczkami, zrozumiawszy, że cały pobór zostałby w takim wypadku zagwoźdzony, gdybyśmy się od niego usunęli.

— Tego nie powiadam. Owszem, panowie, pracujcie. Ale przede wszystkim trzeba być w zgodzie z prawem. Legalność, to podstawa wszelkiej działalności.

— Ale wypłatę pieniędzy mamy zapowiedzianą dopiero za cztery dni.

— A jeżeli nakazano za cztery dni, to w porządku, — ratuje swą sytuację niewielki człowiek o nosie sterczącym, oczach świdrujących i ubogim zaroście.

Trzeba sprawić umundurowanie. Koledzy porobili już zamówienia u krawców wojskowych. Są oni teraz panami położenia; żądają też za najwykłęjszą kurtkę szarą, lub piaskową z kołnierzem stojącym i pięciu guzikami po 30 — 40 rubli. Po długich poszukiwaniach znalazłem krawca Polaka, który obiecał wykończyć umundurowanie za 4 dni.

Najwięcej trudności sprawiło zdobycie pałasza, nieodzownego narzędzia dla lekarza wojskowego. Za najlichszy okaz trzeba płacić 25 rubli i drożej. Udało mi się kupić od policjanta „nastajaszczuju szaszku“ za 5 rubli. Jest ona ciężka, toporna; ale cóż: dziadowie nosili karabele, niech wnuki spróbują „szaszki“.

Od wczoraj jestem już w mundurze. Kiedym przejrzał się w zwierciadle, zdało mi się, że to policjant wkroczył do mego mieszkania. Oglądam się poza siebie. Niema nikogo. A! to ja sam przeobraziłem się na takiego dostojnika państwowego: szlify błyszczą, guziki chełpią się orłami dwugłowymi, wypustki odbijają swą czerwienią do tła czarnego spodni, a na taśmie srebrzystej, przewieszonej przez ramię, buja się u boku „szaszka“. Na ulicy oddaje

mi honor policjant... Pierwszy to człowiek, przeproszam, urzędnik państwowy, który ujrzał mnie w tem przebraniu. Już sięgałem do daszka czapki, aby się odkłonić „władzy“, która miała jeszcze przed godziną prawo popędzić mnie według swego uznania do cyrkułu, gdy przypominam sobie, że wojskowy nie ma prawa zdejmować czapki, lecz poprzestaje na zbliżeniu palców do daszka — „pod kozirok“. Stójkowy musiał sobie pomyśleć: „świeżo upieczony wojskowy“, Ja zaś: gdybyś ujrzał uniform, rozwieszony na kołkach, tobyś go salutował, a nawet stanął przed nim „wo front“, choć jego właściciela, przebranego po cywilnemu, umiałbyś wyplazować, a nawet porąbać. Zaprawdę dziwna jest ta maskarada, do której przyzwyczailiśmy się tak dalece, iż zaczynamy odczuwać ją dopiero, gdy przeobrazimy się z widzów na aktorów.

Nietylko jednak szeregowcy i rangi niższe okazują szacunek dla mych szlifów. Co chwilę odczuwam na sobie wzrok przechodniów.

Mam wrażenie, że jest coś w mej garderobie nie w porządku i sprawdzam: guziki... zapięte, kamusze... zasznurowane, skarpetki... nie opadają, ubranie... nie wytarte. Cóż więc? Przyglądam się moim obserwatorom: wyłącznie młode kobiety; oczy ich pałają żarem, oblicze uśmiechnięte zaczepnie... Rozumiem! Wczoraj jeszcze mijałyście mnie, jak jednego z przechodniów; kiedy niekiedy poznawałyście we mnie swego lekarza, autora książek i artykułów, mówcę z odczytów i wieców, ot takiego przeciętnego pracownika. Dziś zaś... Dziś patrzycie na mnie, jak ten policjant... Tylko, że jego wzrok spoczywa wyłącznie na szlifach, a wasz sięga... głębiej. Zato zwą was, Polki, stęsknione bardziej do stroju rycerskiego, niż do rycerstwa, zwą was oficery rosyjskie: „wiesziołj narod“. Miano zaszczytne!

Mundur cieszy się też względami u... kelnerów i usługi w jadłodajniach. Niemożna dostać się do nich w pierwszych dniach mobilizacji, bo są pozamykane z rozporządzenia władzy. Żywię się więc wędliną i pieczywem, zgotowawszy sobie herbaty na maszynie spirytusowej. Polecono mi obiady domowe na ul. Zgoda: pół talerza zupki, plasterek sztuki mięsa, kawałek pieczeni z kartoflami i kompot z czterech śliwek. Po takim posiłku za 4 złote (60 kop.) trzeba chodzić po cienistej stronie ulicy, aby nie wyparował z potem.

Służba w jadłodajniach i sklepach mówi do mnie po rosyjsku. Odpowiadam im w swym języku rodowitym, dodając zwykle uwagę o nieposzanowaniu mowy własnej. Przekonywam się też dowodnie, że lokajstwo jest u nas niestety nader rozwinięte i to nie tylko wśród zawodów, uprawiających je z powołania, lecz u ludzi o t. zw. karkach giętkich. Przed kilkoma miesiącami zapraszano mnie na członka Tow. zwolenników pokoju. Uchyliłem się od uczestnictwa w gronie ludzi, mających tak humanitarne zadania, bo jestem zwolennikiem pracy pokojowej, nie znoszę jednak polityki przedpokojowej.

Na dzień oznaczony stawiłem się u naczelnika wojskowego na Pradze. Setki powołanych oczekiwały tam kolei wypłaty pieniędzy na umundurowanie. A że żonaci i dietni dostają więcej od kawalerów, musiałem wyrobić naprędce w cyrkule dowody. Policjant, który sprzedał mi „szaszkę“, spoglądał na nią z taką dumą, jak nieprzymierzając Geldhab na swą Florcię, zaręczoną z prawdziwym księciem. Urzędnicy cyrkulowi są na usługi munduru, stropieni nieco, że mówię do nich po polsku, a bardzo, że płacę bilonem, a nie papierkami.

Po powrocie na Pragę dowieduję się, że dostajemy zapłatę podług rang. Jak wiesz, nigdy się

o nic nie starałem, dzielając w zupełności pogląd sędziego Soplidy... W naszym gronie „utytułowani“ są koledzy, pełniący obowiązki w policji lub zajmujący inną posadę rządową. Ja zaś i większość rówieśników nie mamy żadnej rangi, a szlify srebrzyste są o jednej naszywce czarnej przez środek, co odpowiada stopniowi kapitana. Ani długoletnia praca lekarska, ani zasługi naukowe, ani nawet więźność zawodowa nie są tu brane zupełnie pod uwagę. Jedyne — ranga: dwie naszywki z dwiema gwiazdkami, to pierwszy stopień „czynownika“, marzący o gwiazdce trzeciej, potem o polu czystem bez gwiazdek, potem o naszywce zygzakowatej z jedną gwiazdką, radca stanu, którego tytułują przez grzeczność: „prewoschoditielstwo“, choć jest tylko: „wysokorodje“, potem dwie gwiazdki i podszewka czerwona i t. d.

Dostaliśmy po 300 rb. Jest to skromna zapomoga, zawsze jednak powinna wystarczyć na pierwsze wydatki. O wydostaniu choćby części wkładów z Banku Handlowego i Kasy Przemysłowców niema mowy narazie. Nie zginę. Potrzeby mam niewielkie, długów i zobowiązań żadnych. Wy jesteście zabezpieczeni materialnie. Pobniemy!

Nazajutrz złożyliśmy raporty o zjawieniu się do obowiązków. Pierwsze spotkanie z lekarzem głównym miało charakter dość serdeczny. Przemówił do nas o ważności okresu przeżywanego, o walce Słowiańszczyzny z Teutonami, o rycerskości, z której słynęli Polacy...

— Mury, w których mieści się szpital Ujazdowski, — mówił — gościły króla Sobieskiego. Duch jego, który tutaj żyje, powinien was natchnąć do walki z niemczyzną, pod sztandarami pobratymczemi. Niemcy byli głównymi sprawcami waśni narodów słowiańskich... gorzko to odpokutują.

Wrażenie tej przemowy, ilustrowanej żywą gesty-

kulacją, pana w mundurze rosyjskim z podszewką czerwoną, było istotnie wielkie. Rozumieliśmy dobrze, że te słowa nie obowiązują dostojnika, który może zuprzeć się ich każdej chwili. A jednak niewola wiekowa, która nauczyła nas omijać starannie osobników nietylko w mundurach wojskowych, lecz wogóle z gwiazdkami na czapkach, czyniła niemożliwymi występy podobne tak stanowczo, że staliśmy oszołomieni, nie wiedząc, czy jest to złudzenie, czy rzeczywistość. A generał zapalał się coraz bardziej:

— Gnębili Niemcy Polaków w Poznańskim. Ale my im Poznańskie odbierzemy, pójdziemy na Berlin i zburzymy to miasto szerszeni, rozgromimy Austrię i złączymy znowu ziemię Polski...

Ujazdowiel kolebko Warszawy, nigdyś nie sły-
szał takich słów gorących, odkąd Konrad ks. mazo-
wiecki wzniósł tu gród drewniany i także zamczysko-
Ważnie książęce, napady Rusi, Litwy, Niemców, Szwedów, Moskali łupiły cię i pustoszyły, niszczyły cię pożary i mór. Jednak dźwigaleś się zawsze z gruzów i popiołów, ufny w swe dziejowe posłannictwo. A choć nieraz zagrzewał cię władca do wytrwałości i oporu, był nim zawsze ktoś swój. Dziś woła „sursum corda” potomek frankistów, dr. Zawadzki, który zrobił karierę w wojsku rosyjskim, dodawszy do nabytego krzyża drugie ramię poprzeczne, a do nazwiska zgłoskę „j”. Jego fizjognomja semicka, postać wzbogaconego kupca, gestykulacja fanatyka ze wschodu stanowią dziwny kontrast ze środowiskiem i ze słowami, które głosi... A jednak jesteście wzruszeni...

Tak pije spragniony z napotkanej kałuży przydrożnej, nieczuły na skutki tej niepowściągliwości...

A może to brzmią słowa wieszczki jakiegoś Wer-nihory? Wszak „ex oriente lux”.

Kochana moja! Jesteśmy pod wrażeniem dwu wielkich wydarzeń: zdobycia Kalisza i odezwy do Polaków Wodza Naczelnego, W. Ks. Mikołaja. Politycy rozwodzą się nad ich znaczeniem, a czytelnicy pism powtarzają te wnioski bardziej lub mniej dosłownie, dodając nieraz swe własne komentarze.

Trudno zaiste stworzyć sobie pojęcie, jak tam było ze zdobyciem Kalisza. Prawdopodobnie nie było czego zdobywać, bo ta miejscina nie jest ani twierdzą, ani miejscem obronnym; w dodatku siłę zbrojną przedstawia tylko policja i straż pograniczna. O ile mogę wymiarkować, najbardziej ucierpieli urzędnicy Rosjanie, którzy spotkali się może poraz pierwszy w życiu z pogwałceniem swego stanowiska uprzywilejowanego. Urzędnika, który przyzwyczaił się do wydawania rozkazów i poczytywania stron za swych podwładnych, takiego pana wszechwładnego wziąć naraz jako jeńca wojennego, uznać za szpiega, postawić pod szubienicę, skazać na rozstrzelanie, to zjawisko tak dalece nieoczekiwane, że nie tylko biurokracja, ale nawet ujarzmione przez nie społeczeństwo nie mogą się w tem połapać. Logika wojny jest inna, aniżeli pokoju. Jej dzikość i okrucieństwo wywołują opozycję i niechęć... A jednak mam wrażenie, że nie wszyscy są w jednakiej mierze oburzeni na gwałty i wstrząsy, spowodowane przez zjawienie się nowej siły wojskowej; najgłośniej oponują ci, którzy przywykli do dzierżenia władzy, a godzą się z losem, może nawet cieszą się jawnie, lub skrycie ci, którym ta władza zapuszczała szpony i zęby: „Gwałt niech się gwałtem odciska”, — śpiewa pokrzywdzony obywatel i dodaje: „ponieśli wilka”. Gdyby wierzyć doniesieniom dziennikarskim, przedstawiającym majora Preuskera, jako pogromcę, gwałciciela, zbója, rabusia,

należaby przypuszczać, że nie zależy Niemcom na usposobieniu do siebie przychylnie Polaków w miejscowościach zdobytych. Jeżeli tak jest istotnie, znaczyłoby, że są pewni zwycięstwa i nie mają zamiaru zmienić swej polityki względem nas. To właśnie stanowi główny atut w ręku partyj ugodowych, obiecujących pomyślność i prawa tylko w związku z Rosją.

Na czasie dla rusofilstwa zjawiała się odezwa W. księcia Mikołaja. Jest to akt polityczny wielkiej doniosłości. Wódz naczelny zwraca się do „Narodu Polskiego”, powołując się na jego walkę odwieczną z niemczyzną, na jego rozszarpanie przez trzy państwa. Wprost nie wierzy się oczom, czytając tę odezwę, skoro jeszcze przed paru miesiącami niewolniczo było mówić inaczej niż: „ludność kraju Nadwiślańskiego”, a za wyrażenie: „poddany Królestwa Polskiego” został pewien rejent pozbawiony urzędu i skazany na więzienie. O braciach w innych zaborach niewolniczo było nawet wspominać, a policja tajna śledziła, czy kto nie nawiązuje stosunków zbyt serdecznych z nimi.

Jesteśmy wprost oszołomieni słowami odezwy. Nie zawiera ona wprawdzie żadnych zobowiązań konkretnych, nawet pewnych obietnic, ani podpisu cara. A jednak poruszenie oficjalne spraw, o których mówiło się uprzednio półgłosem w kole ludzi zaufanych, stanowi samo przez się wydarzenie niezwykle. Zapomina się, że to nie jakiś sentyment wzajemności słowiańskiej wywołał to wystąpienie lecz... „przyszła kosa do woza...”. I nie ma się już ochoty mówić: narzecie! Lecz po chwili zastanowienia powiada się ta sama siekiera, która powala dąb wielowiekowy, stwarza zeń podwaliny pod nową budowlę. Więc... żelazo, śmierć niosące, bądź pozdrowione, jako zwiastun życia nowego!

W kołach polityków wre. Jedni zwiastują nową erę stosunków polsko-rosyjskich i korzą się przed

władzą, która jakoby obiecała naprawić krzywdy wielkowie. Inni zajmują stanowisko wyczekujące. Jeszcze inni głoszą bardziej, lub mniej wyraźnie, że lepiej będzie nam w związku z Austrią, nawet Prusakami, niż z Moskwą. Wczoraj zjawiała się odezwa, zaopatrzona w 22 podpisy, jako odpowiedź księciu Mikołajowi. W czyjem imieniu? Kto ma dokonać: „bratniego pojednania z wielką Rosją?” Kto godzi się, aby „naród Polski połączył się pod berłem cesarza Rosyjskiego w jedną całość, aby „pod tem berłem odrodziła się Polska, wolna co do swej wiary, języka i samorządna...”, od której: „jednego oczekuje Rosja—takiegoż poszanowania dla praw tych narodowości, z którą związały ją losy... i wierzy, że nie zardzewiał jeszcze miecz, który raził wroga pod Grunwaldem”?

Czytam nazwiska służalców, którzy wystąpili samowolnie w imieniu Narodu. Starzy znajomi... Ugodowcy... Lecz oto: ze zdumieniem przecieram oczy: Andrzej Niemojewski. Wyraźnie Andrzej Niemojewski!! Co się dzieje?! Pod odezwą ugodowców?! Dawniejszy socjalista, wczorasz, jak go nazywano: „osobisty wróg Pana Boga”, dzisiejszy spadkobierca Jeleńskiego, smutnej pamięci redaktora żydożerczej „Roli”, którego mianował w porachunku pośmiertnym: „wściekłą świnią”, a teraz kroczy sam po tej samej plugawej ścieżce, ten zawadjaka, dla którego od przyjaźni do nienawiści jest tylko jeden krok, ten publicysta, nie uznający innego poglądu poza swoim własnym, badacz o dużej wiedzy, gorącym temperamencie, wielkim talencie pisarskim, ten człowiek „nieobliczalny” figuruje pod odezwą wstecznicstwa, „zrodzonego w niewoli, okutego w powiciu”... Co za salto mortale?!?

Szliśmy kiedyś razem. Jednak moja godność osobista kazała mi rozstać się z tobą, p. Niemojewski. Byłem pono najwytrwalszy z twych zwolenników.

Jako pieśniarza, żegnam cię pieśnią. Zawiodłem się na tobie, jak na nikim w życiu. Zbliżyło nas hasło podźwignięcia Polski z obskurantyzmu średniowiecznego. Uwierzyłem, że masz wszelkie dane do walki z tą plagą narodową. Ale pokazało się, że nie dość posiadać wiedzę, talent, odwagę, spryt. Trzeba jeszcze szczerości i... Rozstajemy się. Idę teraz sam drogą, którą mieliśmy iść razem. Tobie życzę powodzenia w obozie wstecznictwa.

(Wobec śmierci Niemojewskiego opuszczam wiersz satyryczny, napisany na nasze rozstanie, nie chcąc popełnić nietaktu, na jaki N. pozwolił sobie po śmierci Jeleńskiego).

Warszawa

25 Sierpnia 1914 r.

Pierwszy impet wojny przeminął. Nietylko szerokie masy ludności, lecz i wojskowi, zrozumieli, że wciągu jednego dnia, tygodnia, nawet miesiąca, nie można zagarnąć obcego państwa, lecz trzeba je zdobywać krok za krokiem z dużym nakładem sił.

Belgia stawia słaby opór Niemcom, którzy posuwają się w głąb kraju. Sympatje Polski są po stronie państwa najechanego. Obawy, aby nie podzieliło naszego losu, stanowią główną podstawę życzliwego nastroju. A druga podstawa to obawa o los Francji, którą poczytujemy za ognisko nauki, kultury, postępu. Nasza sprawa może wypłynąć tylko dzięki narodom o wysokiej kulturze, wolnym od nienawiści plemiennych i niezainteresowanym co do naszej zagłady. Dlatego zwracamy się do Francji nie z mniejszą nadzieją, niż nasi praojce do Napoleona. Czy jest to niepoprawne łudzenie się, czy też przeczucie siły, która dotychczas nie wchodziła w rachubę? To pewna, że nigdy, nawet podczas rewolucji, nie było takiego ożywienia umysłów. Ma się wrażenie, że te wysiłki tytaniczne, ta walka maszynowa, w której

zwycięża nie odwaga i zdolność jednostek, lecz dokładność wykonania działa, karabinu, mitraljezy, samolotu, bomby, czyli... przemysł fabryczny, że ta walka musi doprowadzić do pożądanego rozbrowienia, bo okaże się wreszcie, że najlepsze pomysły i najdokładniejsze wykonanie stanowią tylko wartość przejściową, po której przyjść musi dalsze udoskonalenie. A na postęp w kierunku wzajemnego mordowania się nie zgodzą się ostatecznie ludy.

Podług wyliczeń Blocha wojna współczesna nie może trwać ponad parę miesięcy. Jeżeli tak jest istotnie, zmagania powinny skończyć się rychło. Jednak nie może pomieścić się w głowie, aby wojna, do której Niemcy gotowali się od 40 lat, miała rozwiać się, jak mgła ze względów materialnych. Ma się nawet wrażenie, że Bloch przeceniał wartość złota. Powiesz: pięta Achillesowa semitów.

Wciągnąłem się już do pracy szpitalnej z jej formalistyką zabójczą. Przykry jest stosunek do zwierzchników, którzy uważają nas nie za towarzyszy pracy, lecz za podwładnych urzędników. Zawadzkiej zjawia się od czasu do czasu w oddziałach i wydaje zarządzenia, niezgodne nieraz z prostą logiką. Oto był dziś w oddziale chirurgicznym i czynił wyrzuty lekarzowi, że opatrunek jest zakrwawiony.

— Należało zatamować krew—prawi generał w tonie rozkazującym.

— Robiłem, co można,—tłumaczy się kolega.—Ale z takimi ranami postrzałowemi należy być ostrożnym, aby nie wywołać krwotoku.

— Nie znasz się pan na tych rzeczach!—woła generał.

Kolega zwiesza nos i stoi, jak przestępca, któremu udowodniono wykroczenia. A całe otoczenie z Bogdanowem na czele, patrzy nań, jak na zbrodnia-

rza, którego tylko wielkie miłosierdzie może uwolnić od kary.

W oddziale wewnętrznym zapytuje Zawadzki innego kolegę:

— Co jest temu choremu?

— Ma zapalenie oskrzeli.

— Co też pan mówi?! Od jednego spojrzenia rozpoznaję, że to suchoty. Patrzcie: chory wynędzniały, wypieki na policzkach, gorączkuje, poci się... Pluć ś krwią?

— Nie pluć nigdy krwią, wasze przewoschoditelstwo,—odpowie chory, wstając z łóżka i wyprężając się, jak struna. Policzki jego tętnią żywym rumieńcem, rozpięta koszula odsłania pierś atletyczną, kark gruby, jak u wołu, mięśnie przerosłe.

— Matka żyje?

— Umarła na wiosnę.

— Kaszlała? Tak... Oto macie, panowie typowy przykład suchot dziedzicznych. Doświadczony lekarz stwierdza to od pierwszego spojrzenia.

— Suchoty t. z. młynarskie,—szepnąłem półgłosem.

— Wasze przewoschoditelstwo, — rzecze żołnierz,—matka umarła na apopleksję w 63 roku życia.

— Molczil—krzyknął generał,—co ty się znasz na tych sprawach!

Otoczenie zachowuje głuche milczenie. Zawadzki z miną zwycięzcy na turniejach Olimpijskich rozgląda się, jak gdyby oczekiwał wieńca laurowego. Lecz wszyscy stoją nieruchomo. Strapiony jest tylko lekarz, który rozpoznał bronchit.

Takie i podobne sceny rozgrywają się dość często. Do mojego oddziału zachodzi Zawadzki rzadko i bawi w nim krótko. Ale inni koledzy doznają wprost dreszczu na widok powozu zaprzęzonego w białe konie, którym jeździ ten dostojnik.

Razu jednego, wracając z kolegą, który zapom-

niał języka przy chorym na suchoty młynarskie, rzekę:—Ustąp z drogi, bo oto idzie pularda, przeznaczona dla generała na potrawkę.

— Łatwo ci dowcipkować. Ale spróbujesz, gdy na ciebie przyjdzie kolej.

— Przypuszczasz, że pozwolę gadać sobie brednie? Niech szewc pilnuje kopyta, a generał podszewki.

Prawdziwa komedja, gdy generał spotka na dziedzińcu dyżurnego lekarza. Trzeba stanąć na baczność i raportować „Wasze prewoschod... W powierzonym panu szpitalu Ujazdowskim jest tylu a tylu chorych...” Następuje wyliczenie podług stanowiska: oficerów i żołnierzy oraz rodzaju chorób. Ponieważ liczby przekraczają 2½ tysiąca, więc po nocy nieprzespanej łatwo jest się pomylić. Zresztą jest to czcza formalność, bo recytuje się z kartki, którą dostaje co rano lekarz główny, jego pomocnik, lekarz dyżurny i inni. Generał salutuje, wpatrując się w dyżurnego spojrzeniem dwugłowego orla i daje wskazówki: — Nie powiedziałeś pan: „nie było wydarzeń niezwykłych”, albo; „czemu nie powiedział pan o przywiezieniu trupów, o braku mięsa, chorobie komisarza R“?

— Nie wiedziałem, — wrywa się dyżurnemu.

— To źle, bardzo, źle! Lekarz dyżurny obowiązany jest wiedzieć o wszystkim, bo reprezentuje mnie, lekarza głównego.

Po takiej mustrze następuje deser w postaci podania ręki. Generał idzie w swoją stronę, a dyżurny do t. z. „przyjemnego” pokoju, jak pies pobity do swej budy, klnąc na swój los. Wprawdzie mamy w swem gronie paru wirtuozów do raportowania. Są wzrostu wysokiego, wyprężają się, jak żołnierze, mówią donośnie, bez zająknięcia, jak gramofony, na wszelkie zapytanie odpowiadają: „toczno tak”. Władza ceni ich bardzo, jako godnych przedstawicieli medycyny, faworyzuje i wyróżnia. Ja zaś nie zadaję sobie

najmniejszego trudu z wciąganiem brzucha, z wystawianiem piersi i innymi popisami gimnastycznymi, mówię głosem naturalnym, sądząc, że głuchota nie powinna stanowić cechy nieodzownej przedstawicieli władzy.

Zawadzki miewa i momenty, kiedy występuje w roli mecenasa nauki. Siada wtedy pod koniec naszych zajęć na ławce przed wyjściem ze szpitala i zatrzymuje ordynatorów, podążających na miasto. Zaczyna się rozmowa, omawianie przypadków osobliwych i zachęta, aby je uwiecznić dla chwały medycyny rosyjskiej. Słuchacze popisują się czasem swymi spostrzeżeniami, a pan o podszewce czerwonej, nosie orlim, czole marsowem i ruchach gorączkowych robi swe uwagi i daje wskazówki. Uczestnicy takiej uczty umysłowej winni się zachować, jak słuchacze natchnień Nerona.

Przybyli pierwsi jeńcy. Są zmizerowani. Zagaduję Ślązaka. Mówi słabo po polsku i jest zrozpaczony, że nie ujrzy prędko swej ziemi, kopalni węgla, w której pędził żywot marny.

— Zawsze jednak bezpieczniej wam tu będzie, niż w wojsku niemieckim.

— Głodzą i mordują, — jęknął jeńiec.

— A wy, jak postąpiliście z kaliszczanami?

— Byłem przy zdobyciu Kalisza, — mówił drugi, — ale krzywdy nikt z obywateli spokojnych nie doznał.

— To nie urządzaliście tam rzezi i pogromu, nie spaliliście miasta?

— Do mnie samego, żołnierza bezbronego, strzelił z za płota chłop. Położyłem go natychmiast trupem. Ale spokojnym obywatelom nie spadł włos z głowy, chyba że stawiali opór.

— A jak to zabiliście, żołnierzu bezbronny, podstępnego chłopca?

— Strzeliłem z karabina, — odparł bez zająknięcia.

— To uzbrojony jest wasz żołnierz dopiero, gdy ma armatę?

Prusak zachowywał się dumnie. Nie wdawał się w rozmowy, a opatrunek znosił bez jęku, zacisnąwszy zęby.

Pierwsi jeńcy... Złamany jest ich wygląd, twarze zbolale. A przecież dla nich osobiście to może najlepsze rozwiązanie, że dostali się do niewoli na początku wojny. Sporo ich towarzyszków legło przy pierwszych wystrzałach. Inni będą jeszcze narażali się dziesiątki razy na niebezpieczeństwo, aż kula ich prześzyje, lub żelazo przebije. A jednak jeńcy zdają się tego nie rozumieć. Może ożywia ich taki zapal do walki o ideały germanizmu, że bezczynność własną, gdy współbracia idą naprzód, uważają za największe swe nieszczęście?

Warszawa

28 sierpnia 1914 r.

Kochana moja! Cieszę się, żeś się uspokoiła. Nie grozi mi niebezpieczeństwo. A że jest trochę trudności, to wszak inaczej być nie może. Pierwszy okres zamieszania i strachu przeminął. Życie wraca do trybu zwykłego. Niema już trudności z dostaniem chleba i cukru. Jadłodajnie są czynne, nie zagraża więc głód.

Obowiązki szpitalne zaczynamy o 8½ rano. Naprzód posiedzenie w pokoju dyżurnego, albo w parku, gdzie mówi się o sprawach wojennych. Każdy jest w nich znawcą, bo... ma u boku, „szaszkę“. Ale po kilku dniach okazuje się, że sprawy popłynęły całkiem innym korytem. Wtedy jeden znawca przymawia drugiemu, jak doświadczona ciotka: a widzisz? nie mówiłem? — Nie mówiłeś! Ot i racja do nowych sporów.

Poborowi są umieszczeni w namiotach. Bada się ich i zapisuje wyniki na kartach szpitalnych, które przeznaczone są do komisyj, wydających orzeczenie. Większość badanych nie zdradza objawów chorobowych. Ale nawet tam, gdzie się je wykrywa, komisja ocenia na oko: dobrze zbudowani, rośli, pełni są uważani za zdrowych, choćby ordynator stwierdził wadę serca, zapalenie opłucnej, lub początki gruźlicy. Wtedy komisja orzeka, że są to „zaburzenia czynnościowe“, nie przeszkadzające służbie wojskowej.

Nieraz ma się wrażenie, że komisja jest stronna, zwłaszcza gdy zjawi się Bogdanow. Często w komisjach z udziałem lekarzy policyjnych pod kierunkiem Bogdanowa zwalniani są poborowi o zdrowym wyglądzie. Dużo jest wśród nich żydów:

Przed paru dniami wywołał Bogdanow pana Z. i prosił, abym go zbadał. U tego doskonale zbudowanego mężczyzny stwierdziłem lekkie zmiany we wsierdzu po przebytem kiedyś zapaleniu. Bogdanow nalegał, abym uznał je za wadę serca. Na me oświadczenie, że nie mogę tego uczynić, przekonywał mnie: — Pan nie ma pojęcia, co to jest pobyt w okopach.

— Wszak u innych poborowych nie brało się tego w rachubę.

— Dla człowieka inteligentnego musimy mieć inną miarękę.

— Jestem za bezwzględną równością wszystkich wobec prawa, — bronię się.

— Niech pan zanotuje objawy choroby, — komendoruje Bogdanow.

Biorę arkusz szpitalny i piszę wyniki badania po uprzedniem porozumieniu się z rozkazodawcą, który upiera się stanowczo przy rozpoznaniu wady serca. Po długiej dyskusji ulegam wreszcie, dodając wszakże, że wada jest wyrównana.

— Czy zdatny jest do służby wojskowej?

— Tak, do pozafrontowej,

Jakto? Pan nie znasz przepisów obowiązujących? Czas by się ich nauczyć.

— Daruje pan. Zaznajomiłem się z niemi nietylko teoretycznie, lecz i z praktycznem zastosowaniem ich na komisjach. Niewątpliwe wady serca uznawaliśmy tu często za „zaburzenia czynnościowe”, a chorych — za zdatnych do służby w szeregach. Sumienie nie pozwala mi robić w danym razie wyjątku.

A konno może chory przejechać 50 wiorst? przejść tyleż na piechotę?

Wszak to nie wchodzi w zakres czynności pozafrontowych.

— A to pan nie zna się na elementarnych sprawach wojskowych. Dziwna lekkomyślność w decydowaniu o życiu rodaka!—woła Bogdanow, przeszywając mnie swoim zimnem spojrzeniem.

Ogarnia mnie wstyd. Oto czynownik strofuje mnie, że jestem zbyt gorliwy przy skazywaniu rodaków na trudy i niebezpieczeństwa wojny w armji, która jest nam wroga od stu lat. Cóż to? Wciągu miesiąca mogłem stać się tak gorliwym urzędnikiem carskim, że zapomniałem, iż każde życie polskie, zatracone marnie, jest pogrążaniem naszej sprawy w otchłani niebytu? Okropność!! Czyż mało ofiar pochłonęły powstania? Mało rodaków, walczących o Polskę, zginęło od pik i nahajek kozackich, w śniegach Sybiru...

A małe oczki twarzy pergaminowej przeszywają mnie na wskroś, zdając się urągać: polaczek, przedawca własnego brata...

Na w pół świadomie przerabiam moje orzeczenie na: niezdatny do służby wojskowej.

— Słusznie,—rzecze mój hypnotyzer, składając papier i odchodząc z nim w kierunku gmachu głównego.

Siedzę chwilę bezwładny. Wzrok świdrujący przejął mnie odrazą. Ta marna postać sponiewierała moje uczucie najświętsze. Raptem uderza mnie myśl, jak piorun: ten wytrawny aktor, który grał na mej psychice, jest to zwykły łapownik, a ja stałem się jego narzędziem przez mą naiwność. Zrywam się, by zawiadomić d-ra Zawadzkiego. Lecz przychodzi opamiętanie: wszak najwinniejszy jest ten, kto dał łapówkę. Zgubię go. Może mało wart jest Polak, wchodzący w konszachty z takimi ciemnymi żywiołami? Jednak... A bo ja wiem? Żona, dzieci? Ratuje się, kto może.

Postanawiam mieć się na baczności. Czyż jednak można się ustrzec? Od czasu mej epopei straciłem praktykę wśród żydów. Nie martwiło mnie to bynajmniej. Dziwi mnie jednak, że żydzi zaczęli się znowu zjawiać w godzinach przyjęć w pokaźnej liczbie. Wprawdzie odwołałem dwie sprawy, wytoczone redaktorom o oszczerstwo, nie chcąc dochodzić własnych krzywd w okresie dcniosłych wydarzeń dziejowych. Nie przypuszczam wszakże, aby to odwołanie miało się stać głośnem. Zagadka wyjaśnia się niebawem. Są to wszystko poborowi, dopraszający się świadectwa, że są niezdatni do wojska. Odmawiam. Nie mam prawa. Aliści zjawia się inna klientela.

— Panie doktor, u pana w trzeci namiot leży jeden taki blady żydek... To mój mąż. Un jest bardzo chory, un ma sześć dzieci, wszystkie małe... Niech się pan doktor zlitujel! My nie bogaci, ale pożyczę...

— Proszę wyjść!—wołam w uniesieniu.

— Niech się pan dr. nie boi. My nie bogaci, ale ja mogę na taki interes pożyczyć duzo! 200, 300 rb.,... więcej.

— Nie zajmuję się takimi sprawami...

— Dam 500 rb. Pan dr. nie potrzebuje się

gniewać, — licytuje żydówka w jedwabiach, peruce i kolczykach brylantowych.

— Nie biorę za takie rzeczy pieniędzy...

— To za fatygę... Inni biorą... To lepszy towar, niż każdy inny. Czemu to mój mąż nie trafił do doktorów?!..—Tu następuje lista lekarzy policyjnych i zaprzyjaźnionych z nimi z Bogdanowem na czele. Słucham. Potwarz, czy spowiedź od serca? O, nie mam już dziś wątpliwości, że to spowiedź. Ci panowie mają zawsze coś do szeptania między sobą, a prócz tego zbierają się co dnia na giełdzie poborowej w jednej cukierni. Do tej zacnej kompanji należy trzech Polaków, jeden Żyd, jeden Polak prawosławny i paru Rosjan... Pośrednikami w tem przedsiębiorstwie są wyłącznie żydzi i parę jakichś dam (?). Istnieje i fabryka kalek, w której wodzi rej chirurg M.

Lekarz, ratujący poborowego od możliwej śmierci, uważa siebie za dobroczyńcę. Na Nalewkach nazywają Bogdanowa, „güter Mensch“. Gdyby nie za pieniądze, byłby to antimilitaryzm, zgubny podczas wojny, ale zawszeć pewien światopogląd. I gdyby nie uwalnianie przeważnie żydów, którymi się pogardza, możnaby mówić o... humanitaryzmie. Ale tak? Może ma słuszność moja klientka, to „taki sam dobry towar, jak każdy inny“.

Mam jednak i inną klientelę. Oto mama, żona, siostra, brat, swat pacjentów szpitalnych zjawiają się w różnych porach dnia i nocy, żądając wyjaśnień. Wobec nadmiaru tych gości, uniemożliwiających wykonywanie praktyki lekarskiej, musiałem oświadczyć, że nie załatwiam w domu żadnych spraw szpitalnych. Jednak służący nie może dać sobie rady z tą klientelą. Oto, wróciwszy o 8-ej ze szpitala, zastaję w poczekalni paru chorych i jakąś damę z córką w zmoczonych paltach i kaloszach, rozwalone na

kanapie. Oświadczają mi, nie wstając, że przyszły w sprawach szpitalnych.

— Nie załatwiam tu takich spraw.

— Pan źle leczy mego syna, muszę zaprotestować...

— Pani jest lekarką? Nie. To jakim prawem pozwalasz sobie na zarzuty?!

— Podam skargę na pana do głównodowodzącego! Pan nie wiesz, z kim masz do czynienia.

— I nie chcę wiedzieć! Nic więcej nie mam paniom do powiedzenia.

Nazajutrz okazało się, że kupczycha K. poległa zbyt na swych koligacjach z żandarmerją. Ale strzelba spaliła na panewce.

Biurokracja liczy się przede wszystkim ze szli-fami. A że moje są kapitańskie, więc każdy dwuszlakowiec, nawet felczer z zawodu, zadziera przedemną nosa. Jeden z kolegów opowiadał mi, że musiał dowodzić odciętym oddziałem, jako najstarszy rangą, gdy wyginęła strarszyczna.

— Jakże sobie kolega radził?

— Naradzałem się z oficerami. Wysyłaliśmy wywiadowców, staczaliśmy potyczki i po kilku tygodniach przebiliśmy się do naszych wojsk.

— Z tego widzę, że kolega nie posiada zdolności biurokratycznych. Czynownik nie zasięga nigdy rady podwładnych, bo jego uzdolnienie płynie z... zajmowanego stanowiska.

Macie nawet charakterystyczne w tym kierunku przysłowie „Kto palku wziął, tot i kaprał“.

Inny kolega opowiada o niespodziewanych odwiedzinach lazaretu polowego przez lekarza dywizyjnego. Nie wiedząc, jak należy się zachować, zwrócił się do lekarza starszego, który odrzekł krótko: „raportować”, sam zaś... umknął.

— Zwracam się tedy do przyjezdnego i zapra-

szam gościnnie do wnętrza szpitala. On zaś pyta: a pan kto jesteś? Ordynator, dyżurny? Tak. Więc: ręką do czapki, pałasz do boku i raportować. Były to pierwsze moje kroki, za które o mało co nie dostałem się pod sąd wojenny... A dokoła grzmiały [działa...

Lekarzowi cywilnemu trudno jest nałamać się do porządków wojskowych, o ile zrosł się z myślą, że jego zadanie polega na leczeniu chorych. Jestem właśnie w takim położeniu. Oto strofuje mnie Bogdanow:

— Czy nie zechce pan wreszcie odziewać się podług formy?

— Mam mundur, spodnie, czapkę, szaszkę... chyba wystarcza?

— A buty długie, ostrogil? Za takie zaniedbanie możesz pan dostać się pod sąd!

— Buty długie obowiązują tylko na froncie,— odpowiem,— a o ostrogach... marzyłem, gdym miał lat 10. Teraz na starość musiałbym uczyć się je nosić. Zresztą nie dajecie mi konia pod wierzch.

— Niech no pana zobaczy ks. Oboleński, lub komendant miasta.

Sprawa butów dała mi się tak we znaki, że zdecydowałem się wreszcie je włożyć, pomimo gorąca. Koledzy podkpiwali.

— Pożyczyłeś od ekonomy?

— Nie każdy jest elegantem, jak wy, aby się stroić w lakiery, jak do generała na bal, lub w konkury do popadjanki. Chodziło się w nich po gumnie; niechże zobaczą i wielki świat.

Bogdanow pochwalił mnie za cholewy:—Dr. M. reformuje się!

— Zaczął pan moją reformę od podstaw. Jeżeli wojna się przeciągnie, mogę wyjść jeszcze na prawdziwego lekarza wojskowego, Pustogółowcewa.

— Czyż mało jest wśród lekarzy wojskowych

ludzi zdolnych i zasłużonych dla nauki? Niechęć, niechęć, nic więcej!

— Bynajmniej. Jednak droga myśli, poszukującej prawdy i poznania przyczyn, jest inna, niż droga urzędnicza.

Takie i podobne rozmówki wypada mi prowadzić dzień w dzień. Koledzy są zdania, że mają prawdomówność skończy się fatalnie. Być może. Jednak nie umiem nagiąć się do lapidarnych: „słuszaję“, „toczno tak“, „kak przykażetie“, które nie przelazłyby mi nigdy przez gardło. Mam nawet wrażenie, że zwierzchnicy liczą się ze mną, gdy „słuszaję“'ników lekceważą. Przed paru dniami chwalił się kolega Ł.....—Powiedziałem Bogdanowowi, aż mu poszło w pięty.

— Wzięliście na odwagę? Dogryzł i wam...

— A, niech go! Popamięta mnie do śmierci. Właściwie my dwaj nie dajemy dmuchać sobie w kaszę. Inni ulegają na pierwsze skinienie.

— A o cóż poszło? — pytam odważnego kolegę.

— Czepiał się, że leczę żołnierzy, że ich przetrzymuję w szpitalu. Alem mu powiedział!

— Cóż takiego? — pytam rad, że znalazłem kolegę z poczuciem godności osobistej.

— Powiedziałem mu, że medycyna wojskowa to nie lecznictwo właściwe, lecz organizacja biurokratyczna, dla której papier to grunt.

— Ależ Bogdanow jest tego samego zdania i nie krępuje się w jego wygłoszeniu, — odpowiem koledze, który zapracowuje się na stanowisku młodszego ordynatora oddziału żołnierskiego, gdy starszym ordynatorem jest lekarz policyjny, wymyślający żołnierzom, jak kapral, i obeznany z lecznictwem, jak felczer z Koziej Wólki.

Dobiega miesiąc wojny. Ma się jednak wrażenie, że ciągnie się ona już rok. Czasopisma prze-

pełnione są wiadomościami sensacyjnymi i wydają po parę dodatków na dzień. Rosjanie posunęli się do Prus Wschodnich, Belgowie cofają się do Antwerpji; Niemcy zdobywają Brukselę, Lounewill, pierwszą linię obronną Namuru; Austria wypowiada wojnę... Japonji. Początkowo czytuję wszystkie gazety i dodatki, potem tylko niektóre dla braku czasu, wreszcie przychodzi się do wniosku, że dodatki, to zwykła spekulacja, obliczona na zdenerwowanie ludności, i że nie godzi się wierzyć wszystkiemu co drukowane, natomiast wrócić należy do zarzuconej niesłusznie i ośmieszanej, jak stara panna, poczty pantoflowej. Przynosi ona wiadomości sensacyjne. Oto w Krakowie połączyły się ze „Strzelcem“ „Drużyny Strzeleckie“. Na czele tych polskich organizacji stanął Józef Piłsudski, zacięty wróg caratu, który już w 1908 r. zaczął skupiać młodzież polską we Lwowie i Krakowie w celu stworzenia zaczątku przyszłej armji polskiej na wypadek wojny. Ta działalność spotkała się z niechęcią i przeciwdziałaniem „lojalnych“ stronnictw zachowawczych. Jednak związki wojskowe rosły i skupiały w swych szeregach młodzież niepodległościową wszelkich ugrupowań społecznych i politycznych. W początku wojny zjednoczyły się te siły w Krakowie, a Piłsudski mówił do nich: „jesteście żołnierze polscy. Jedyńm waszym znakiem jest Orzeł Biały. Spotkał was zaszczyt niezmierny, że pierwsi wkroczycie do Królestwa Polskiego, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za wskrzeszenie Ojczyzny...“

Dzienniki milczą o tych poczynaniach, lub charakteryzują ich kierownika, jako przewrotowcę, który łączy się z niemcami przeciwko słowianom. Jednak głosy, dochodzące przez poszczególnych jeńców Polaków, wskazują, że w w Galicji dzieje się coś ważnego. Już 6-go sierpnia wyruszyła na Miechów kom-

panja. Pod Słomnikami padły pierwsze strzały. 8-go sierpnia wyruszyły dwa bataljony strzeleckie pod komendą Trojanowskiego i Kordjana, przeszły granicę pod Raclawicami pod naczelną komendą Piłsudskiego...

Słucham tych opowieści z zaciekawieniem... Oto przypominają się mi Raclawice, gdzie walczyłem z cholerą w 1893 roku. Żyły one wtedy pełnią wspomnień o Kościuszcze, kosynierach, o powiewie świeżym nowego życia, płynącego z konstytucji 3 maja, chociaż Targowica chciała zdusić te „nowinki“. Dziś znowu sły hać o nich. Widzę je, ich żyzną glebę Proszowską, ich bujne łąny pszenicy, ich pagórki, wąwozy, ruczaje, ich rosły, dziarski lud w białych sukmanach z czerwonymi naszyciami... I naraz staje przed oczami wyobraźni człowiek o oczach, pełnych głębi i zapału, czole wyniosłem, zbrudzonem myślą, bujnych brwiach krzaczastych. Widziałem go raz jeden. Było to podczas rewolucji rosyjskiej w 1906 r. Brał w niej czynny udział. Wiara w pokonanie caratu w drodze przewrotu była jego gwiazdą przewodnią. Dziś ten człowiek posuwa się szlakiem Kościuszkowskim jako Komendant zjednoczonych strzelców i drużyn. Zajął Kielce, Radom, myśli o zajęciu Warszawy. Ta garstka lichu uzbrojonych chłopców ma w sobie coś z legendarnych rycerzy, ożywionych wiarą w wodza i w zwycięstwo. Jeńcy legjoniści są obdarci, wygłodzeni, znużeni. Jednak z ich oczu bije zapal do czynu i miłość dla ich Komendanta. A to ich odróżnia od wszystkich innych jeńców, którzy poczytują niewolę swoją za pewny pancerz, zabezpieczający od kuli i pocisku... Kto wie, co za górą?

Warszawa

5 września 1914'

Kochana moja! Szczęsny dojechał pomyślnie. Chłopiec wygląda dobrze. Umieściłem go w szkole Kopoczyńskiego. Ma dziś mniej kolegów, niż w roku

zeszłym. Ubyło również kilku nauczycieli. Paru dostało się do wojska. Nauka nie zapowiada się sprężysto. Jednak dobrze, że się szkoły zaczęły, bo bezczynność dla dzieci to zły doradca. Nie mogę poświęcić chłopcu dużo czasu. Jednak liczę na pocztówkę Julję, która go lubi i pilnuje. Jest mi w domu teraz raźniej: mam z kim pomówić i zasiąść do stołu. Obawiam się jednak, czy damy sobie radę z opalem, bo trudno go zdobyć.

Zaczyna braknąć rozmaitych rzeczy, między innymi: waty, gazy, bandaży; zdaje się, że jest to wstęp do śrubowania cen. Aferzyści kręcą się koło generała, który zasięgnął naszego zdania, jak się ułożyć z dostawcami. Dzięki temu mamy nieco więcej spokoju w szpitalu.

Rozeszła się wiadomość, że Zawadzki ma awansować na inspektora sanitarnego z siedzibą w Mińsku. Musiał się o to wystarać z uwagi na większe bezpieczeństwo. Niech mu służy nowe stanowisko. Kto jednak będzie jego następcą? Oby nie wśrubował się Bogdanow, bo byłoby jeszcze gorzej. Ale na to stanowisko trzeba mieć; podszewkę czerwoną i stopień d-ra. medycyny. O pierwszą — trudno, a stopnia Bogdanow nie zdobędzie, bo jest wybrakowany jako lekarz. Może zresztą medycyna wojskowa przyznaje stopień doktora za znajomość XVI tomu ustawodawstwa, który zna B. na wrywki.

Cieszę się dużym uznaniem wśród moich pacjentów oficerów. Poznają na pierwszy rzut oka, że jestem lekarz cywilny, bo ich badam i leczę, czego unikają zawodowi wojskowi. Są też mnie wdzięczni, że ich osłaniam od napaści Bogdanowa, który traktuje ich w czambuł, jak maruderów. Trudno wysyłać do okopów chorego gorączkującego, albo takiego który ma ostre zaburzenia nerwowe, narządów trawienia, krążenia i t. p. Zresztą przysyłają ich lekarze z oddziałów frontowych

na leczenie. Na należyte rozpoznanie potrzeba nie-
raz kilku dni. To też ustne zarządzenie Bogdanowa,
aby oficer pozostał w szpitalu najwyżej 3 do 5 dni
jest niewykonalne i naogół krzywdzące.

Wśród moich chorych jest dużo lekarzy. Z tego
powodu miewam z Bagdanowem częste przeprawy.

— Niech pan zarządzi, aby dyżurni nie przyjmo-
wali lekarzy, i sprawa będzie załatwiona, — tłoma-
czę. — Wszak nie mam prawa usunąć ze szpitala ko-
legi, chorego na zapalenie ślepej kiszki, na ostrą cho-
robę gorączkową, na gruźlicę, zapalenie płuc, nerek
wsierdża. Każdy chory jest mi drogi, ale względem
kolegi...

— W wojsku niema koleżeństwa, — przerywa
Bogdanow, — tylko obowiązek względem tronu i oj-
czyzny!

— Nie mam najmniejszych złudzeń co do tego.
Ale mnie obowiązuje etyka, w której wyrosłem.

— Dziś nosisz pan mundur i musisz się zastoso-
wać do naszej etyki.

— A jeżeli dajmy na to pan zachoruje i bę-
dzie chciał leczyć się w szpitalu, to mam powie-
dzieć: proszę nie udawać chorego, bo odsetek cho-
rych lekarzy dosięga 20 proc, a powinien wynosić 2 proc.

— Pan ośmieliłby się powiedzieć mnie coś po-
dobnego?

— Pan żąda, abym to czynił w stosunku do in-
nych kolegów.

— Jestem pańskim zwierzchnikiem, a nie pań-
skim kolegą! — krzyknął ostro.

— Nie mam pod tym względem żadnych wą-
pliwości.

Nastąpił przegląd chorych lekarzy. Ani jeden
nie nadawał się do wypisania. U paru choroba zano-
siła się na dłuższy okres.

— Żądam, żeby pan wypisał czterech wciągu tygodnia. W razie przeciwnym... pan zobaczy.

— Których pan chce usunąć? Niech pan skorzysta sam z prawa, jeżeli je pan posiada. Ja mogę najwyżej napisać w karcie szpitalnej: „wypisany z rozkazu pomocnika lekarza głównego“.

Bogdanow przeszył mnie mongolskimi oczami i prawil: — Lekarz wojskowy powinien użyć całej energii, aby przekonać oficera, że jest zdrow, i wyprowadzić go co prędzej do szeregów.

— A jeśli który gorączkuje?

— Pan sądzi, że nie można udać gorączki? Stuka się w termometr i robi się 40 stopni.

— To jest tylko ciepłota, którą mogę sprawdzić sam, lecz nie gorączka, jako szereg objawów choroby zakaźnej.

Bogdanow robi minę, jakgdyby rozumiał o co chodzi i prawi: — Każdy taki udawacz posiedzi w nocy przy oknie otwartem i zaziębi się. Oto jak stwarzają choroby, aby wodzić za nos was, lekarzy cywilnych.

— Przedewszystkiem — odrzekę — nie uznaję przeziębienia za czynnik chorobotwórczy, a powtóre, gdyby takiemu oficerowi miało zaszkodzić okno otwarte, to cóż powiedzieć o pobycie w okopach, o postoju na łąkach, w bagniskach, o przeprawach przez rzeki?

— Pan nie wierzy w zaziębienie?! Tego nie wolno lekarzowi wojskowemu. Obowiązany jest on być zawsze w zgodzie ze swą władzą. Rzeczywisty radca stanu Zawadzki, ja, radca stanu i inni wyżsi rangą lekarze wierzą w zaziębienie więc i pan powinien.

— Ależ nietylko oni! Rozmaite ciotki i babki uważają również zaziębienie za przyczynę wszelkich cho-

rób: A swoją drogą moje dobre wychowanie i grzeszność dla dam nie skłonią mnie do zlekceważenia nauki i logiki.

Bogdanow popatrzył na mnie z wyrzutem. Może poraz pierwszy w życiu usłyszał, że radca stanu, on we własnej osobie i ten, komu zazdrości podszewki czerwonej, mają stać pod względem swej umysłowości i wiedzy w jednym rzędzie... z ciotką. A ja ciągnę dalej:

— Słusznie pan mówi „wierzyć” w zaziębenie. Wyrosłem z wielu wierzeń i przesądów, natomiast staram się wiedzieć i rozumieć. I to stanowi różnicę między nami.

— Lekarz wojskowy powinien wiedzieć tylko to, co mu władza rozkaże. Wszystko inne prowadzi do wolnomyślności.

— To na co są wam potrzebni lekarze? Trzeba było zgromadzić felczerów i pielęgniarzy, dać im rozkazy do ślepego wykonania i dział sanitarny byłby w porządku. Panowie nie mielibyście kłopotu, bo każdemu choremu można byłoby wytłomaczyć, że mu się tylko wydaje, iż jest chory, a ja byłbym b. rad, zwolniwszy się od mundura.

— Nikt nie jest z większym szacunkiem dla nauki ode mnie; — broni się pan o twarzy pergaminowej. — Ale pan nie chce stanąć na wojskowym punkcie widzenia. Czyż można trzymać w szpitalu „neurastenję”, migrenę, romatyzm? To są choroby na czas pokoju, a nie wojny.

— O ile będzie wydane rozporządzenie, żeby nie przyjmować do szpitala chorych tego rodzaju, to przez to samo będą usunięte wszelkie wątpliwości. Ale dziś nie mam prawa powiedzieć choremu: usuwam cię, bo nie jesteś chory, albo: władza moja nie uznaje takich chorób i każe wstrzymać się z bolesciami do czasu pokoju. Pomijając już to, że jako le-

karz nie miałbym sumienia i prawa tak postąpić, muszę się liczyć i z tem, że neurastenik może odpowiedzieć na taką obelgę policzkiem, lub szablą. Wprawdzie Apuchtin dostał za policzek Aleksandra Newskiego, ale ja zrzekam się obu rodzajów tych odznaczeń. Bogdanow zaczął rozpytywać o stan chorych. Pierwszy z brzegu miał katar żołądka.

— Pokaż pan język, — nakazuje B. i widzi, że język jest pokryty sporym nalotem.

— Głupstwo. Proszę zobaczyć, jaki ja mam język. To mówiąc wywiesza iście wołowy ozór, pokryty grubą warstwą szarą, z brodawkami, jak u kota.

— Powinszować! — rzekę na ten widok.

— Wypisać ze szpitala! — rozkazał krótko B.

— Napiszę w takim razie, że na pańskie rozporządzenie, bo sam jestem zdania, że chory powinien leczyć się tu jeszcze przynajmniej tydzień.

Po długich targach stanęło na pięciu dniach, które mają bądźco bądź niejakię znaczenie dla chorego, nie mogącego zachować diety na pozycji.

Następny chory miał neuralgię kulszową. I znowu Bogdanow oświadcza, że jest dotknięty tem samem cierpieniem, jednak jest na swem stanowisku, a więc i oficer powinien wrócić na swoje. Chory na to:

— A możeby i pan spróbował okopów?

I znowu oburzenie, że kapitan mówi bez szacunku należnego do radcy stanu, znowu uwagi pod moim adresem, że rozpuszczam chorych, pozwalam im na nieposzanowanie władzy.

— Moje zadanie, — odpowiem, — leczyć tych chorych. Wykształcenie i wychowanie wojskowe otrzymali gdzieindziej. Nie mogę być za nie odpowiedzialny.

Następny chory leczył się w gabinecie dentyścym. I znowu Bogdanow demonstruje własne

szczęki, zaopatrzone w jeden tylko zdrowy ząb, trzy spróchniałe i kilka korzeni:

— A swoją drogą gryzę nawet skórkę chleba.

— Nawet rzeczy twardsze,—dodaję z uśmiechem.

Następny chory uskarża się na hemoroidy. I znów Bogdanow zapewniał, że cierpi również na tę dolegliwość, ale nikt z obecnych nie zapragnął sprawdzić, czy tak jest w rzeczywistości. Ja zaś zaznaczam:

— Ależ posiada pan istotnie podręczne muzeum patologiczne.

A kiedy była mowa o chorym następnym, uprzedzam zawczasu:—Tego to już pan nie posiada napewno w swoich zbiorach... Wład mlecza na tle przymiotu.

B. uśmiecha się dobrotliwie i prawi:

— Ośmioro dzieci, każde jak orzech, co rok to prorok...

— Czołem! — wyrażam mój zachwyt.

Takie pogawędki urozmaicają pracę, lecz pochłaniają dużo czasu i energii, bo trzeba mieć się na baczności, aby nie złapać się na jakiej sprawie formalnej, co do których B. jest mistrzem, umiejącym zrewanżować się za mętne sprawy poborowe i gospodarcze.

— Cóż to pan daje choremu mleko i napój żurawinowy?

— Czy niewolno?—pytam.

— To pan zna się tak na djetetyce! Pozwala pan mieszać mleko z kwasem, od którego ono się zważy?

— Mleko ścina się w żołądku pod wpływem czynników i kwasu solnego. Zresztą jadł pan prawdopodobnie nieraz kisiel żurawinowy z mlekiem bez szkody dla zdrowia. Pozatem chory nie ma obowiązku pić obydwu płyny jednocześnie.

— Ale nie można narażać skarbu na takie wydatki.

— Przepraszam. Nie wiedziałem. Ale to jest zagadnienie ekonomiczne, a nie djetetyczne.

— Dlaczego pan pozwala oficerom, aby mieli buty przy sobie?

— Jeżeli chory dostaje się na oddział w butach, niepodobna, bym mu je odbierał. Zresztą, to sprawa gospodarcza, a nie lecznicza.

— Nie raczył pan zaznajomić się z XVI-ym tomem praw, — dowodzi muzeum chodzące chorób i ułomności.

— Owszem, czytałem, lecz niema tam nic o tem, aby ordynator miał pilnować butów chorych.

— Pilnować porządku w oddziale, głosi paragraf...

— Nadzór nad porządkiem, to nie buty, którymi powinien kierować dyżurny przy przyjmowaniu chorych.

Z powodu butów, znalezionych przez Bogdanowa u żołnierza, miał jeden z kolegów wiele przykrości. Daremnie się tłumaczył. Pozbawiono go oddziału i oddano do pomocy młodszemu lekarzowi, znawcy wytrawnemu stosunków wojskowych. Nie robi on ceremonji z żołnierzami, traktuje każdego, jak przestępcę i wymyśla, jak drwał „po matuszkie” na całe gardło. Coprawda umie on mówić i bardzo cicho, szeptem, zrozumiałym tylko dla paru innych towarzyszków, pełniących wraz z nim obowiązki policyjne.

— Przed paru dniami uczynił mi Bogdanow wyrzuty, że rozmawiam z chorymi po polsku wbrew obowiązującym przepisom.

— Nie znam takiego zakazu. W XVI-ym tomie niema nic o tem.

— To są zarządzenia wewnętrzne, mające na celu uniknięcie niepożądanych tajemnic.

— Z chorym i cierpiącym najłatwiej jest porozumieć się w jego własnej mowie. I to jest dla niego najkorzystniejszej. Zresztą po odezwie w. ks. Mikołaja do Polaków nie powinny nastęrczać się takie wątpliwości...

— Ach, ta odezwał — woła Bogdanow, robiąc

cierpką minę. — Niema ona tu zastosowania. Ja nie rozumiem po polsku i nie będę się chyba uczył tego języka dla pańskiej przyjemności.

— Po dziesięciu latach pobytu w Królestwie Polskiem pan nie nauczył się naszej mowy?! Czyż to nie dowód, że pan nas lekceważy? Tembardziej muszę wskazać rodakowi, noszącemu mundur rosyjski, że chcę mu przyjść z pomocą w niedoli i chorobie. Zaufanie do lekarza i możliwość porozumienia się z nim szczerze, to połowa dodatniego wyniku leczenia.

Natarcie zostaje odparowane całkowicie, choć Bogdanow zapewnia, że inni lekarze nie ośmielają się mówić po polsku z chorymi. Zastrzega też, bym nie pozwalał sobie na to wykroczenie w jego obecności i na komisjach.

Najprzykrzejsze czynności ordynatorów to dyżury. Nietylko wypada spędzić w szpitalu 32 godziny przy pracy, lecz ma się tysiące przykrości i jest się odpowiedzialnym za wszystkie wydarzenia. Dyżur zaczyna się o 2-giej po południu bezpośrednio po wizycie rannej (8½ — 1 p. p.) i trwa nazajutrz do 2-iej p. poł. Zdawałoby się, że lekarz dyżurny jest potrzebny do pomocy ciężko choremu, lub w przypadkach nagłych. Gdzie tam! Na dyżurnego, „przelana jest władza lekarza głównego” podczas jego nieobecności, gdy zaś jest w szpitalu, odgrywa się rolę jego adjutanta. Dyżur zaczyna się od stawienia się w gabinecie lekarza głównego i formuły sekramentalnej, wygłoszonej przez lekarza ustępującego: „Wasze prewoschoditelstwo, dyżurstwo po gospiutulu zdał” i przez zaczynającego: „Wasze prewoschoditelstwo, dyżurstwo po gospiutalu pryńiał”. Wchodzi się w czapce i salutuje podczas przemowy. A choć jest ona krótka, jednak wielu z nas nie umie wykszusić jej jednym tchem. Mnie samemu łatwiej jest

wygłosić odczyt lub przemowę okolicznościową, niż tę formułę.

Po tej pantominie „prewoschoditelstwo” robi uwagi co do odzieży dyżurnego, guzików, rzemieni od pałasza, ostróg i t. d., zapowiada, że szpital ma być zaszczycony odwiedzinami „wysokoprewoschoditelstwa”, „sijatelstwa”, „impieratorskawo wysocze-stwa”, lub innych dostojników, że należy im raportować, a jego samego zawiadomić bezzwłocznie. Potem zostajemy zaszczytzeni podaniem ręki. Dyżurny otrzymuje obiad, składający się z kapuśniaku (szczy) i kawałka mięsa, zwykle kotleta siekanego z trochę kaszy. Jest to porcja oficerska, która przejada się moim chorym nader prędko. Ta estetyka podniebiena wyzyskiwana jest przez administrację w celu zmniejszenia chorych do dłuższego pobytu. Jednak oficerzy nie przejmują się tą metodą obrzydzenia szpitala i zaopatrują się na własną rękę w smakołyki, mając dość pieniędzy.

Nie zdąży się otrzeć ust, gdy felczer dyżurny melduje: „Wasze wysokobłagorodje” przybyli chorzy do przyjęcia.

W poczekalni siedzi kilkudziesięciu żołnierzy. Należy rozmieścić ich w oddziałach. Aby ich wszystkich obejrzeć zgrubsza, potrzebaby użyć kilku godzin. Oględziny mają być pobieżne. Jeżeli jednak okaże się, że został przyjęty chory zakaźny do niewłaściwego oddziału, odpowiedzialny jest lekarz dyżurny, chociaż na rozpoznanie trzeba czeka nieraz kilka dni.

Poczas oględzin jest się odrywaniem co chwilę do innych obowiązków. Oto przynieśli rannego, któremu trzeba zrobić opatrunek, choć nie jest się chirurgiem. Dalej zjawiają się oficerzy, a oficer korzysta zawsze z pierwszeństwa. Dalej przyprowadzają kilkunastu żołnierzy na poradę doraźną. Potem wzy-

wa szpitalniacy do obejrzenia i przyjęcia mięsa, mleka, jarzyn i innych produktów; ma się obowiązek sprawdzić ich wagę, ilość, gatunek. Zbrakować ich niewolno, jednak jest się odpowiedzialnym za ich własności. Potem podpisuje się rozmaite zapotrzebowania na: drzewo, węgiel do pieców, kotłów, kąpieli, na naftę, świece, lekarstwa dla administracji szpitalnej, sali przyjęć, na jedzenie dla przyjętych do szpitala i..., co najbardziej drażliwe, spirytus „do gardła” dla rozmaitych osobistości. Za każdy taki świstek jest się odpowiedzialnym, a niewolno uchylić się od jego podpisania. Wreszcie co chwila zjawiają się goście, odwiedzający chorych. Trzeba wydawać im pozwolenia pisemne, sprawdziwszy ich dowody. Często wzywają do telefonu o piętro wyżej rozmaite władze szpitale, komitety, nawet osoby prywatne, żądając nieraz informacji, której niema się prawa udzielać. W dodatku, w szpitalu jest około 2500 chorych, a wśród nich i tacy, którym trzeba zapewnić troskliwą opiekę. W tym celu jest jeszcze drugi lekarz dyżurny, pozostający w pawilonie wewnętrznym i w zasadzie podporządkowany lekarzowi w izbie przyjęć.

Około północy ruch w szpitalu zmniejsza się znacznie. Po zmęczeniu całodziennem pożąda się wypoczynku. Łóżko pociąga do siebie. Ale rozebrać się właściwie niewolno, a w ubraniu spać nie sposób w nocie upalne. Podług przepisów wolno jest najwyżej... odpiąć haftkę przy kołnierzu mundura. Bardziej ryzykowni rozbierają się do bielizny. Legaliści kisną w odzieniu przez noc całą, pełni lęku, że lada chwila może zajść potrzeba raportowania. Nad ramię jest się znużonym do upadłego. Jednak w tej porze zaczyna się największy ruch i zarazem obowiązki w oddziale. Z niecierpliwością wyczekuje się godziny 2 p. p. Jeżeli następca spóźni się, trzeba

TERESA DESZBERG

nań czekać. Są to chwile najpkzykrzejsze, jak ostatnia stacja do przejechania podkoniec dalekiej podróży.

Nawpół przytomny wracam do domu po dyżurze. I znowu trzeba wędrować do szpitala na 5 pp. Wieczorem nadaję się już wprost do trumny.

Bardzo mi tęskno do was. A jednak nie wracajcie. Niebezpieczeństwo bezpośrednie już minęło, wszelako niektóre przejawy nie wróżą nic dobrego. Oto przed kilkoma dniami wylano do rynsztoków cały zapas spirytusu. To zmarnowanie zasobów złotodajnych tłomaczy urzędnicy koniecznością wprowadzenia trzeźwości. Ale opinja widzi w tem dowód zbliżania się Niemców, o których poczta pantoflowa przynosi straszne wieści. A trzeźwość wygląda problematycznie: z rynsztoków czerpie ludność płynący wyskok nietylko naczyniami, lecz niektórzy smakosze chlepczą go wprost garścią, lub językiem. Nie musi tu chodzić o trzeźwość, skoro jednocześnie giną całe beczki ze składów, a mienie rządowe i urzędnicze zostaje pospiesznie wywożone do Rosji. Również wiele instytucyj ulega przeniesieniu do cesarstwa. Potatem nad Warszawą i jej okolicami zjawiają się coraz częściej samoloty nieprzyjacielskie. Rzucają one odezwy do ludności, robią spostrzeżenia co do rozmieszczenia wojsk, częstują je specjalnemi strzałami stalowemi, które przebijają jeźdźca wraz z koniem na przestrzał. Od czasu da czasu spadają i bomby. Siedźcie więc w spokoju na wsi.

Szczęśny chodzi do szkoły. Co rana doprowadzam go do Placu Aleksandra. Przez drogę powtarzamy lekcje i mówimy po francusku lub niemiecku. Idzie to opornie, bo chłopak zapomniał dużo. Musimy mieć się na baczności, bo niewolno mówić po niemiecku. Czasy osobliwe! Przecież przed 20 laty

było to samo z polszczyzną na Litwie, a nawet u nas w szkołach, a niemczyzna korzystała z poparcia.

W ostatniej chwili dowiaduję się, że Zawadzki wyjeżdża napewno do Mińska. Jest to podobno wielka karjera. A w dodatku usunął się on z terenu wojennego. Wielka to zdobycz, bo jego ucho delikatne usposobione jest pokojowo i nieznosi huku armat. Żegnał się z grupą starszych urzędników i polecił im, aby nas pozdrowili w jego imieniu i zachęcili do pracy dla dobra tronu i ojczyzny. Wybrańcy dostąpili nawet takiego zaszczytu, jak na „Chrystos woskres“*). My zaś byliśmy wdzięczni za wielką delikatność, że uwolnił nas od oglądania swej osoby. Nietylko ogół lekarzy, lecz i zawodowi czynownicy są zadowoleni z wyjazdu Zawadzkiego, starają się też dokuczyć mu na pożegnanie. Jeden z nich opowiada, jak przeszkodził generałowi w zabraniu powozu i koni szpitalnych, do których „się przyzwyczał“. — Za to przyzwyczajenie musiałbym płacić z własnej kieszeni, — dowodzi radca kolegajny, Radczenko, zajmujący się gospodarką szpitalną, i dodaje lapidarne: — wor!**)

Jenerał jest nienawidzony przez ogół podwładnych. Nie robi on jednak sobie nic z tego nastroju, ufny w potęgę władzy, płynącej z podszewki czerwonej i z piastowanego urzędu. Miłość podwładnych jest tak samo nakazaną, jak miłość poddanych względem cara. Ułatwia to niezmiernie stosunki państwowe, bo władca nie ma potrzeby tracić czasu i energii na zaskarbienie sobie miłości podwładnych, a oni mogą być zakwalifikowani w każdej chwili, jako przestępcy, o ile nie uda się zastosować do nich innego artykułu kodeksu. Taki system biurokratyczny ma swe źródło w nakazach czczenia i kochania osób, na

*) Pocałunki.

**) Złodziej.

których dobro można zapisać najwyżej to, że zajmują dane stanowisko. Jest to zamaskowana zasada rzymska: „oderint, dum metuant”^{*)}). Mam jednak wrażenie, że Zawadzki wniosł do tego stosunku pewne cechy indywidualne, coś z parwenjuszowstwa, o którym mówi mądrość narodowa: „nie masz gorszego tyrana, niż z chłopą zrobić pana”. A może są to cechy renegata, który nie zatracił jeszcze właściwości semickich, jako frankista, musiał wszakże dowodzić swej największej lojalności w stosunku do nowego rządu.

Niech biograf Zawadzkiego łamie sobie głowę nad analizą psychiki tego generała. Co do mnie stwierdzam tylko, że dopasował się on znakomicie do systemu rosyjskiego. Czy jednak ten system ma podstawy trwałości? Wojna powinna odpowiedzieć na to pytanie.

Warszawa,

18 września 1914 r.

Mamy już nowego lekarza głównego, okulistę Jurasowa z Moskwy. Jest to radca stanu, około pięćdziesiątki, niski, tęgi, czerwony na twarzy, o słabym bardzo zarostie, nosie płaskim i zadartym, oczach spokojnych, łagodnych, nadających brzydkiemu obliczu wyraz sympatyczny. Obyło się bez oficjalnego wystąpienia. Jurasow w towarzystwie Bogdanowa obszedł kolejno oddziały szpitala i zaznajomił się z nami. Poczuliśmy w nowym zwierzchniku kolegę, który pragnie ułatwić naszą pracę i uczynić ją o ile możliwości wydajną, a nie formalną. Tym, którzy tytułowali go „prewoschoditelstwo”, zwrócił uwagę, że nie lubi tej formy urzędowej i że mu w dodatku ten tytuł nie przysługuje. Przy zmianie dyżuru zastrzegł, aby nie zachowywano form chińskich, poprzestając na zastąpieniu jednego lekarza przez następującego.

^{*)} Niech nienawidzą, byleby się bali.

Cały tryb życia szpitalnego stracił charakter militarny. Jednak służba niższa, felczerzy, ich pomocnicy, sanitariusze zaczęli się opuszczać, odczuwszy brak rygoru, chociaż Bogdanow dawał się dalej we znaki całemu personelowi.

Przed kilku dniami zmuszony byłem napisać „raport“ przeciwko administracji aptecznej, która nie wydawała najprostszych lekarstw dla oddziału. Bogdanow czynił mi z tego powodu wyrzuty:

— Raport to wielka rzecz, niewolno go pisać bez zastanowienia.

— Więc chorzy mają pozostać bez lekarstw?

— Powinien pan zgłosić się do aptekarza z prośbą o wyjaśnienie.

— Nie mam na to czasu. Nawet w razie mojej omyłki aptekarz jest obowiązany zwrócić się do mnie.

— Nasz aptekarz, Aleksandrow, jest radcą stanu, więc...

— Więc otrzymuje wyższe pobory, ordery, dodatki, ale nie ma żadnych praw zwierzchniczych nade mną.

— Czin czina poczitaj.

— W danym wypadku nie ma to zastosowania.

Bogdanow kipiał ze złości. Sądził, że mnie nastraszy i zmusi do cofnięcia raportu, bo takich papierów naczałstwo nie lubi. Skończyło się jednak na tem, że musiał prosić o umorzenie sprawy, na co zgodziłem się, zastrzegając, aby na przyszłość nie było trudności z apteką. Ale wieczorem dostaję świstek: „Do ordynata M. Na skutek rozporządzenia lekarza głównego wzywam Pana, aby przyszedł do apteki w celu dania wyjaśnień w sprawie Jego raportu. Kierownik apteki, radca stanu Aleksandrow“. W odpowiedzi poleciłem felczerowi, aby zatelefonował do aptekarza, że bywam w oddziale w godzinach wia-

domych i mogę tu wysłuchać jego wyjaśnień. Kartkę zaś pokazałem Jurasowowi, prosząc o wskazówki.

— Dureń! — zawołał oburzony, — kazałem mu, aby poszedł do kolegi i wytłómaczył się. Jeszcze tego brakło, abyśmy lekarze mieli się im podporządkowywać!

— I mnie nie mogło się to w głowie pomieścić. Jednak dr. Bogdanow parł do tego.

— No, przyjaciele! — śmiał się Jurasow. — Mnie gonili nieraz aptekarz przez pół dnia na rowerze w sprawie recepty. Inaczej być nie może.

Wobec tego odpisałem aptekarzowi: „Do kierownika apteki, radcy stanu A. Z rozmowy mej z lekarzem głównym wynika, że pan nie zrozumiał jego rozporządzenia, aby usprawiedliwić się z odmowy wydania lekarstw. Mogę pana przyjąć w godzinach służbowych. Dr W. M.”

Rzecz prosta, że radca stanu nie zjawił się. Nie pragnąłem zresztą oglądać jego postaci mizernej i oblicza suchego. Natomiast jego przyjaciel Bogdanow zaczął nawiedzać mnie nader często, wyraźnie szukając zaczepki. Nie pozostaje mu jednak nigdy dłużny i odparowuję każde natarcie. Oto znów mnie dziś rozpytywał:

— Czy pan wie, że apteka nie wydała dwu pańskich lekarstw?

— Nie wiem. Nikt mnie o tem nie meldował.

— To bardzo źle! Jakiż jest porządek na pańskim oddziale, skoro tak ważne rzeczy są zaniedbane,

— Cieszy mnie że pan uznaje to za ważne, choć niedawno potępiał pan mój raport.

— Nie potępiałem, choć to forma niewłaściwa... Ale naco żąda pan po 40 proszków piramidonu, które musi apteka sprawić za gotówkę, jako nieobjęte przez spis?

— Spisu lekarstw dozwolonych nikt mi nie składał, kiedym został powołany na to zaszczytne stanowisko, więc mogę spełnić jeszcze takie wykroczenia. Co się zaś tyczy piramidonu, to go uważam za środek szkodliwy i nigdy go nie stosuję.

— Jednak na recepcie, podpisanej przez pana, figuruje on w ilości 40 proszków.

— Jest to niemożliwe, bo sprawdzam recepty. Chyba że... — odpowiem, wpatrując się w pobladłą nagłe twarz felczera, — że zostały one dopisane.

— Wpisałeś? — krzyknął Bogdanow na felczera.

Toczno tak... — wyksztusił napadnięty, drżąc kurczowo, jak robak na szpilce.

— Ja ciebia swołocz pod sud oddam! — ryknął pan sprawiedliwy o sumieniu jak kryształ. — Podlec, wor! kradniesz mienie skarbowe, aby niem handlować.

— Dla siebie... Od bólu głowy... — jęka się biedak, jak Lafontenowski osioł z bajki o sędzie zwierząt, którego czyniono odpowiedzialnym za mór, bo jadł cudze siano, gdy rozboje królów zwierząt były wyrazem tylko ich cech wrodzonych.

— Rozpuścił pan personel podwładny sobie, — ganił mnie Bogdanow.

— Nie ja ich wychowałem i urabiałem... Daliście mi ich taki mi, jakich widzę. Niech kierownicy odpowiedzą za takie wyniki. Co więcej przyznać muszę, że z takim personelem, na którego ręce trzeba patrzeć, trudno jest pracować.

Bogdanow zaplątał się we własne sidła. Zaimponowałem mu trafnością mego przypuszczenia, czuł przez skórę, że dalsze wyjaśnienia mogą wskazać, że kradną w szpitalach nie tylko felczerzy, ale i osobistości, znacznie wyżej postawione. Musiał o tem wiedzieć coś i schwytyany na przestępstwie, bo zamiast sądu dyscyplinarnego został skazany na... zapłacenie kosztu lekarstwa w ilości kilkudziesięciu kop.

Gdy zaś sędzia miłosierny chciał za wszelką cenę dać i mnie naukę moralną, przerwałem mu jego mowę nowem zagadnieniem.

— Korzystam z pańskiej obecności, aby się dowiedzieć, co mam począć ze skargami oficerów, że myszy w salach nie dają im w nocy spać i że w bieliźnie, którą im dostarczają z pralni szpitalnej, jest robactwo?

— Jakto, co począć? Wytłómaczyć im, że w starym budynku muszą być myszy.

— Chory, spędzający w szpitalu krótki okres, powinien mieć przynajmniej spokój w nocy. Możeby pan kazał ustawić pułapki, lub wyznaczyć parę kotów do pełnienia tych obowiązków, bo chyba nie wchodzi w zakres czynności ordynatora, aby łapał myszy i trzebił robactwo.

Bogdanow trząsł się ze złości:

— A robactwo pan widziałeś?

— Widziałem wraz chorymi i felczerem.

— Jak można w takich sprawach polegać na prostych żołnierzach!!

— Chyba najprościej będzie znów napisać „raport”.

Bogdanow skrzywił się, jak dziecko, któremu podano w cukierku chininę. Wyraźnie nie lubi raportów. Próbował jeszcze nacierać, lecz zbrakło... ładunków. Przeszedł więc do defenzywy.

— Każę pułkownikowi, żeby załatwił te sprawy gospodarcze. Niech jednak pan zwraca uwagę na personel niższy. Zachwyciła mnie dziś pańska domyślność. Trzeba znać niskie instynkty tych „niżnich czynów”. Nic świętego dla nich!...

Zachowałem przykładowe milczenie. Czyż miałem dowodzić Bogdanowowi, że wiem o większych spiskach na tron i ojczyznę, niż wyłudzenie piramidonu. Zresztą mam wrażenie, że powiedziałem dziś aż za dużo, że pociągnie to za sobą poważniejsze następstwa. Taki czynownik poszuka sposobności, aby się odwzajemnić za moją szczerłość. Bądźcobądź mam pewny oręż

w ręku. Ten postrach to raport za numerem i pokwitowaniem. Gdy on zawodzi, to „raport po naczelstwu“, czyli taki, który trzeba przesłać władzy wyższej z tłumaczeniem. Nie jest się więc w położeniu bez nadziejnem i niema potrzeby iść odrazu do dna, gdy zwierzchność wtrąci do wody z brzegu stromego.

Jestem jedynym wśród kolegów szpitalnych, który broni się od Bogdanowa. Ale nawet ci, którzy mu nadskakują poza grupką policyjną, mają niemniej odemnie szykan i przykrości. Nie widzę więc racji zmiany postępowania. Trudno: twardy kark to nietylko godność osobista, lecz i poczucie obowiązków względem własnego narodu. Wszak w stosunku służbowym zaznacza się przedewszystkiem, że jestem Polakiem. Znacznie młodzi Rosjanie, nawet studenci, t. z. zauriad — wraczy, zajmują wyższe odemnie stanowiska i traktowani są inaczej. Mógłbym zwolnić się z wojska na zasadzie choroby, dzięki której nie brałem udziału w wojnie japońskiej. Ale tamta była zaborczą rosyjską. Obecna wojna może dać wyniki najmniej pożądane dla naszych rozbiorców. Nie chciałbym więc, aby moje dzieci i moje wnuki miały mnie pytać:

— Gdzieś był i coś czynił, gdy wybuchła zapowiedziana przez wieszczów wojna ludów?

Jeżeli mnie zbraknie odpowiedzi:

— Był na najniższem stanowisku, na jakim mogli go postawić wrogowie. A czynił to, co winien był czynić każdy Polak w obcej armji, złożonej z kilkudziesięciu narodów i plemion: wskazał zaborcom, że Polak nie zwyrodniał w niewoli, że uważa siebie za potomka tych, których prawa nie uległy przedawnieniu, że starał się pokrzepić rodaków brzmieniem mowy ojczystej, która kołi cierpienia w obcym środowisku skuteczniej, niż najbardziej wyszukane leki.

A jeżeli powiedzą wam, że to mało, pouczcie ich, że wielkie czyny są zespoleniem mrówczych po-

czynań wielu jednostek, które nie pożądamy dla siebie sławy i korzyści, lecz pragną przyczynić się w miarę swych sił do potęgi zbiorowości.

Nie lekceważcie bezimiennego pracownika, po którym pozostały piramidy egipskie i zgliszcza Kartaginy, Akropolu, Romy. Przetrwał je i żyje w nich. Bo praca jego była twórcza i ofiarna. Pamiętam jak nad bramą wjazdową ruin zamku na Siewierzu dojrzałem odcisk palców strycharza, który tę cegłę lepił. Po władcach zamku pozostało wspomnienie okrucieństw, a po nim — pracy cichej. Na ich cześć napisałem dwa sonety. Jeden kończy się zwrotką: „... Głaz ten krwią ociekł w przywilejów straży z woli biskupów, książąt na Siewierzu. A krew to była polskich nowinkarzy... Więc że dziś kraj nasz w ciemnoty bezbrzeżu, czyż od nich z wstrętem nie odwrócisz twarzy? Chyba żeś polskość utopił... w pacierzu”.

A drugi powiada:

„... O, bezimienny, to jest twoje imię. Ślad ręki w glinie — jedyne wspomnienie. W wieczystym zamku, jak w wieczystym Rzymie, śnił może całe ziemi swej zbawienie, wierząc, że raczêj niechaj krew popłynie, niż nowinkarstwa wyklęte strumienie!”

Może kiedyś, czytając te kartki, przyzna rodak, że i ta praca bezimienna na stanowisku lekarza wojskowego dała odcisk na lepkiej glinie dziejów wojny i przyczyniła się w małej mierze do jej wyników, choć potoki krwi miały zatopić sprawiedliwość dziejową i utrwalić rządy przemocy. A może i z nich pozostaną tylko zgliszcza i ruiny?

Warszawa,

24 września 1914.

Warszawa ma wygląd osobliwy. Przedewszystkiem uderza niebywała liczba mundurów. Podczas pokoju przyzwyczailiśmy się uważać je za przybyszów ze wschodu, więc ustępowało się tym „nachalom”

z drogi. Lecz teraz czuje się czysto wzrok oficera na sobie i słyszy się pytanie:

— Pan mnie nie poznaje?

Spoglądam. Dobry znajomy, kolega, pacjent, przyjaciel paradują w mundurze.

— Winszuję?

— Bóg zapłać. I ja także.

— Skąd?

— Z pozycji na 3 dni. Bronimy Warszawy.

— Dziękuję w jej i własnym imieniu... Obroń-
nicie?

— Powstrzymaliśmy natarcie, więc zapewne
nie damy jej...

— Jednak Niemcy zajęli już Skierniewice.

— Dalej ich nie puścimy...

Co chwila słyszy się mowę Polaków w mundu-
rach. Aż serce rośnie na widok tej mnogości po-
staci marsowych.

Przez jezdnię suną oddziały wojska. Wygląd ich
jest rzeźki. Przechodnie obdarzają ich papierosami,
pieczywem, słodyczami, owocami:

— Bierzcie! Nlech was Bóg prowadził Brońcie
Warszawę!

Jedzie sotnia kozaków. Twarze ich dzikie, wło-
sy skołtunione. Zbrojni są w piki, nahajki, karabiny
przez ramię. Tasama dzicz, którą uwiecznił Kossak
w obrazie pogromu na placu Teatralnym 1905 r. Tacy sa-
mi tłumacze woli rządu i podpory caratu „zwycięzali re-
wolucję” na placu Bankowym, na Krakowskim Przed-
mieściu.

Dziś wdowy i sieroty po poległych, ich rodziny
i przyjaciele obsypują to kozactwo... kwiatami! Szczę-
śliwa Arkadja mogłaby pozazdrościć tego rajskiego
błogostanu, w którym pies żyje w przyjaźni z kotem,
a kozieł pilnuje sałaty...

Oprócz wojska snuje się po ulicach niezmierna

liczba kobiet. Wystrojone, wesole, wyzywajace, zalotne... Wieczorem plyną rzeką nieprzebraną w otoczeniu coraz to innych mundurów. Wiele tych kobiet nosi kapturki lub chusteczki sióstr miłosierdzia i oznaki Czerwonego Krzyża. Podobno jest to nadużywanie oznak. Policja ma nakaz sprawdzania legitymacyj.

A dalej uderza przepelnienie hoteli, jadłodajni, kawiarni, cukierni, choć masa mieszkań jest niezamieszkała z powodu odpływu rodzin urzędniczych do Rosji. Wysiedleńcy i uciekinierzy z miejscowości, zajętych przez Niemców, mieszczą się przeważnie w schroniskach i przytulkach, zakładanych na obwodzie miasta. Kamienicznikom „zmiękły rury”, bo nie można już śrubować cen komornego, nawet trzeba je zniżyć. Wielu mieszkańców przestało płacić czynsz, ponieważ banki i kasy są bezczynne i ogłoszono moratorium. Wczorajsi łupieżcy są dziś smutni. A więc wojna umie karcieć.

Życie towarzyskie zamarło. Jedni z przedstawicieli inteligencji zostali zatrzymani zagranicą podczas wywczasów letnich, inni są wykolejeni przez powołanie pod broń mężów i synów, ogół jest w trudnych warunkach materialnych. Bardzo wzięci lekarze zaczęli chodzić piechotką, może nie tylko dlatego, że konie zostały zabrane, lub że niema komu naprawić przetartych osi, lecz głównie dlatego, że prowincja nie dopisała, a ludność okoliczną ledwo stać na chleb.

Dziś pan „konsyljarz” pospiesza na każde żądanie i przestał wyznaczać najbliższą wizytę za 2 tygodnie o 11 i trzy czwarte w nocy. Tak, Wojna umie zmieniać stosunki zawodowe...

Adwokaci są też bezczynni. Sąd Okręgowy jest zajęty na szpital chirurgiczny, a inne sądy rozpatrują tylko najpilniejsze sprawy. Wojna zawiesza wymiar sprawiedliwości, a życie... płynie swoim trybem, dowodząc, że zemsta na przestępcy nie przyczynia się

do jego poprawy moralnej i najwyżej izoluje szkodników społecznych.

Sztuka poszła w kąt. Muzy zakasały rękawy i wzięły się do rzeczy ziemskich. A ich kapłani, żyjący zawsze bez jutra, ogarnięci są zwątpieniem, czy przetrwają dziś. Możliwy nabyć teraz całe galerie tanim kosztem. Spekulacja w tym kierunku rozwija się na dużą skalę. Wyprzedają się mistrze i posiadacze. Żołądek podporządkowuje sobie najbardziej uduchowione porywy. Spotykam filozofa K., podążającego do sklepiku z banką na naftę; w drugiej ręce trzyma bułkę z twarogiem i zajada ją łapczywie, nie chcąc tracić na próżno czasu na sprawy ziemskie. I mnie zapytują nieraz znajomi: — Co pan niesie?

— Pieczywo, jajka, ser, wędlinę...

— Sam?

— A tak. Radzę sobie jako tako. Po raz drugi w życiu przyszydłem do wniosku, że niekoniecznie trzeba być studentem, aby zadawała taka samowystarczalność. Kto ma: wodociąg, zlew, kanalizację, światło elektryczne, gaz, może się obyć bez służącej, chyba że ma Kasię do „wszystkiego“. A przytem co za porządek w kredensiel! Z zamkniętymi oczami sięga się po rzecz potrzebną i jest ona zawsze na swem miejscu. Nigdy nie zbraknie herbaty i cukru, nic się nie zaprzepaści. Wojna uczy skromności wymagań, ładu i porządku.

Najbardziej czynne jest kupiectwo. Przedmioty potrzeby codziennej poszły w cenie o 30 — 50 proc. Nieraz braknie chleba, masła, mąki, mięsa. Jest to przygrywka do podniesienia ceny. Najgorzej jest z opałem. Dąbrowę zagarnęli Niemcy. Zapasy węgla są bardzo małe. Mają go sprowadzać z zagłębia Donieckiego. Drzewo opałowe dochodzi z Litwy i Rusi. Zaczęliśmy palić torfem. Nie wystawiam sobie, jak

przetrwamy zimą. Ha, może wojna dowiedzie, że rozprażaliśmy się niepotrzebnie i zachęci do oszczędzania paliwa.

Pomimo kłopotów i trosk cieszą się dużym powodzeniem teatry i kina. Bo też dobór sztuk jest niesłychany. To, za co się dostawało przed trzema miesiącami pod sąd za obrazę państwa zaprzyjaźnionego, jest dziś przedmiotem agitacji rządowej. Przed wojną była Galicja ośrodkiem patriotyzmu, płynącego za sceny, jako ilustracja okrucieństw moskiewskich. Ale w Królestwie Polskiem i w Poznańskiem niewolno było wystawiać sztuk, wytykających zaborcom ich nieprawość. Dziś zmiana na całej linii. Wielkim powodzeniem cieszy się krotchwila Kiedrzyńskiego: „Krakusik i Warszawka“. Jest to sztuka płytka w ujęciu i postawieniu, jednak ma wiele motywów miłych. Poważniej i głębiej brzmi „Misterjum Polskie“, przedstawiając szereg obrazów walki z Niemczyzną. Ciężkie przeżycia narodu kreśli Morszyn w dramacie: „Szlakiem legjonów“. Nuta grobowa przeżyć i przeobrażeń pod strzechą szlachecką wskazuje, że byliśmy dziećmi, powołwnemi do rozwiązywania wielkich zagadnień.

Wielkie wrażenia robią „Dziady“ pomimo starannego obcięcia III części. Improwizacja Konrada razi jednak efektami uskrzydłych potęg dobra i zła w ujęciu gminu.

Znacznie korzystniej wypada „Wesele“, choć cenzura wyrzuciła dużo scen. Hasłem chwili stało się: „wyteżaj słuch!“ Lecz od Krakowskiego gościńca dochodzą tylko tajemnicze wieści o Komendancie, który przekroczył granicę pod Raclawicami, zajął Kielce i Radom, wzywając wszędzie rodaków: „trzeba się do dzieła brać!“

Teatr budzi z natury swej zapał słomiany. W nastroju zachwytu czuje się widz zdolnym do bohater-

stwa. Lecz gdy ujrzy pogaszone latarnie, bierze go lęk przed zepelinami i bombami. Chyżkiem więc podąża po przedstawieniu do domu, spoglądając ku górze, czy nie unosi się tam jaki morderca.

Ludność boleje nad posuwaniem się Niemców naprzód, jednak godzi się szybko z faktami; gdy wszakże chodzi o Warszawę, nie umiemy wystawić sobie, aby i ona mogła się stać łupem wrogów. Nechby tam Niemcy dotarli do Pruszkowa, Czerska, Grójca, nawet o parę wiorst dalej... Ale Warszawy nie mogą zdobyć! Wszak to stolica, posiadająca wiele bogactw... Tu skupiają się różnorodne sprawy, tu... I w tem wyliczeniu czuć nadewszystko jedno: tu my mieszkamy. Podział na „my” i „oni” jest bynajmniej nienowoty. Dotyczył on klas, stanów, stronnictw. Dziś zyskał i cechy terytorjalne i wskazuje, że bliższa koższoła ciała, niż kapota.

Niemcy postępują naprzód na wszystkich frontach. Jesteśmy zachwyceni bohaterstwem Belgji, która na propozycję zawieszenia broni odpowiedziała zatopieniem terytorjów okupowanych, narażając Niemców na wszelkie straty. Napawa to nadzieją, że koalicja musi zwyciężyć, skoro bezbronny kraik gotów jest walczyć dalej.

Oczekuje się wielkich wydarzeń w związku z natarciem rosyjskiem w Galicji wschodniej i w Prusach. Po zdobyciu Lwowa przez gen. Ruzskiego i Halicza przez Bronisława spodziewano się zapoczątkowania obietnic co do zjednoczenia rozszarpanych ziem polskich. Polacy z Wołynia pospieszyli złożyć ks. Mikołajowi adres 6/IX 14), wyrażając uczucia wiernopoddańcze i gotowość do ofiar. Jednak czarna secina żąda obrony przed polonizację odwiecznie ruskich ziem i uzyskuj hr. Bobryńskiego na namiestnika Galicji, podzielonej na 4 guberniej. Na czele propagandy rosyjskiej staje osławiony biskup Eulogjusz, który

uważa za sprawę najpilniejszą wszczęcie wojny religijnej. A więc parę tygodni po ogłoszeniu manifestu do Polaków pokazuje się, że była to nieobowiązująca obiecanka. Dopomóżcie zdobyć Kraków, to wtedy pomówimy z wami, Polacy, kto wie, czy nieprzyznamy wam samorządu miejskiego w waszem mieście. Ale o Galicji wschodniej nie mówcie nawet: ziemia od wieków prawosławna...

Na tem tle budzą się orientacje. Jedni utracili wiarę w obietnice moskiewskie i widzą jedyne oparcie w popieraniu Austrii, drudzy wyszkolili się w walce z Niemcami i uważają ją za kulturalniejszą, niż z moskalem; inni ufają Rosji bez zastrzeżeń. Jeszcze inni uważają za rzecz niezawodną to tylko, że nowa połać Polski zostanie... zniszczona. Oto w Prusach ponieśli klęskę Samsonow i Renenkampf, zadaną im przez dziesięciokrotnie mniejszą armję Hindenburga. Mówi się o zdradzie, o polach podminowanych, na których poległo kilkadziesiąt tysięcy Rosjan. Śledztwo i historia wyświetlą zapewne sprawę, o ile nie będzie zależało komu na jej ukryciu. Dziś jest pewne to tylko, że poległy dziesiątki tysięcy i ziemie polskie zostały zniszczone.

Przeniesienie rządu francuskiego do Bordeaux (3/IX) budzi niepokój. Paryż jest ostrzeliwany z samolotów i „grubych Bert“, niosących pociski na kilkadziesiąt wiorst. W miarę tego, jak rosną wątpliwości co do zdolności obronnych Francji, kolebki humanitaryzmu i republikanizmu, zaczyna wyplýwać orientacja germanofilska.

Niedawno koalicja uchwaliła, że żadne z państw nie zawrze pokoju z Niemcami na własnę rękę. To znaczy, że wojna może potrwać bardzo długo. Anglja jest jeszcze niegotowa, musi dopiero uchwalić ustawę o obowiązkowym poborze rekruta. Dziś służą właściwie ochotnicy. Zanim przygotowania będą dokonane,

muszą stawiać opór dwaj pozostali sprzymierzeńcy. Anglja zobowiązała się bronić do ostatniego żołnierza, ale złośliwi dodają: „rosyjskiego“. Wystąpienie Japonji skończyło się na zdobyciu Cindao i wypędzeniu Niemców z kolonij azjatyckich. Oczekiwano rozleglejszej pomocy. Zapewne inne kolonje niemieckie zostaną zdobyte z łatwością, ponieważ flota jest unieruchomiona na Morzu Północnem. Jest to dla Niemców cios, utrata rynków handlowych, czyli konieczność przekształcenia przemysłu, bo przetwory dla dzikusów nie znajdują w Europie nabywców. Ale to są dalsze kłopoty Niemców, a nie zdolne ich osłabić natychmiast.

Bombardowanie katedry u Reims wywołało oburzenie w całym świecie cywilizowanym. Motywy oburzenia są rozmaite. Jedni widzą w katedrze wspaniałe zabytki budownictwa, inni — przedewszystkiem świątynię. Przy tej sposobności mówi się o zniszczeniu w Polsce masy kościołów, a to ma dowodzić prześladowania katolicyzmu przez odszczepieńców. Jednak przemilcza się dyskretnie prześladowanie katolicyzmu przez prawosławie, sprawę Chełmszczyzny, marjawitów, małżeństw mieszanych i ostatnie posunięcia Bobryńskich i Eulogjuszów w Galicji.

Ważni stronnictwa ustąpiły w pewnej mierze. Lewicowcy dostali się przeważnie do szeregów, a prawicowcy — do towarzystw dobroczynnych, zwłaszcza do rosyjskiego Czerwonego Krzyża i związków społecznych, pracujących na korzyść armji. Nazywa się to popularnie ukrywaniem się od wojska. Już w pierwszym tygodniu wojny zawiązano taką klapę bezpieczeństwa w postaci t. zw. komitetu obywatelskiego do opieki nad mieszkańcami. Zebranie odbyło się u ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego, a w skład komitetu weszli: Zdzisław Lubomirski, Pfeifer, Drzewicki, Świętopelk-Mirski, ks. Godlewski, Wielowiejski,

Konic, Ntanson i paru jeszcze przedstawicielei ugody i prawicy. W d. 15^{IX} 14 r. spisano w kancelarji general-gubernatora warszawskiego akt, mocą którego powstaje Centralny Komitet Obywatelski pod przewodnictwem gen.-gub. Essena w składzie 12 członków i 5 osób z urzędu. Zadanie C. K. O. ma polegać na dostarczaniu opału, surowców, inwentarza żywego, na rejestracji bezrobotnych, pomocy dobroczynnej dla nich i rozmaitych innych poczynaniach gospodarczych, filantropijnych i przemysłowo-handlowych. Słowem ta organizacja ma dostęp do wielu dziedzin życia społecznego, które może normować w pewnym zakresie.

Srodki na swe zadania ma czerpać C. K. O. ze składek, ofiar dobrowolnych i z zapomóg rządowych. Dwa pierwsze źródła są wyprobowane co do ich... suchości. Za najświetniejszych czasów karoty balowej, rautowej, koncertowej, kwiatkowej skórka nie starczała za wyprawę. Dziś uschły te gałęzie przemysłu dobroczynnego, bo każdy ma kłopotów i zmartwieu po uszy. A więc cała akcja musi się oprzeć na zapomogach ze skarbu rosyjskiego. To właśnie nadaje jej specjalny charakter. Na czele musi stać czynownik z ramienia rządu i ugodowiec, jako samozwańczy przedstawiciel społeczeństwa polskiego. To też żywiły postępowe i wyrobione w walce o prawa narodu nie mają swych przedstawicielei w tym komitecie. Natomiast utytułowani, kamerjunkturzy, wielcy aferzyści, ostoje wstecznictwa, gotowi zawsze do wybijania pokłonów i pisaniu adresów wiernopoddańczych będą się popularyzowali przed tłumem jako wielcy dobroczyńcy za... pieniądze rosyjskie. Niech zaśpiewa im chochoł: „Nie żałujcie hetmanie kieski.

Brało się grosik moskiewski,
Ej, hetmanie, hetmanie Branecki”.

Kochana moja! Siedzimy w wagonie trzeci dzień. Wciąż jeszcze niewiedomo, co będzie dalej. Najprawdopodobniej wrócimy do Warszawy.

Ostatnie dni było pełne niespodzianek. Samoloty niemieckie zaczęły nas nawiedzać nazbyt często. Strzelanina armatnia była coraz bliższa. Olbrzymiej liczby rannych nie zatrzymywało się już w Warszawie, lecz wysyłano ich bezpośrednio do Rosji. Linje kolejowe uległy zatkaniu skutkiem pospiesznego wywozu urzędów i ich mienia.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wybrałaś się na ten czas do Warszawy. Wrazie przeciwnym miałbym wielki kłopot z synem, którego niemożna było by zostawić samego. Wy kobiety nazywacie to przecuciem. Niech to będzie nawet telepatja, czy jasnowidzenie. Nie będę się dziś spierał o nazwę, bo cieszy mnie, że wyjechaliście szczęśliwie i że jesteście już razem.

Od początku października Warszawa była poważnie zagrożona. Groźne wieści dochodziły z okopów. Ranni i chorzy oficerowie błagali, aby wysłać ich na wschód. Jeden z nich, generał, opowiadał mi, jak walczył pod Grójcem i jak wybito jego pułk co do nogi.

— Wyprawcie mnie! Nie mogę dostać się do niewoli. Pojadę na własny koszt...

— A coż się stanie z Warszawą?

— Wam nic nie grozi... Wy tylko leczycie chorych... Ale ja noszę mundur generalski, biłem Niemców, dostałem order...

Moi oficerowie, którzy odgrążali się jeszcze przed tygodniem, że nie oddadzą za nic Warszawy, prosili teraz pokornie, inni domagali się gwałtownie, aby ich ewakuowano...

— A coż się stanie z naszą stolicą?

— Nie oddamy jej za nic! Takie piękne miasto. Wojska mamy dosyć.

— A to tak należy rozumieć to: „my”. Sądziłem naiwnie, że panowie sami wyruszą na pozycje.

— Jesteśmy chorzy. Tacy, jak my, mogliby tylko zaszkozić...

— Niewątpliwie! Niech bronią oni. My zaś będziemy się leczyli. O, tak panowie, zdrowie to grunt! Bez zdrowie nie zdziała się nic!

Poraz pierwszy przyszło mi do głowy, że może Bogdanow ma słuszność, cisnąc oficerów, jak węże. Nie piszę się na jego metodę. Jednak czy oficer zawodowy, ukrywający się w tyle armji, lub w szpitalu, zmuszający do zastępowania siebie przez chorążego, taki oficer od stanu pokoju, połyskujący guzikami i szlifami, pobrzękujący szabelką, czy nie jest zakałą społeczeństwa i wojska?

Nazajutrz po Twoim odjeździe wezwano mnie w nocy do szpitala, który ma być ewakuowany.

— Dokąd i kiedy? — pytam Bogdanowa.

— Pojedziemy koleją Petersburską, bo jest zatłoczona stosunkowo najmniej. Pan pojedzie drugim pociągiem o 11-ej w południe.

— A pan pewnie pociągiem ostatnim?

— Nie, pierwszym, bo muszę pokierować wszystkim w drodze.

— A lekarz główny?

— Również pierwszym pociągiem.

— Rozumiem; po starszeństwie. A jak rodziny?

— Nic nie wiemy o nich. Niech myślą same o sobie.

— Daruje pan. Nie możemy porzucić naszych żon i dzieci. Co do mnie oświadczam stanowczo, że albo zabiorę syna i żonę, która przyjechała właśnie, zostawiwszy na wsi troje dzieci, albo zostaną z niemi w Warszawie, choćby mnie groziło rozstrzelanie.

— Ja osobiście nie mam nic przeciw ich wy-

jazdowi, ale niema miejsca w wagonach. Władze kolejowe nie pozwolą.

— Z niemi sobie poradzę, a pana trzymam za słowo, że niema przeszkód.

— O ile lekarz główny pozwoli, — wykręca się Bogdanow.

Nie czekając na porozumienie się tych dwu dostojników, podążam do Jurasowa, który godzi się bez zastrzeżeń i powtórzył to w mej obecności Bogdanowowi. Zapewniwszy wam wyjazd, udałem się do oddziału. Mienie szpitala było już spakowane. O świcie zegnano setki wozów włościańskich. Ciągną się one długim szeregiem przez główne ulice, wzbudzając popłoch.

Zastałem was spakowanych: trochę rzeczy cenniejszych, futra, bielizna, oto i wszystko, co można było zabrać. Przed 10-tą siedzimy w dorożce, która posuwa się od Krakowskiego Przedmieścia stępą wobec natłoku wozów i pojazdów. Z za Wisły ciągną armaty i oddziały, przybyłe z Syberji. Most Kierbedzia był dobrze obliczony, skoro nie załamał się pod tym ciężarem. Niedarmo Kierbedź miał powiedzieć, gdy mu robiono wymówki, że z tej ilości żelaza można by zbudować dwa mosty, — „odpowiedzialność moja, a pieniądze nie moje“.

Obrońcy Warszawy mają wygląd zmęczony. Nie dziwota: półtora miesiąca jazdy koleją. Rzucam im z dorożki kilka jabłek. Chwytają je wlot. Może to ostatnia przyjemność przed bojem?

Na dworcu jest wielki ścisk. Brak tragarzy, więc sami przenosimy nasze pakunki. Spotykam paru kolegów. Okazuje się, że pierwszy pociąg jeszcze nie wyruszył, choć wagony są już dawno napelnione chorymi i mieniem. Chorzy żołnierze są umieszczeni w t. zw. ciepłuszkach, czyli wagonach towarowych z piecykiem żelaznym. Dla lekarzy przeznaczony jest duży wóz



3-ciej klasy. Wsiadamy. Część miejsc jest już zajęta przez kolegów i siostry. Jurasow zdradza wielkie niecierpliwienie. Bogdanow wydaje rozkazy. Nagle w sąsiednim przedziale rozlega się płacz kobiety. Oto żona kolegi R. błaga Bogdanowa, aby pozwolił jej jechać z mężem. Jest coś przerażającego w tej scenie. Odczuliśmy ją rozmaicie: Ty gotowa byłaś wysiąść z wagonu, aby uniknąć takiego przejścia; ja zaś oświadczyłem krótko, że władze kolejowe nie zgłaszają sprzeciwu, a pozwolenie na wasz wyjazd mojej władzy posiadają. Gdy więc Bogdanow wkroczył do naszego przedziału, poprzestałem na zaznajomieniu go z wami. O tak! Nawet tam, gdzie chodzi o życie, człowiek winien zachować swą godność. Przeczytaj to naszym dzieciom i wciel w nie to uczucie, które utrudnia życie, ale czyni je czystym i dostojnym.

Wyruszamy z ośmiogodzinnem opóźnieniem. W wozie jest ciasno i duszno. Ale świadomość, że unikniecie niebezpieczeństw, pozwala pogodzić się z niedogodnościami.

Nad ranem docieramy do Białegostoku, najbliższego celu podróży. Dalszą drogę mają wskazać władze kolejowe. Jednak po przyjeździe wyjaśnia się, że cała ucieczka została wykonana na podstawie telefonicznej rozmowy Jurasowa z komendantem Warszawy. Obawa, aby się nie dostać do niowoli, była tak wielka, że wiadomość, iż szpital Ujazdowski jest zaliczony do instytucyj, podlegających w razie konieczności ewakuacji, została uznana za rozkaz do natychmiastowego wyjazdu. Pokonano wiele trudności, aby zdobyć podwozy i pociągi. Ale wszystko przeprowadzono samowolnie, a za taki czyn odpowiada czynownik nie tylko za przekroczenie władzy, lecz i kieszenie. Snać władze ceniły bardzo swe ży-

cie, bo koszta tej wyprawy wyniosły kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Nasz przyjazd do Białegostoku był niespodzianką dla władz miejscowych. Wszystkie linje zapasowe na przestrzeni paru wioś były zawałone rozmaitemi pociągami, zwłaszcza ewakuowanymi chorymi, rannymi i urzędami. Postawiono nas o dwie wiorsty od stacji. Jakiś pan w burce, podobno komendant, radził jechać do Połocka, gdzie będzie się łatwiej umieścić. Ale nasi zwierzchnicy obawiali się takiego kroku bez porozumienia z władzą wyższą. Postanowiono czekać na rozkazy.

Po paru godzinach przybył drugi nasz pociąg, przywożąc wiadomości, że Warszawa broni się jeszcze i prawdopodobnie nie będzie zdobyta. Jednak coraz częściej przybywały inne pociągi przepełnione uciekinierami, głoszącymi straszne wieści: szyby wypadają z okien skutkiem kanonady, pociski padają na miasto, niebo pociemniało od dymu i samolotów, które unoszą się jak chmury. Uciekinierzy w znacznej mierze żydzi, zdołali zabrać trochę węzełków i walizek, nic więcej; jednak uważają się za wybrańców losu, bo zdołali uniknąć...

— Czego?

— Niewoli niemieckiej... Wszak spotkałby nas los Kalisza...

— A cóż się stało Kaliszanom?

— Jakto, pan nie wie? Masa rozstrzelanych, zrabowanych, miasto zniszczone, spalone, niedobitki wysłane do obozów...

— A Częstochowa, Piotrków, Łódź i tyle innych miast?

— Taksamo! — dowodzą uciekinierzy.

Wśród nich spotykam paru pacjentów. Jeden opowiada:

— Niemożna było wytrzymać w mieszkaniu w pobliżu pola Mokotowskiego. Musiałem przenieść się do śródmieścia. Chociaż służę od 20 lat w artylerji, nie słyszałem takiej kanonady.

— A cóż się stanie z Warszawą?

— Niema nadziei na jej obronę.

— Jednak zdaje się już niewątpliwym rozkaz naszego powrotu. „Naczalstwo“ jest tem strute. Bogdanow wylewa żółć na wszystkie strony.

— Co pan zamierza zrobić ze swą żoną i synem? — pyta mnie znienacka.

— Chcę panu podziękować za pomoc i wyprawę ich pierwszym pociągiem za Brześć.

— Słyszysz pan, — zwraca się Bogdanow do kolegi R. — jak należy postąpić. A pan i jego żona zanudzacie mnie prośbami, abym wam pozwolił jechać razem.

— Nie rozstaję się nigdy z mężem, bo jest słabowity i nie może się obejść bez mojej opieki, — odpowie pani R. — Zresztą gdzie się podziene, wszak nie utrzymamy się z pensji mężowskiej.

— Pensję otrzymuje mąż podług rangi, — woła B., — a do służby powołany jest tylko mąż, a nie oboje.

Zrobiło mi się przykro, że Bogdanow wyzyskał moje oświadczenie. Zaproponowałem więc pani R., aby pojechała do nas na wieś, gdzie mogłaby doczekać spokojnie końca wojny. Jednak małżonkowie nie chcieli się rozstać. „Ubi tu, Caius, ibi ego Caia“. Tak to jest w rodzinach bezdzietnych. My — co innego: możemy walczyć na dwa fronty, bo nasza czwórka wymaga odpowiedniej, stałej opieki.

Po rozstaniu się z wami poszedłem zwiedzać miasto. Znasz je dobrze. Kilka ulic brukowanych. Domy rozmaitego kształtu i wyglądu. Handel jest w rękach żydów. Wszędzie czuć „kazionszczyne“.

Obywatel miasta marzy o szlifach i guzikach błyszczących, a choćby o gwiazdce i „szyszce“ na czapce. A gdy to nie dopisze, przywdziewa przynajmniej „kazionku“, czapkę o szerokim denku i daszku, przylegającym do czoła. Tak to rzymianie ubierali młodzież szkolną w togi senatorskie, zaznaczając, że wiedza i uczucie obywatelskie prowadzą do najwyższych godności.

Przed wieczorem spotykam oko w oko Bogdanowa i Aleksandrowa. Od czasu pamiętnego raportu stosunki z aptekarzem były zupełnie zawieszane. Dowiedziawszy się, że jego syn został niedawno ciężko ranny, kwituję z moich pretensyj i podaję rękę zmartwionemu ojcu. Chwyta ją skwapliwie, ściska gorąco i woła gorączkowo:

— Doktorze! Wielkie nieszczęście!

— Wiem, wiem, — odrzekę, odwzajemniając się aptekarzowi uściskiem dłoni i gotując się do wyrażenia mu współczucia.

— W Białymstoku zbrakło cukru! — prawi gorączkowo aptekarz.

Ledwo powstrzymałem się od parsknięcia śmiechem. Więc by przerwać położenie drażliwe, mówię:

— Pan nie zginie, bo apteka posiada pewnie duże zapasy cukru. Gorzko będzie tylko nam! A co słyhać z synem? Czy prawda, że ranny?

— Prawda. Ale za to dostanie order z mieczami, może awans.

— Nieodrodny czynownik, — myślę, żegnając zaczynającą dwójkę, siadającą z paczkami do dorożki.

Po powrocie na dworzec ledwo wyszukałem nasz pociąg, przesunięty na inne tory. Nadeszła wiadomość, że generał Daniłow powstrzymał wyjazd trzeciego oddziału szpitala, a za wyprawienie dwu pociągów winnych do odpowiedzialności. Nakazano też powrót bezwzględny. Chorych umieszczono w szpitalach,

ozdrowieńców wysłano na północ i wschód. Z dwu wielkich pociągów pozostał jeden mały. Zajęliśmy dwa wagony II klasy. Noc przeszła nam na stacji. Nazajutrz około południa pociąg ruszył bez wszelkich zapowiedzi. Część służby i powracających musiała wskakiwać w biegu. Łoktiew był bardzo strapiony, bo deńszczyk jego pozostał z czajnikiem.

— O żołnierza mniejsza, — prawił, — bo zajmie się nim komendant, ale czajnik gotów przepaść.

— Niewielka strata, — pocieszam go, — pewnie pamięta wojnę japońską, bo polewa na nim mocno poszczerbiona.

— Jak Boga kocham kupiłem przed rokiem.

— To pewno pańscy żołnierze posługują się nim do nauki rzucania bomb ręcznych.

— Podlecyc! Nie uszanują mienia ani rządowego, ani przełożonych.

Wracamy zadowoleni, że będziemy znowu u siebie. Tylko Rosjanie zdradzają niepokój, bo nuż taki pan z rangami, z orderami, dostanie się do niewoli i będzie musiał pracować, jak zwykły lekarz! Postoje trwają długo. Zciemnia się. Na niebie iskrzą się gwiazdy. Po przez zamglone szyby spostrzegam na zachodzie jakieś niezwykle ciało niebieskie. Kometa, czy co? Koledzy wpatrują się w wielką plamę świetlną o wyraźnem jądrze i smugach promienistych w kierunku południowo-zachodnim. Niebawem zjawia się i „naczelstwo”. Ma ono wątpliwości, bo w gazetach nie stało nic o komecie, a redakcja powinna być zawczasu powiadomiona,

— A co oznacza kometa? — pyta Juraszow.

— Jest ciałem niebieskiem, należącym do naszego układu słonecznego — odpowiem. — W wiekach średnich oznaczała ona gniew boży: w którą stronę był zawrócony jej ogon, przypominający różgę, ta miała doznać chłosty za swe grzechy. A więc zachód

i południe, czyli Niemcy i Austryja, powinny dostać ciągi.

— Słusznie, — twierdzi Jurasow. — Jesteśmy niewyciężalni i ostatecznie nasza będzie górą, choć możemy doznawać chwilowych niepowodzeń.

— Trzeba się jednak liczyć z tem — wtrącam, — że Niemcy mogą również dowodzić, iż różga jest zwrócona na zachód i południe przeciw ich wrogom Francuzom i Włochom.

— Co pan mówi! — przerywa Jurasow, — jeżeli w stosunku do nas ogon komety idzie na zachód, to dla Niemców będzie miał kierunek wschodni.

Ogarnęło mnie zdumienie wobec orientacji radcy stanu. Nie uważałem jednak za celowe dawać mu wskazówki. Rozmowa się urwała. Temat wyczerpał Łoktiew głęboką sentencją: — Że też chce się ludziom zajmować tak błahemi sprawami, jak astronomja. Trzeba być na to niespełna rozumu.

Przed naszym wozem prowadzili żołnierze rozmowę na temat zjawiska na niebie. Wychyłam się przez okno i słucham.

— Czy to jest kometa? — pyta mnie jeden, z nich. A otrzymawszy potwierdzenie, prawi: — Ty to jest gwiazda a każda inna. Czy to prawda, że to są światy, większe od naszej ziemi? Gdy patrzę na to sklepienie pełne tajemnic wydaje mi się, że nasze radości i nasze zmartwienia są jak mgła, zasłaniająca nam widnokręgi.

W sąsiednim przedziale, toczy się rozmowa Bogdanowa, Łokietowa i Rachmanowa, jak bronić się przed zarzutem ucieczki samowolnej. Panuje tam nastrój strachu, jak przed kilku laty, gdy kometa Haleja zbliżyła się do naszej planety i miała z niej zmieść swym ogonem wszelki przejaw życia. Nic dziwnego. Rze-

czywisty radca stanu, a tembardziej tajny jest pełen tajemnic, budzących niepokój, u zwykłego radcy stanu, jak noc gwiazdzista w umyśle prostaka.

Warszawa.

18 października 1914

Kochana moja! Nasza wycieczka do Białegostoku trwała 5 dni. Powróciliśmy bardzo zmęczeni około północy. Pociąg zatrzymano na linii zapasowej. Ledwo dostałem się do tramwaju, który dowiózł mnie do ulicy Wspólnej.

W mieście jest pusto i zimno. W tramwaju toczy się rozmowa o niebezpieczeństwach natarcia i jego odparciu, otoczeniu Niemców pod Piasecznem i wycięciu co do nogi. Wszystko to wygląda jakoś bajecznie, nieprawdopodobnie.

Znowu jestem samotny. Zaczynam zwykłą pracę. Szpital jest przepelniony. Koledzy, których wyjazd powstrzymano, pracowali za nas wszystkich. Do 2 i pół pp. nie mogę się uporać z obowiązkami w oddziale. Wybieram się wreszcie na obiad, a tu zatrzymują mnie na dyżur. Muszę pozostać.

W dodatku odmawiają mnie obiadu ponieważ zbrakło porcji. Jestem od wczoraj bez jedzenia. Trudno. Zasiadam w „przyjemnym“ pokoju i przyjmuję całe partje chorych i rannych. Ci bohaterzy, nasi obrońcy są sponiewierani, cierpiący, bezsilni. Jechali z Sybiru kilka tygodni; wprost z wozów pognano ich w okopy. Niejeden poległ odrazu, inny wrócił ranny do tegosamego pociągu... To się zowie: spełnić sumiennie obowiązek... A ja wyrzekam, że mnie zaszczono na dyżur po 5-cio dniowej przejazdźce, że mi nie dano jeść, że zmuszają do czynności kancelaryjnych... Czy to nie samolubstwo?!

Takie myśli nasuwają się, gdy wyciągnę się na chwilę na fotelu. Lecz szybko pierzchną...

— Mówicie, że przyszlście bronić Polski. Nawet niejeden powie: Co za cel tych naszych ofiar? Raczej ustąpić za Wisłę, nawet za Bug na nasze rdzenne ziemie. Po obietnicach wodza naczelnego Prywislanje jest i tak dla nas stracone.

A ja wam powiadam: zapomnijcie, że niemasz takiego aktu, którego wasz dyplomata nie umiałby zmienić. Bronicie Polski nie w imię noworozbudzonych haseł braterstwa słowiańszczyzny, lecz w najlepszym razie poto, aby sprzymierzeńcom wydawało się, że się nie cofacie. Nasza ojczyzna jest wam droga nie jako perła kultury w koronie waszego caratu, lecz wprost, jako... krowa dojna dla pachciarza, jako ziemia obiecana dla zastępów waszych czynowników i popów...

I to wam jeszcze dodam! jeżeli dziś przybywają pułki syberyjskie, aby odeprzeć Niemców z Poski, która jest dla was wciąż jeszcze tylko rubieżą wielkiej Rosji, to wiedzcie, że są to w pewnej mierze potomkowie tych ofiar, którymi zaludnialiście Sybir w okresie rewolucyj 1831 i 1863 lat. Wielu z nich zachowało jeszcze nazwisko polskie, choć przerobiliście ich na prawosławnych. Inni zachowali jeszcze trochę polskości w swych cechach antropologicznych, choć nie wiedzą o swych dziadach. Nie odrodzili się od swych przodków, bo przelewają jak oni krew za swój kraj, nie przypuszczając nawet, że takie wyroki spełniają się z woli Losu. Czy widzieliście, jak gwałtownie uderza fala wzburzona o skalisty brzeg? Zda się, że te wody, tryskające słupem białej piany, chcą w swej nienawiści zmiazdżyć, obalić skałę. Za jakie jej winy? Pytajcie tych wód. A powiedzą; był i odpływ, kiedy siła w oga ciągnęła nas w tonie oceanu, gdzie jest zagłada osobowości, gdzie przestaje się

być sobą, a staje się ciałem bezdusznem, wypełniającą głębinę nieobjęte... Azaliście, skały, bronily nas wtedy przed zagładą, choć odzwierciadlałyśmy waszą krasę i lazur nieba? Nie dziwcie się też, że dziś wracamy, pieniać się od gniewu, żadne zemsty...

— Wasze wysokobłagorodje, przywieźli nowych rannych...

Zrywam się z fotela. W rogu stoi felczer i mówi:— pan doktor się zdrzemnął, zbudziłem. Trzeba przyjąć rannych, bo pełna poczekalnia, a może przyjsć Bogdanow.

O nie spałem! Tak myśli się na jawie... Zresztą, a bo ja wiem? Ta fala rannych, przyplływająca za falą, to jest piana, która winna stać się znowu wodą, skoro ją ominie gniew...

Idę do poczekalni. Jest tam duszno. Opary krwi i potu cisną za gardziel. Felczer wywołuje żołnierzy. Oglądam ich. Wtem nazwisko Potocki.

— Jesteś Polak? — pytam.

— Nie! Prawosławny.

— Skąd?

— Z Orenburskiej guberni

— Ojciec był zesłańcem?

— A podobno... Coś kiedyś babka mówiła. Takich było wielu.

O, falo powrotna, snąc przeszłaś już przez głębinę oceanu...

Wśród oficerów spotyka się wielu takich, którzy wynarodowili się nie tylko skutkiem małżeństw mieszanych przodków, lecz nawet sami zerwali z krajem. Wielu zapomniało zupełnie mowy ojczystej. Ilekroć spotkam oficera o polskim nazwisku, zaczynam z nim rozmowę po polsku. Nieraz oświadcza mi taki pan, że mnie nie rozumie. Niedawno po takiej odpowiedzi zapytałem: — Skąd pan pochodzi?

— Z gubernji Permskiej.

— A nie z Grodzieńszczyzny, powiat Kobryńskiego, majątku Kletyszczce?

— Tę nazwę słyszałem od ojca. Tam mieszkał mój stryj. A pan dr. skąd to wie?

— Znam tę rodzinę. To są sąsiedzi i powinowaci mojej żony. Wszyscy Polacy.

— Czy być może? Pierwszy raz o tem slysze. Ojciec dawno umarł, matka nigdy nic nie mówiła... Wie pan dr. co? Po wojnie, jeśli nie zginę, wybiorę się tam...

— Już pan nie znajdzie nikogo z rodziny. Majątek przeszedł w obce ręce, starzy pomarli, młodź rozpierchła się po świecie. Synowie są oficerami na Syberji, córki wyszły za mąż.

— Ha, swoją drogą poszukam. Mówi pan, powiat Kobryński. Dziwnie człowiek nie wie nic o sobie samym, jakgdyby spadł z księżycy.

Kiedym czytał „Urodę Życia“, zdawało mi się: ot bujna wyobraźnia! Nie przypuszczałem, aby ta opowieść mogła mieć grunt realny. Dziś widzę, że Rozłuckich jest dużo i że niejeden posiada cechy cielesne i duchowe wręcz odmienne od cech rosyjskich. Trudno mi nazwać je jednym słowem: większa głębia, ani zaznaczyć, że bociany, które uleciały jesienią do krajów gorących, wrócą wiosną na te same strzechy, gdzie hodowały swe dzieci. Zda mi się, że pierwiastek wyższej kultury cechuje tych odszczepieńców w takiej mierze, iż nawet w drugim i trzecim pokoleniu daje swe przebłyski. Jestto jakgdyby dziedziczność kultury. Wskazałem w badaniach antropologicznych, że szlachcic polski posiada swoiste cechy budowy, odróżniające go od mieszczan, włościan, Niemców, Żydów, Tatarów, zaludniających nasze ziemie od setek lat. Te odrębności cielesne odbijają się i na czynnościach duchowych. Dziedziczność kultury, ale nietylko jej dorobek materialny, lecz nadewszystko

podniesienie przez nią człowieka, stanowi kroplę padającą, która żłobi opokę barbarzyństwa. (Słusznie uczyli Rzymianie: „gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo“). Nie siła natarcia, lecz ciągle sączenie pozostawia ślad, którego nie zatrze pierwszy lepszy Atylla. Dzięki dziedziczności kultury przetrwaliśmy 1½ wieku najazdu, zachowując własne cechy.

Siedzę znowu na fotelu. Oczy się kleją, głowa opada ze znużenia. Bije druga po północy. I cóż zrobiłem właściwie dotychczas, że ogarnia mnie bezwład?

— Czy te obowiązki, które mógłby z powodzeniem spełnić felczer, można uważać za pracę twórczą? Jednak gdybyś mógł w tym czasie stworzyć dzieło wiekopomne, zaniechaj go, bo zwierzchność nakazała ci kręcić korbą maszyny biurokratycznej, a ona wie lepiej od ciebie, czego potrzeba dla użytku... tronu i ojczyzny.

Zrywam się z fotela. Chodzę gorączkowo po gabinecie. Jaki cel tych zapasów?! Po co ludzie mordują się nawzajem, miast wspólnymi łańcuchy opasać ziemi kolisko? Kto pozwala im deptać zasadnicze prawo przyrody, prawo samoobrony przed zagładą? Czy długo jeszcze ludzkość dzielić się będzie na rządzących i uciemiężonych? Czy jest ona tylko czcze słowo bez treści?

Mąci mi się w głowie. Zapadam w zadumę na fotelu...

„Rzeczywistość się pomału w świat przemienia ideału, w sen ze srebra i kryształu. Daj mi tutaj marzyć, daj!”

— Wasze wysokobłagorodje, dr. Bogdanow wzywa do telefonu.

Spoglądam na zegarek, 3½ w nocy, sam czas, aby wzywać. Snać laury Miltjadesa nie pozwalają spać temu stupajce. Idę. Potrzeba zmyślona. Chodzi widocznie o sprawdzenie, czym się nie zdrzemnął.

W szpitalach dla obłąkanych stosuje się w tym celu dla dozorców specjalne zegary, które trzeba naciskać co kwadrans. Szpital Ujazdowski posługuje się... telefonem.

Warszawa

31 października 1914 r.

Kochana moja! Natarcie na Warszawę zostało ostatecznie zlikwidowane. Wojska rosyjskie doszły do Skierniewic, Rawy, Łowicza, Radomia, Gostynina, Łodzi, Piotrkowa. Znaczna część Królestwa jest uwolniona od najazdu. Wygląda ona jednak jak rumowisko: wsie i dwory popalone, miasteczka i miasta zrabowane. Podług dochodzących wieści sprawcami zniszczenia i rabunku mieli być przede wszystkim kozacy i inne wojska rosyjskie. Niemcy mieli zagarniać głównie produkty spożywcze, za które wydawali kwity, albo płacili.

Oficerzy mówią z pogardą o kozakach. Opowiadali mi, jak król Saski omal, że się nie dostał w ich ręce. Gdy uciekał w samochodzie, kozacy zatrzymali go, a zoczywszy dostojnika w niezwyklej mundurze, zaczęli go obdzierać z kosztowności: esaul miał zabrać mu jakiś cenny order i zegarek, inni przetrząsali walizki i kieszenie. Przyszła odsiecz i król umknął.

Kozactwo ma nakaz pozostawiać wrogowi tylko gołą ziemię. Z tego zarządzenia wywiązuje się dokładnie. Pomiedzy kozactwem a wojskiem regularnem panuje wielki antagonizm, wynikający z przywilejów, jakie posiadają kozacy, gdy wojsko linjowe dzwiga cały ciężar wojny.

Jako wywiadowca jest kozak zupełnym anachronizmem wobec samolotów, telefonów, sygnałów i całej techniki obecnej. Jako konnica ma on ustępować kawalerji z powodu gorszego uzbrojenia i niższej kultury. Główna jego rola to rabunek na tyłach armji. Niebawem opowieści o jego odwadze, czynach, zwy-

cięstwach są uznawane za bajdy przez naocznych świadków. Forytowanie kozactwa ma być następstwem walki stronnictw dworskich. Niemcy mają podobno głosić obecnie: „boimy się tylko Boga i kozaków“. Ta bojaźń ma wynikać z torturowania jeńców, za co Niemcy odwzajemniają, się obcinając tej dziczy języki i wieszając bez miłosierdzia.

Kiedy ludność ziem zajętych przez Niemców, napłynęła do Warszawy osytgły nasze sympatje dla kozactwa. Piechota cieszy się stale większem uznaniem.

Miasto przepelnione jest oficerami. Jest ich pełno na każdym kroku: w jadłodajniach, kawiarniach, teatrach. Zachowują się bardzo swobodnie, otoczeni półświatkiem, który zebrał się w niebywałej liczbie. Rozmnożył się też ród sióstr miłosierdzia, powiewających chusteczkami i połyskujących swemi oznakami. Przez swe zachowanie wiele z nich zyskał nazwę: „miłosiernych sióstr“. Ich oblicza wesołe i wzrok wyzywający nie licują z powagą przeżywanego okresu. Kiedy ranni jadą z dworca Wiedeńskiego do szpitali, na twarzach nawet ulicznic maluje się współczucie; jednak część tych miłosiernych sióstr przechodzi obojętnie koło ludzkiej niedoli, wsparta na ramieniu oficera. Wiele z nich zachowuje się również bezlitości w szpitalach, dokąd napływ kandydatek jest ogromny. Dużo z nich „pracuje“ bezpłatnie. Wszakże ma się wrażenie, że dzieje się im przytem nienajgorzej.

Wydano zarządzenia, zabraniające oficerom mieszkać w hotelach, pokojach umeblowanych, nawet domach prywatnych bez specjalnego pozwolenia komendanta. O ile są oni chorzy, idą do szpitala, skąd mają prawo wyjść tylko na podstawie specjalnego dowodu. A uzyskać go jest niełatwo. Miewam z tego powodu nieraz zajścia z Bogdanowem, który wydaje je na własną rękę. Jestem z tego nawet rad, bo przykro jest odmawiać, niema się jednak nigdy

pewności, czy oficer nie urządzi jakiej awantury na mieście, za którą wypadnie odpowiadać. Ustaliło się, że oficer składa prośbę o przepustkę, ja zaś zaznaczam tylko, że stan zdrowia pozwala wydalić się na kilka godzin. Nie jednemu choremu muszę więc sam odmówić, części innych odmawia Bogdanow, pilnując zarazem, aby ten, który korzystał dwa razy z przepustki, opuścił najrychlej szpital.

Aby zabezpieczyć się od ucieczek oficera, pozbawia się go oręża, odzieży, nawet butów. Ten sposób, stosowany bez powodzenia przez nasze babki, w celu zmuszenia dzieci do nauki, zawodził wówczas, zawodzi i dziś. Oficerowie posiadają odzież i obuwie zapasowe i śmieją się z tych zarządzeń. I oto obowiązkiem ordynatora jest pilnować, aby oficer nie miał walizki, którą należy oddać do składu. Ale i na to znaleźli oficerzy sposób: zakładają szynel na bieliznę, siadają do dorożki, jakich dużo przyjeżdża do parku, i wydostają się niepostrzeżenie z domu niewoli. W razie ujawnienia nieobecności oficer tłumaczy się, że był w parku szpitalnym.

Za tych nicponiów cierpią rzeczywiście chorzy, bo zarzut obciąża wszystkich, ponieważ władza nie umie odróżnić chorego od zdrowego i dzieli ich na dobrze udających i bardzo dobrze udających chorobę. Jest to pogląd bezwarunkowo niesprawiedliwy. Takich symulantów jest około 10 proc. Jednak przez swą bezceremonjalność i krzykliwość zakłócają oni pobyt w szpitalu nawet ciężko chorym. Winna jest tu administracja, która nie umie zaradzić, aby w salach szpitalnych panował spokój. Po wieczery zaczynają się rozmowy, pijatyka, gra w karty, trwające nieraz do rana. Zdawałoby się, że wystarczy zgasić światło gazowe. Jednak nikt nie może zdobyć się na ten krok.

Tak wygląda oficer rosyjski. A że znaczną większość stanowią chorążowie, przeto charakterystyka

ogółu młodzieży wypada niekorzystnie. Rozporządzając wielkim materiałem, staram się go poznać bliżej. Ułożyłem kwestjonariusz podług którego badam wszystkich oficerów co do wykroczeń płciowych, przebytych chorób wenerycznych, używania wysokoku i tytoniu. Dotychczasowe zestawienia wypadają wprost zastraszająco *). Stan cielesny, zdrowotny, umysłowy i moralny oficera zawodowego jest znacznie gorszy, niż rezerwowego. Jest to zrozumiałe: młodzież, chowana w atmosferze przywilejów wojskowych, włożona do próżnicatwa i lekceważenia największych wartości ludzkich, jest małą pociechą swej ojczyzny.

Ale i chorążowie, ludzie ze średnim i wyższym wykształceniem, którzy spędzili kilka lat przy pracy, nie zachwycają mnie, gdy notuję ich przeżycia. Uwzględniwszy rubrykę narodowości, przekonywam się, że te zagadnienia wyglądają znacznie korzystniej u Polaków, niż u wszystkich innych narodowości w armii rosyjskiej. Nie chcę wysnuwać wniosków przedwczesnych, dopóki mój materiał nie osiągnie przynajmniej 1½ tysiąca spostrzeżeń. Niektóre jednak są tak charakterystyczne, że przytoczę je oddzielnie.

Oto dostał się na mój oddział młody porucznik, przedstawiciel starożytnego rodu, księżę Wiaziemski. Leżał on już dwukrotnie w oddziale wenerycznym. Na wstępie oświadczył mi, że chce być ewakuowany do Petersburga. Nie znalazłszy przy badaniu żadnych ku temu wskazań, oświadczyłem oficerowi, że nie mogę uczynić zadość jego prośbie. Po paru dniach pyta mnie Bogdanow, czemu nie chcę skierować księcia do komisji ewakuacyjnej? Odpowiadam, że się do niej nie nadaje.

*) Na 1 zjeździe w sprawie wyludnienia wygłosiłem referat, oparty na tym materiale p. n. „Oficer armii rosyjskiej ze stanowiska rasy”. („Zagadnienia rasy” № 2 i 3 1918 r.).

— Komikja może go odrzucić, gdy pan postawi wniosek nieprzychylny.

— Wszak pan sam zabraniał mi obarczać komisję taką pracą bezcelową. Zaraz dziesięciu innych oficerów zażąda tego samego.

— Może pan odrzucić takie żądanie, a tego chorego należy skierować na najbliższą komisję.

— Proszę to zarządzenie napisać własnoręcznie, — oświadczam, podając Bogdanowi kartkę szpitalną.

— Wystarcza polecenie ustne.

— Dla mnie nie wystarcza. Nie chcę narażać się na podejrzenie, że rządzę się jakimiś względami —, odpowiadam i piszę: — na polecenie d-ra B. skierowany do komisji.

Bogdanow zachnął się i odszedł, nie podpisawszy karty. Po chwili gawędził uprzejmie z młodym księciem. Nie wiem, o czem było mowa. To pewna, że radca stanu zapomniał o swej wysokiej randze. Kiedy zaś po paru dniach przepraszałem komisję, że przedstawiam oficera, nienadającego się w zupełności do ewakuacji, okazało się, że sam jeden jestem tego zdania, zaś czterej inni lekarze wykazują rozmaite braki, Rachmanów — nerwowe, Łoktiew — sercowe, Erykson — płucne. Na ich zasadzie, gdyby były rzeczywiście, można było chorego wysłać najwyżej do Siedlec, lub Łukowa. Jednak komisja orzekła: do Petersburga, dokąd wolno wysyłać tylko ciężko chorych na długie leczenie.

Zwycięzca na turnieju konszachtów zakulisowych nie zadowolił się uzyskaniem nieprawego wyjazdu, lecz chciał jeszcze dopiec mnie za stawiane przeszkody. Felczer oddziałowy i paru chorych zawiadomili mnie, że książę rozpowiada w szpitalu rzeczy, uwłaczające mej godności i podrywające mą

powagę. Wobec tego zażądałem publicznie na sali, aby oszczerca wytłomaczył się ze swego postępku.

— Daję słowo honoru: że tego nie mówiłem, — zapewnia ksiązę.

Powiodłem oczami po obecnych świadkach. Byli zmieszani, oczy spuścili ku ziemi, lub patrzyli z politowaniem na kłamcę, któremu zbrakło odwagi, aby uderzyć się w piersi, lub bronić swego zdania.

Pytam felczera, jak było? Powtarza dosłownie oskarżenie poprzednie.

— Więc nie wstyd panu nie tylko kolegów szpitalnych, lecz nawet tego żołnierza? — pytam.

— Temu psu rozbiję łeb! — woła ksiązę, zamierzając się krzesłem na stojącego przy mnie „niżniago czynu“.

— Wara? — wołam, wytrącając mu stołek z ręki. — Na takie słowo książęce, na takie słowo oficerskie tylko..., jak mówi się po rosyjsku, plunąć!

Stoję chwilę, czekając na następstwa. Świadkowie oczekują też, że rozegra się jeszcze jeden akt tej tragi-komedji. Jedni gotują się do wystąpienia po mojej stronie, inni skamienieli na miejscu. A książę?... Patrzą nań z przerażeniem... Oto zmierza chyłkiem do łóżka, siada, zapala papierosa... Jak nigdy nic! Tak to pies, napastujący przechodnia, umyka do budy, podkuliwszy ogon, gdy oberwie kijem po grzbiecie, przekonawszy się, że są silniejsze argumenty, niż szczekanie i połyskiwanie szklivem zębów.

Czekam jeszcze chwilę. Może się opamięta, upomni o swą część. Daremnie. Siedzi, pali papierosa. Rzucam mu na odchodniem spojrzenie pogardliwe, a uczestników zajścia przeproszam, że musiał zakłócić im spokój. Wychodzę. Teraz ksiązę mówić będziesz. I pies, ukrywszy się w budzie, warczy, gdy odszedł ten, kto rozprawił się z nim przykładnie. A miej się na baczości, bo gotów jest napaść

chylkiem i chwycić cię za łydkę, lub skoczyć do gardła. Natura wilcza.

Opowiedziałem o całej sprawie Bogdanowowi, chcąc mu wskazać, jak wyglądają protegowani i jaki zamęt wznosi do szpitala niejednakowe traktowanie chorych. Prosił, abym nie składał raportu, bo oficer dostałby się pod sąd. Nie mam zamiaru łamać kariery temu obiecującemu młodzianowi. Jednak jestem zdumiony, że nie wyjechał pierwszym pociągiem, lecz zajmuje jeszcze przez cały tydzień łóżko na sali, choć jego samego już nie widuję. Okazało się, że Bogdanow pozwolił mu na to pod pozorem załatwienia jakichś tam spraw. Księżę przychodził nieraz pijany późno w nocy, albo nie pokazywał się zupełnie przez parę dni, czyli mieszkał w szpitalu, jak w hotelu, choć na każde miejsce czekało po kilku chorych. Zdaje mi się, że ten jaśnie oświecony wywdzięczył się już Bogdanowowi, albo obiecał mu poparcie w „Pitrze”. Ręka rękę myje, noga nogę wspiera”, ale nieraz i kopie. Jeżeli B. uwierzył zapewnieniom, to przyjdzie chwila, kiedy będzie biadał nad upadkiem moralności, skoro niemożna już ufać nawet j. oświeconym. Tak to dwie podwaliny zniesionego przez powódź domostwa, płynąc z wartkim prądem rzeki spienionej, spotkają się czasem w jej toniach, otrą się, złączą znów na chwilę, lecz niebawem fala je rozdzieli i rzuci jedną na niski brzeg, a drugą poniesie aż do morza. I zapomną, że były ongi podporą domostwa, po którym... nec locus, ubi Troia fuit.

Gdy mowa o rodach, wspomnę jeszcze o paru ich przedstawicielach, którzy przemknęli się przez mój oddział. Oto księżę K... z rodziny, podupadłej majątkowo, zdradzał silne zdenerwowanie po powrocie z okopów. Ten 40-letni mężczyzna jest obarczony dziedzicznie i naskutek własnych nadużyć oraz chorób przebytych. Sądziłem, że go uszczęśliwię, zapew-

niając mu zwolnienie z wojska. Ale ksiązę zaczął płakać i błagać, bym tego zaniechał.

— Czyż pan może być pożyteczny ojczyźnie w takim stanie zdrowia? — pytam, sądząc, że kierują nim uczucia patriotyczne. Iluż jego towarzyszków wykupiłoby się z rozkoszą z szeregów za wszelką cenę!

— Nie będę miał z czego żyć, — jęka się ksiązę, zalewając łzami, — jeżeli utracę pensję chorążego. Niech się pan dr. zlitujel! Proszę mnie ewakuować.

Domniemany patrijota staje przedemną w postaci zwykłego zjadacza chleba, przekonanego, że nie zrujnuje państwa, jeżeli w powodzi wydatków uszczknie dla siebie parę setek miesięcznie.

Rosja robi sobie z arystokracją mniej ceremonji, niż my. Wszak taki ksiązę, hrabia, baron ulokowaliby niezawodnie swe mitry na hipotece jakiejś Florci Geldhabówny, albo moskiewskiej kupczychy.

Inny mój pacjent, ksiązę K. młodzieniec 30-letni, który ukończył za granicą akademię rolniczą, lecz nie posiada praw wykształceniowych rosyjskich, ma również duże kłopoty. Zaliczono go do szeregów, jako prostego żołnierza. W drodze wielkich protekcji wzięto go na szofera. Niebawem jednak przekonał się, że co innego jest kierować własnym samochodem, a co innego słuchać rozkazów poruczników i chorążych, a czasem oberwać pięścią po plecach za jazdę niedość kawalerską. Z rozpaczy chciał młody ksiązę wstąpić do szkoły lotniczej. Niestety musiałem mu odmówić z powodu przewlekłej choroby płuc.

Nieco inaczej wyglądają baroni nadbałtyccy. Starają się oni dowieść swej lojaności względem Rosji, choć włększość ich nie zna języka państwowego i mówi wyłącznie po niemiecku. Rosjanie nie krępują

się w wyrażaniu swych wątpliwości i podejrzeń co do nich. Po przywilejach, jakimi cieszyli się baroni przed wojną, jest dla nich położenie obecne skokiem śmiertelnym. Jako pacjenci są zupełnie poprawni i wyróżniają się swem zachowaniem i kulturą.

Do czego zdolny jast oficer rosyjski, przekonałem się niejednokrotnie. Wszelako jeden z nich zasługuje na uwiecznienie. Oto zgłosił się do mnie 55-cio letni pułkownik Nowikow, abym ułatwił mu wyjazd do kąpieli siarczanych w celu leczenia salwarsanem. Z uwagi na wyniszczenie chorego byłem przeciwny temu leczeniu, co podzielał również kolega specjalista, Kr.

Po naradzie pyta pułkownik, czy nie mógłbym mu pomóc do uwolnienia jakiegoś poborowego od wojska, Oświadczam, że nie zajmuję się tym procederem, Pułkownik prosi, abym przynajmniej obojrzał młodzieńca i określił jego zdatność.

Po paru dniach zjawia się jakaś pani z biletem N., głoszącym, że przyprowadzony przez nią mężczyzna jest właśnie owym kandydatem. Obejrzawszy go, oświadczam damie:

— Co do zdrowia niema najmniejszych danych do uwolnienia. A że ten zdrowy, doskonale zbudowany mężczyzna nie ma żadnych obowiązków rodzinnych, uchylanie się od wojska uważałbym za karygodne.

Klijenci opuścili niezadowoleni mój gabinet, zostawiwszy 10 rb. honorarjum. Ale po paru dniach zjawia się ta sama pani i oświadcza, że jest żoną adwokata W., że pułkownik N., wkręcił się do nich na mieszkanie z tytułu, że był kiedyś klientem adwokata. U nich właśnie poznał owego poborowego, namówił go, by się ratował od wojska i na koszt uwolnienia wyludził od niego ostatnie 200 rb. Otóż

p. W. zapytuje, czy nie zechciałbym zwrócić [tej sumy, skoro uchylilem się od pomocy?

Opanowałam pierwszy poryw, aby nie wyprosić damy za drzwi. I stało się dobrze. Istotnie padła ofiarą szantażu. Adwokat Peplowski wyjaśnił jej, że jest obowiązana zwrócić poszkodowanemu sumę, ponieważ nadużycie zostało dokonane u niej i przy jej udziale.

Miałem jeszcze jednego osobliwego pułkownika. Przed 20 laty był lekarzem. Potem wstąpił do wojska i dosłużył się wysokiego stanowiska w sztabie. Był chory na wiał mlecza i ropne zapalenie miedniczek. W owej niedoli ratował się ten b. lekarz... winem, którego wypijał po 7 do 10 butelek dziennie. Był to typ rozwiązłości pijackiej, nader przykry w stosunkach szpitalnych. Musieliśmy go znosić, bo odwiedzał go komendant m. Warszawy, gen. Turbin, jego przyjaciel osobisty. A kiedy po śmierci pułkownika trzeba było napisać świadectwo, Bogdanow zabronił wspominać o tabesie, syfilisie, pijaństwie. „De mortuis aut bene, aut nihil“ znaczyło tu, że trzecia żona pułkownika, która opuściła go przed kilku laty dla innego oficera, nie dostałaby wysokiej emerytury.

Byłbym niesprawiedliwym, gdybym zbyt uogólniał te i podobne spostrzeżenia. Jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Polacy są inni ludzie.

Oto pułkownik R. ranny w rękę, którą nosi na temblaku, gromi na sali radcę stanu Łotkiewa za to, że go potrafił przy wejściu.

— Cóż pan ślepy jesteś? A może żądasz, by anny oficer miał ci ustąpić z drogi?

— Licz się pan, z kim mówisz, — gromi Łotkiew pułkownika.

— Wiem dobrze! Bohaterzy od pisania papierów!

Radca zwraca się do mnie: — Niech go pan przywoła do porządku. To pański chory.

— Ja też go leczę. Ale stąd nie wynika, abym go miał uspokajać, lub co gorsza, wrazie czego w pańskim zastępstwie — z nim się pyjedynkować.

— Wszak pan widział, żem go nie potracił?

— Nie widziałem.

— W razie czego pan zaświadczy, — wmawia we mnie Łoktiew, zaszczycony niedawno rangą radcy stanu. Przekonawszy się wszakże, że jestem kiepski świadek wysuwa się z oddziału i nie pokazuje się na nim aż do wyjazdu Polaka.

Na taką odwagę nie zdobyłby się nigdy oficer rosyjski. Każdy z nich podnosi się z łóżka, gdy wejdzie wyższy rangą urzędnik i odpowiada wprost na pytania.

Razu jednego pyta Bogdanow pułkownika Polaka S.: — Czemu pan nie jest łaskaw wstać, gdy doń mówię?

— Jestem chory. Zresztą nie mam czapki na głowie.

— Od mojej czapki panu zasiel! — woła Bogdanow, który sztukuje nią swą mizerną postać przy wizytach na sali. Nie mogłem dociec, czy ten brak zamilowania do przewietrzania głowy należy do formy urzędowej, czy też stanowi wyraz dbałości osobistej, aby z mózgu nie ulotniły się jakie cenne składniki, albo nie zaziębiły się... owady we włosach.

— Musi pan być lepszym urzędnikiem, niż lekarzem, — kończę S., — skoro nie umiesz uszanować spokoju chorego.

Rzecz prosta, że odpowiedzialność za to zu-chwalstwo spada znowu na mnie.

Jeden z Polaków lekarzy, który przeleżał na mym oddziale kilka tygodni, złożył do mego uznania na

wskazany przezemnie cel 100 rb., jako wyraz wdzięczności, że go broniłem od Bogdanowa, który chciał go wypisać do okopów, uważając zapalenie ślepej kiszki za chorobę bagatelną, z którą można się wstrzymać do zawarcia pokoju. Te pieniądze przekazałem M. Malinowskiemu na potrzeby „Zarania“, które jest w dużych kłopotach.

Najmniej przyjemni pacjenci, to żydzi, wyłącznie lekarze i weterynarze. Nasi są znacznie kulturalniejsi od pochodzących z Rosji.

— Kolega dowodzi, że nie mam suchot, — oburza się na mnie student 4-ego kursu, powołany do wojska. — Kolega się nie poznał, bo starszy lekarz w lazarecie stwierdził u mnie suchoty.

— Daruje pan, ale ani lekarz lazaretu, ani student medycyny nie są powołani do pouczenia mnie w sprawach, nad którymi pracuję od 22 lat.

— Poskarżę się na pana lekarzowi głównemu, — straszy mnie student z Odesy.

— Bardzo proszę. Nawet ułatwię to, bo dziś wypiszę pana z oddziału, jako zupełnie zdrowego i nie umiejącego zachowywać się należycie.

— Starszy lekarz lazaretu wysłał mnie na ewakuację! — unosi się litwak.

— Szkoda, że sam pana nie ewakuował, — kończę rozmowę ku prawdziwemu zadowoleniu chorych, którzy uskarżali się na arogancję tego młodzika.

Inny żyd, weterynarz, dopominał się uporczywie o prawo leczenia się na mieście, ponieważ nie zadowolą go szpitalny ordynator, dr. Zięciakiewicz, bardzo sumienny i doświadczony lekarz.

— Muszę się leczyć u specjalisty K. przy pomocy elektryczności, bo grozi mi głuchota.

— Jako niespecjalista, liczyć się muszę ze zdaniem kolegi Z., — odpowiadam pocichu, chcąc wypróbować słuch pacjenta.

-- Nie mam doń zaufania!

— Proszę się z tem zwrócić do lekarza głównego. Nie mogę nic tu poradzić, — mówię, przekonawszy się, że weterynarz słyszy dobrze.

Jeden z lekarzy żydów zamordowuje mnie żądaniem, abym notował w karcie choroby objawy nieistniejące. Nie czynię zadość jego życzeniu, jednak wymogłem w komisji trzymiesięczną ewakuację zde-nerwowanego kolegi. Nie zadowolił się tem i skarżył się Bogdanowowi.

Zwałnianie od wojska niektórych lekarzy wygląda podejrzanie. Oto młody G. o wyglądzie kwitnącym uskarża się na ból w plecach. Przy badaniu stwierdza się jedynie umiarkowaną otyłość. Głównym argumentem badanego jest to, że jego matka, właścicielka paru kamienic, miała podobno kamicę nerkową. Komisja pod przewodnictwem Bogdanowa uznała to za... obarczenie dziedziczne i dała tęgiemu synowi kamieniczniczki kamicowej odroczenie półroczne dla poprawy zdrowia. Na tej samej komisji został uznany za zdatnego do wojska kolega, dotknięty chorobą mleczca pacierzowego.

Styczność z oficerami odsłania mi nowy świat, o którym nie miałem dotąd pojęcia. Ten, którego unikałem instynktownie w czasie pokoju, został zastąpiony w okopach przez chorążego, którego oderwała wojna od nauki, sztuki, przemysłu, handlu. Na swych stanowiskach pozostała: policja, żandarmi, „ochrana“, sądownictwo, administracja. Czy ten zarodkowy przemysł, handel w rękach obcych, mizerna oświata nie są skazane na zagładę? Ktoby tam dziś o tem myślał?! Zbraknie armat i ładunków — dadzą je sprzymierzeńcy. Głodu nie będzie, bo ziemia jest bogata i rozległa. Oświata nie zaginie, bo w każdej wsi jest pop, a on wie lepiej od mędrców w mieście, czego chłopu potrzeba. Ale porządek nie będzie za-

kłócony w tych ciężkich czasach, bo nad nim czuwają władze, mogące wziąć za gardło każdego poddanego, zakuć go w kajdany, powiesić, rozstrzelać. Państwu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. O taki Porządkiem i karnością stoją narody i państwa!

Tę zasadę wykladał mi Bogdanow podczas pogawędki, gdy mu tłumaczyłem, że nie mogę się liczyć z jego zdaniem w sprawach lekarskich.

— Panu nie podobają się moje wskazówki? Proszę posłuchać. W roku zeszłym zwiedzał nasz szpital inspektor okręgu. Wchodzi do oddziału dla nerwowych, rozpatruje rozpoznania na tablicach.

— Co? Neurastenja! — woła. — Miema takiej choroby! Pomocniku lekarza głównego, zwracam pańską uwagę, aby takich rozpoznań na przyszłość nie było.

— Słucham, — odpowiedziałem, oddając honor należny władzy.

— I pan jest zdania, że neurastenji niema? — pytam Bogdanowa.

— Nikomu nie chodzi o me zdanie. Władza rozkazała — muszę spełniać i basta! Lecz słuchaj pan dalej: — Jakie pożywienie otrzymuje ten chory? — pyta inspektor. — Rosół z kury i potrawkę, — odpowiada ordynator. — Bardzo niewłaściwie, — oburza się inspektor: — rosół i potrawka z cielęciny. Pomocniku lekarza głównego, zwracam pańską uwagę, aby nie powtarzało się takie lekceważenie diety! — Słucham, odpowiadam, jak poprzednio.

— O, jabym tak napewno nie odpowiedział, — przerywam wynurzenia Bogdanowa.

— To dostałbyś się pan pod sąd i koniec.

— Byłem już pod sądem i, jak pan widzi, jeszcze nie koniec. Sędziowie mogli byli skazać mnie na rok twierdzy, bo nie godzili się na poglądy, wypowiedziane w mej książce, która została skonfisko-

wana. Lecz nie skazali, bo po mojej stronie była nauka i wiedza. A ludziom z pewną kulturą wstyd jest je lekceważyć. Sądzę, że inspektora umiałbym również przekonać.

— Bynajmniej! Posłuszeństwo i karność są podstawą wojskowości. Inspektor ma prawo wydawać polecenia, jakie uzna za właściwe. Mieć prawo — to wszystko,

— A lekarz jest pozbawiony praw, niewolnik, czy więzień?

— Lekarz ma prawa w stosunku do swych podwładnych, zaś zwierzchności winien słuchać ślepo.

— Teraz dopiero rozumiem: pułkownik wymyśla porucznikowi, ten za to bije kaprała, kaprał okłada i kopie szeregowca. Tak ta fala gniewu zgóry dochodzi do żołnierza.

— Pan to dziś dopiero pojawił?

— Pamiętajcie jednak rangi wysokie, że ta samowola wywołuje i falę powrotną, która uderza nieraz w sam ośrodek, wzbudzający gniew.

— Kto ma prawo, korzysta z niego. I jest w porządku. To jak procent od kapitału.

— A kto niema prawa, — odrzekę, — ten oddziaływa na samowolę odwagą osobistą i siłą.

Twarz pergaminowa pobladła. Byłżeby to strach?

Warszawa.

20 listopad.

Listopad... Ile w tym jednym wyrazie jest smutku i cierpienia, tęsknoty! Czy to tylko liście z drzew opadają, ścieląc się, jak trupy poległych w okopach? Czy to tylko wicher wyje przeciągle, zawodząc po dniach słonecznych, które przeminęły, i osłaniając błękit martwy całunem chmur ołowianych? O nie! Taki sam Listopad przeżywa nasza psychika: opadają skrzydła, które zrywały się do lotu, sztywnieją mięśnie, które

nie lękały się pracy, a myśl wlecze się powoli, jak czarna chmura. I tylko pragnienia wyrrywają się poza ten świat mgieł i cienia, zapowiadając ponowne zwycięstwo słońca.

Taki był dla mnie Listopad zawsze! Najchętniej też spędzałem go w kraju, gdzie pomarańcza dojrzewa, gdzie winne grono dopomina się o uścisk, a palma ofiarowuje słodki owoc swego żywota. W roku bieżącym niema się czasu myśleć, jaki jest miesiąc. Kiedym napisał pierwszy wyraz listu, zjawiły się dawne refleksje. Czyżbym miał teraz właśnie poczuć się do winy, że m pobłażał sobie w latach ubiegłych? Czy też mam stwierdzić, że praca obecna, to wysiłek, za który wypadnie jeszcze pokutować. To pewne, że tak, jak dziś, nie pracowałem jeszcze nigdy. Ale zapal początkowy, wiara, że wojna obecna musi być zbawienna dla naszej sprawy, przeminął. I to nie dlatego, abym zwątpił, że kajdany muszą ostatecznie spaść z naszego narodu, lecz, że wyobrażałem sobie swój udział w zdobywaniu tego promiennego jutra całkiem inaczej. Zdawało mi się, że moja wiedza i doświadczenie mogą być lepiej zużytkowane. Ale to samo mogą powiedzieć i inni. Chorążami są: śpiewacy opery, aktorzy, adwokaci, kupcy, cukiernicy, przemysłowcy i t. p., którzy mogliby być naprawdę użyteczni przy warsztacie właściwym. Zaś w okopach, gdzie zajęli miejsca oficerów zawodowych, którzy ulokowali się w znacznej mierze na tyle armji, stanowią ci wojacy przygodni materiał do... listopada ludzkiego.

Znaczniejszą część Królestwa została już uwolniona od wojsk niemieckich i austriackich. Wojska rosyjskie wkroczyły nawet do Prus wchodnich i Galicji. A jednak nasze położenie jest trudne. Najbardziej daje się we znaki zajęcie Zagłębia Dąbrowskiego, bo brak węgla zabija przemysł i napełnia lękiem, czy

wytrzymamy zimę? Zaopatrzyłem się w trochę torfu i węgla. Ale to wystarczy najwyżej na parę miesięcy. Z tego jednego względu musicie pozostać na wsi, bo dzieci pomarzłyby w mieście. Sam przyzwyczaję się do niskiej ciepłoty.

Braki materialne i drożyzna biorą górę w odczuwaniach ogółu nad innymi wrażeniami. Łatwiej godzą się ludzie z zajęciem jakiegoś miasta przez wroga, niż z tem, że czasem braknie chleba, że cena mięsa podskoczyła o 400%, niema nieraz cukru, nabiału, drzewa. Zastaję np. kamieniczniczkę, mieszkającą w sześciu pokojach, siedzącą w okryciu i chustce przy herbacie.

— Dziwne czasy,— mówi,— do czego to dojdzie?! Oto zaparzyłam herbatę jak zwykle, piję dopiero trzecią szklankę, a jest ona jak słoma, nie nacłaga.

— Istotnie,— potwierdzam, gotując się do odmówienia poczęstunku, gdyby mi został zaproponowany. Ale gospodyni zachowuje milczenie. Po chwili mówi:

— Trzech lokatorów nie płaci od paru miesięcy. Dwa mieszkania stoją puste, A podatki płacić, i za wodę, i za kanały, i za gaz, i stróżowi, i...

— I na kamieniczników przyszły ciężkie czasy,— podkpiwam.

— Och! któż mógł przewidzieć. Dawali mi za dom 120,000 rb. Rozeszło się o 10,000, bo nie chcieli zapłacić za plac pod domem, tylko za samo podwórko...

— A czy szewcowi płaci się oddzielnie za cholewki, i oddzielnie za podeszwy?

— Jeżeli zruci dom, zostanie mu plac.

— Ale nie będzie miał domu. I but traci wartość, gdy przyszwia popęka, choćby podeszwa była cała.

— Czemuż wtedy nie sprzedałam!

— Nie miałyby pani teraz z czego żyć. Pienią-

dze leżałyby nieruchomo w banku, albo nie dawały dochodu na hipotece.

— O, ja bym je umieściła w dobrym miejscu! Ale cóż: dom został po mężu, pamiątka rodzinna. Zresztą kandydatów do podziału jest sporo, a choć ściany nie ukąszą, wytoczyli mi proces.

— Jedna moja znajoma, — pocieszam strapioną, — utrzymawszy dom po ojcu mogła go sprzedać za 80.000. Wciążu kilkunastu lat podniosła się jego wartość do 180.000, ale jej — spadła niepomiernie, bo została starą panną, choć mogła była dawniej wyjść za męża. Przed samą wojną dawano jej 208.000, ona żądała 220.000. I teraz również zawodzi: czemu nie sprzedałam. A ja ją pytam: — a cóż stałoby się z nabywcą?

— A kto się rozczuła nad nami? — wybucha

— To kamienicznicy są solidarni tylko wtedy, gdy wypadnie obedrzeć ze skóry lokatorów. Poza tem każdy myśli tylko o sobie?

Żegnaj się ze znękaną wdową i nie znajduję słowa, aby ją pocieszyć w niedoli. Na ulicy myślę, czy tylko kamienicznicy są tak samolubni? Nie; to samo widzi się na każdym kroku: poza najbliższą rodziną niema teraz zagadnień ważniejszych. Słyszysz się czasem deklamację na temat obowiązków i zadań obywatelskich, ale czuć, że mówcy łatwo byłoby zatkanąć usta... kawałkiem pieczeni. Pod godłem działalności obywatelskiej urządza się teraz rozmaite zbiórki, kwiatki, chorągiewki. Kwestarki są natrętne jak żebraczki lub...

W Warszawie zgromadziło się dużo zbiegów z okolic zajętych przez Niemców. Trzeba im zapewnić dach, posiłek, odzież, nadewszystko pracę. Pole do działalności obywatelskiej jest bardzo rozległe. Ale do tej pracy trzeba się wziąć szczerze z zupełnem oddaniem. Mam wrażenie, że działaczom chodzi ra-

czej o zyskanie rozgłosu, niż o rzeczywiste ulżenie uchodźcom.

Brakowi odzieży ma zapobiec ofiara kilku wagonów starzyzny, przywiezionej z Rosji. Wątpię, czy odbije się to korzystnie na zdrowiu obdarzonych. Choć przysłowie mówi, że darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, jednak obawiam się, aby ta starzyzna ludzi niechlujnych nie przeniosła do nas chorób zakaźnych, które będzie się potem spędzało na zaziębieniu.

Komitet zaczął wydawać obiady dla inteligencji. Za 40 kop. dostaje się trzy potrawy dość [smacznie przyrządzone. Spożyłem dwa takie obiady na N. Świecie N. 19, upewniwszy się uprzednio, że jest to nie zakład dobroczynny, lecz stołownia po cenie kosztu. Zasiadłem wśród urzędników, nauczycieli, kupców, wojskowych. A było mi jakoś niemiło, choć jadałem za czasów studenckich w taniej kuchni obiady po 40 gr. Podobały mi się dwie rzeczy: niema wyboru potraw, lecz wszyscy dostają jednakowy posiłek, i nie płaci się służbie napiwków. W kuchni [przestrzegane są ściśle dni postne, a to nadaje jej właściwy charakter,

Listopad... Drzewa stoją nagie. Kiście, które wykonały pracę twórczą budowy nowych wartości z bezwartościowego dwutlenku węgla, leżą dziś zeschłe, martwe, niby poległi w okopach. Wiatr zbija je w gromady, a deszcz napełnia zgnilizną. Tylko drzewa iglaste chępią się swą żywą zielenią. Oparły się zagładzie. Zaprawdę. I w naszych dziejach był wiek złoty trudów twórczych, za które wawrzyn nieśmiertelności pokrył skronie działaczy. Mieliśmy w naszej jesieni dziejowej twórców konstytucji majowej, zdolnych wcielić w odradzający się naród zasady współczesności i podtrzymać jego istnienie. Mieliśmy Kościuszkę. Ale wichry Targowicy zaćmiły wldnokre-

gi. Posypały się liście zmrożone postępu, a twarde igły wstecznicstwa urągały ich niedoli. A kiedy okowy zimy zakuły nas i przytłoczyły swem brzemieniem, że nawet myśl niezdolna jest przebić się w przeszłość, gdy sam wyraz: „postęp“ stał się groźnem przekleństwem i niebezpieczeństwem w obliczu „ochrony“ — oto wy jodły i świerki wiecznie zielone rozpostarłyście dobroczynnie wasze skrzydła nad cmentarzyskiem liści zeschniętych, jako zwycięzca nad ciałem powalonego przeciwnika. I szepcecie nad nim modły pożegnalne i słowa górnotne: — Ten ci był krwią z krwi i kością z kości naszej. Stał wzdry na straży praw boskich i stworzył dzieła wiekopomne, z których po wsze czasy dumny będzie Polak prawdziwy...

O, Listopadzie, miesiącu drzew bezlistnych, wicherów wstrząsających, skrzydeł opadłych... Nie cierpię cię, boś jest też okresem drzew iglastych, które urągają pamięci zasłużonych mężów.

10 Grudnia.

Im bardziej zmienia się mapa Królestwa pod wpływem działań wojennych, tem wyraźniej przeobrażają się nastroje w stosunku do naszych zaborców. Zowie się to orientacją. Od czasu odezwy ks. Mikołaja i odpowiedzi przedstawicieli rozmaitych obozów najgłośniej zachowuje się grupa moskalofilska. Stworzyła ona coś w rodzaju spółki bez odpowiedzialności do eksploataowania tej odezwy, nie zawierającej żadnych zobowiązań na przyszłość i grającej jedynie na uczuciu. Dotychczas nie widać żadnej zmiany w stosunku do Polaków, choć dużo jest gestów pojednawczych i protekcyjnych. Najprawdopodobniej nie rozwiążą naszych zagadnień ani sympatje, ani niechęci sfer miarodajnych, lecz jedynie — bieg wypadków. Apetyty biurokracji rosyjskiej, jakie rozwinęła podczas

swych rządów, stanowią poważne niebezpieczeństwo. Gdzie znalazłyby oparcie te rzesze urzędnicze, które są najgorszym materiałem napływowym? Nie zależy mi na tem, aby ten gatunek zoologiczny nie zaginął; jednak rozumiem, że Rosja będzie miała poważny kłopot z tą rzeszą, gdy wypadnie rozmieścić ją u siebie. Dotychczas wywoziło się od nas na Sybir i Sachalin t. zw. przestępców politycznych, a wszelkie szumowiny i karjerowiczów przysyłało się do „Priwislanja”. Ta wymiana odbiła się na fizjonomji naszego kraju. Cóż stanie się z państwem, w którym to krążenie zostanie przerwane?

Moskalofile starają się upewnić rząd o swej lojalności i szczerości, a społeczeństwo — że nastąpią pożądane dla nas zmiany. My zaś zdajemy sobie sprawę, że to; „przyszła koza do woza” i że powalony, któremu przyłożono rewolwer do skroni, oddaje nawet... pugilares z pokorą jagnięcia. I to również widzimy, że Targowica żyje i prowadzi targi o własne przywileje, przemawiając samozwańczo w imieniu całego narodu.

Wygląd naszych obozów społecznych zmienił się zasadniczo. Sprawa żydowska, która niedawno poruszała ogół, znikła dziś z widowni, chociaż niektórzy krzykacze nie dają i teraz za wygraną, częstując czytelników potrawką z talmudu i szulchenaruchu. Wprawdzie wielu litwaków opościło Warszawę, korzystając z rozszerzenia granic osiedlania i usuwając się od niebezpieczeństw; przeto mniej jest okazji do starć. Jednak niechęć wzajemna trwa. Prasa ugodowa i prawicowa przedstawia niepowodzenia oręża rosyjskiego często jako następstwo zdrady żydowskiej. Opowiada się też o tem rzeczy wstrząsające, zwłaszcza o liczbie powieszonych zdrajców żydów.

Orientacja austrofiłska liczy podobno wielu przedstawicieli. Wychodzi parę pism ulotnych, popierających

ten program. Od czasu do czasu zjawiają się odezwy w tym duchu. Wszystko to odbywa się potajemnie, jak niegdyś praca socjalistyczna.

Czytałem parę numerów tych pism. Główna ich broń to nieufność do mglistych obietnic rosyjskich w przeciwieństwie do korzyści rzeczywistych, jakich doznaje Galicja. Jednak rada, aby ludność nasza zajmowała się szpiegostwem na korzyść Austrii i pomagała jej czynnie, jest niezbyt praktyczna. I tak byłe podejrzenie o knowanie z wrogiem prowadzi na gałęź. Każde niepowodzenie, porażkę, okrążenie, wysadzenie składów wyjaśniają oficerowie nie jako następstwo własnej nieostrożności i zaniedbania, lecz jako wynik szpiegostwa. Sygnalizacja ma się odbywać albo bezpośrednio przez przedostawanie się do obozu nieprzyjacielskiego, albo pośrednio przy pomocy znaków umówionych. Oto w nocy zapala się naraz chata, stóg siana, wiatrak w miejscu, gdzie rozłożyły się wojska. Niebawem potem skierowuje się tam ogień działowy wrogów, wywołując popłoch i wielkie straty. Kiedyindziej pastuszek błaga o pozwolenie odszukania krów zaginionych i daje z za lasu sygnały, po których zaczyna się kanonada. W domu, gdzie umieścił się sztab rosyjski, wykrywa się w podziemiach telefon, prowadzący do nieprzyjaciela.

Odpowiedzialność za takie i podobne zdrady spada zazwyczaj na żydów. Nie wiem, czy jest to słuszne. Że nie mają racji kochać rządów moskiewskich — to pewna, że żargon, będący skażoną niemczyzną, jest niezrozumiały dla Rosjan — to również prawda, że żyd jest zawsze wystraszony i musi się nieraz usprawiedliwiać, a ma stale grzechy na sumieniu — to podstawa psychologiczna wyroków sądu polowego, który uważa, że jeśli dany osobnik nie zawinił dziś, to za dawniejsze sprawki, choć nieznane, godzien jest stryczka.

Niedawno aresztowano w szpitalu sanitariuszkę, która miała agitować wśród żołnierzy na korzyść Austryjaków. Osadzono ją w cytadeli i podobno stracono. Rewizje i areszty są na porządku dziennym. I znowu, jak w okresach zamętu, znajdują szumowiny wdzięczne pole do szerzenia postrachu.

W ścieraniu się orientacyj zatraca się świadomość, że Polacy są we wszystkich zaborach zmuszeni przez zaborców do walk bratobójczych. Na jeńca Polaka z armji wrogiej patrzy Polak z armji rosyjskiej, jak na opętanego, który przeciwdziała zjednoczeniu ziem, rozdartych przez rozbiory. Zwłaszcza przeciw drużynom strzeleckim, które przeobraziły się w legjony pod wodzą Komendanta Piłsudskiego, pomstuje nasza prawica, przedstawiając go, jako zdrajcę sprawy ojczyściej, który poszedł na służbę niemiecką. Stosunkowo mało legjonistów dostaje się do niewoli. Wielu zaś jest zabijanych na miejscu pojmania narówni ze zdrajcami i szpiegami. Reszta zostaje osadzona w twierdzy, aby nie wywierali wpływu na Polaków. Jednak udzielają oni wiadomości osobliwych. Oto nie liczne początkowo Drużyny Strzeleckie i Strzelcy wytworzyli dziś już całą brygadę. Zamiast karabinów jednostrzałowych, które im łaskawie przydzielił rząd austriacki, posiadają już dziś karabiny magazynowe, mitraljerzy, nawet armaty i otrzymują zapasy oraz amunicję narówni z innymi oddziałami, mogą więc nie zdobywać najkonieczniejszych produktów spożywczych od ludności zajętych części Kongresówki. Legjoniści ubóstwiają swego Komendanta i gotowi są iść za nim, dokądkolwiek ich powiedzie. On nie rozstaje się z nimi i dzieli trudy wojenne i niebezpieczeństwa pełen wiary i nadziei, że sprawa polska wypłynie w tej wojnie, a na gruzach trójzaborców powstanie znowu Ojczyzna..,

Zapał legjonistów udziela się żołnierzom polskim.

Słuchając tych opowieści z trzecich ust, widzę, że w ziemi Kieleckiej i Radomskiej dokonywa się przeobrażenie umysłów, kiełkuje myśl wojny nie dla korzyści jednego z państw zaborczych, lecz dla przyszłej Polski. I coraz więcej rodaków „natęży słuch do Krakowskiego gościńca...!

Wpływ legionów na życie polskie i orientacje musi być wielki, skoro Moskale zapoczątkowali podobne formacje w Królestwie. Niejaki Witold Gorczyński, bliżej u nas nieznan, nie mający za sobą żadnych czynów, słowem „homo novus”, podobno ziemianin z Kowieńszczyzny, otrzymał w końcu października pozwolenie na utworzenie pamocniczego legionu polskiego. Akt wydano w Brześciu Litewskim za zgodą ks. Mikołaja. Podpisał go gen. Januskiewicz, o którym mówi się, że jest Polakiem.

Nie ulega wątpliwości, że ta nowa formacja ma się przeciwstawić legionom Piłsudskiego i stworzyć pozór, że Rosja gotowa mówić o tworzeniu armji polskiej pod polskiem dowództwem, byle zwalczyć Niemców. Jednak odezwy Gorczyńskiego, aby ochotnicy zgłaszali się do szeregów, przebrzmiewają bez echa. Stronnictwa prawicowe nie sprzyjają legionom, bo podobno same zamierzały je stworzyć. Lewica przeciwna jest samej idei legionów na terenie zaboru rosyjskiego. Gorczyński otrzymał rangę podpułkownika, niewiadomo, czy za zasługi wojskowe, czy za... wasy bogate i wielką ruchliwość. Z jego formacji kręci się kilku niższych oficerów po... kawiarniach i restauracjach, zachowując się buńczucznie.

A szeregowcy?...

Nie widać ich zgoła, choć opowiada się, że składają się z prawdziwych wybiereków. Nie stykałem się osobiście z tą organizacją, jednak stwierdzam, że nastawienie do niej społeczeństwa jest naogół nieprzychylnie. Ochotników jest b. mało. Do 5 grudnia

liczba ich nie dosięgła 300. Rezydują obecnie w Puławach, gdzie przygotowują się do ćwiczeń wojskowych.

Poczekajmy, co z tego wyniknie.

31 grudnia 1914 r.

Kalendarz zapowiada, że za godzinę skończy się rok. Więc kupiec zamyka księgi i oblicza swój zysk, urzędnik oczekuje awansu i orderu, stróż, listonosz, kominlarz i inny twór ludzki, którego Los nadzielił gibkim karkiem i małemi dochodami, szykują się do obfitego żniwa na jutro. Wielu obywateli siedzi teraz w kole przyjaciół, zastanawiając się głęboko, co dał rok ubiegły. Gdy zaś wybije 12-ta wystrzelą butelki szampana i zebrani krzykną jednym głosem „Niech żyje rok nowy!“ Taksamo wołają przy zmianie tronu: „Le roi est mort, vive le roi!“

Te przełomowe chwile spotykam przy biurku na rozmowie z Wami. Cóż mam pisać? Czy to, że przed rokiem byliśmy w tym okresie razem, że nie przeszło nam nawet przez myśl, aby ten moment przewrotowy był tak blizki? Pięć miesięcy wojny. I jakież wyniki? Kraj nasz spustoszony, straty w ludziach olbrzymie, cierpień, wysiłków — bezmiar i przewidzieć nawet niemożna, ile jest ich przed nami.

Nie byłem nigdy w takich opałach, jak podczas służby wojskowej. Chwilami zdaje się, że nie wytrzymam i zrobię jakieś porachunki z mymi oprawcami. Ale troska o Was każe tylko zacisnąć zęby i... czekać.

Przed paru tygodniami spadła na nas wiadomość nieoczekiwana: Jurasów wrócił do Rosji, podawszy się za chorego. Komisja, zwołana na poczekaniu, ewakuowała go podług zasad sztuki urzędniczej. Znaczący dowodzą, że sprawcą tego wyjazdu

jest Bogdanow, który teroryzował swego zwierzchnika, podsuwając mu rozmaite papiery do podpisu, które narażały Jurasowa na dużą odpowiedzialność. Ci dwaj radcowie miewali częste zatargi, które zmusiły wreszcie porządnego w zasadzie człowieka do usunięcia się ze stanowiska. O to właśnie chodziło Bogdanowowi. Zostawszy „czasowo pełniącym obowiązki” lekarza głównego, postanowił zająć to stanowisko na stałe. Z nami zaczął postępować jak władca nieograniczony. W rozkazach szpitalnych zaczęły zjawiać się rozmaite rozporządzenia. Kazał tytułować siebie: „prewoschoditelstwo”, choć nie posiada podszewki czerwonej. Jurasow odzwyczaił nas od tej chińszczyzny. Ale jego chwilowy zastępca przywrócił jej dawny blask Zawadzkiego.

Przy ostatniej zmianie dyżuru dostałem monit, że kłaniam się po cywilnemu, a nie po oficersku.

— Daruje pan, ale nie wiem, na czym polega różnica.

— Jakto? Pan nie czytał XVI tomu? Wszak moi poprzednicy wydali co do tego rozkaz.

I przybrawszy minę poważnego profesora, powiedział: — Wy cywilni kłaniacie się, pochylając głowę; my wojskowi uderzamy ostrogami i przechylamy głowę do tyłu.

— Rozumiem. Wszystko na odwrót, niż u cywil...izowanych, — kończę półgłosem.

Od tej chwili uważam sobie za punkt honoru dowieść Bogdanowowi, że jestem pojętny. Przy każdej sposobności wybijam przed nim hołubca i zadzieram nosa.

Przed kilku dniami zjawił się u mnie na oddziale młody lekarz Rachmanow. Spotykałem się z nim dotychczas niewiele i nie mam pojęcia, co robi ten pan tytułujący się „profesor kliniczny”. Podobno wykonywa on sekcje i prowadzi oddział żołnierski, na któ-

rym felczerzy i siostry robią opatrunki lżej rannym. Karjera Rachmanowa polegała na tem, że otrzymał stypendjum prof. Wilje, dzięki czemu skończył akademię wojskową i spędził 3 lata na studjach lekarskich zagranicą, gdzie miał specjalizować się w anatomji patologicznej. Po powrocie dostaje taki stypendzysta tytuł profesora klinicznego i rangę radcy stanu. Ale od tytułu do profesury rzeczywistej jest dalej, niż do księżyca. Podobno od 100 lat, odkąd istnieje to stypendjum, nie dało ono ani jednego uczonego, ani nawet doświadczonego praktyka.

Rachmanow jest niski, wątły, siwawy, choć liczy 35 lat. Za to ma starą żonę o twarzy dojrzałej cytryny i układzie kupczychy z jakiego Kozłowa lub Razania. Ten skarb zdobył nasz stypendysta nie z pierwszej ręki, lecz odbił go podstępnie jednemu ze starszych kolegów. Była to cała epopea.

Ten rycerz utytułowany zjawiał się u mnie na oddziale, dopytując się, co się dzieje na nim. Przyjąłem to za uprzejmość wobec niedawno okazanej kolędzie przysługi, gdy chorował. Odrzekłem więc, że jestem zdrow, choć zmęczony pracą nadmierną i zapytałem o jego zdrowie.

Młodzian zasepił się i odrzekł:

— Pytam, co się dzieje u kolegi na oddziale?

— Nie rozumiem zasady pytania.

— To kolega nie wie, że jestem mianowany konsulantem oddziału i mam obowiązek kontrolować działalność kolegi?

— Konsulantem oddziałów wewnętrznych jest kolega Ławiagin; jest on wszakże o tyle taktowny, że załatwia jedynie sprawy papierów, ponieważ nie zna się na klinice.

— Mnie mianował konsulantem oddziału oficerskiego lekarz główny. Kolega nie ma prawa tego nie wiedzieć.

— Nie podano mi tego do wiadomości. Zresztą nie rozumiem, jak mógł kolega przyjąć taką nominację, będąc niedawno lekarzem i nie mając przygotowania klinicznego, gdy ja praktykuję już 22 lata.

Rachmanow wyszedł zły z oddziału. Nazajutrz wezwał mnie Bogdanow do swego gabinetu. Wchodzę. Za stołem siedzą trzej mężowie, wszyscy radcy stanu, o spojrzeniu rzymian, powołanych przez obywateli na stanowisko odpowiedzialne, rzekłbyś trium vivi legibus scribundis. Nie wstają z miejsca na mój widok, patrzą na mnie, jak na skazańca, który ma usłyszeć za chwilę wyrok.

Pan mnie wzywał? — przerywam ciszę.

— Ta...a...ak, — cedzi Bogdanow, przeszywając oczami. — Bardzo przykra historia...

Oglądam się po pokoju. W kącie stoi krzesło, sięgam po nie, nie zamierzając wysłuchiwać przykrych historii na stojąco. Mczę mi się jeszcze przy tem zrobić słabo i... gotowe nieszczęście. Czoło Bogdanowa marszczy się na ten widok. Łoktiew, jego świeżo mianowany zastępca, opuszcza oczy, a mój „konsulant“ Rachmanow uśmiecha się, jakgdyby wbijał ostatni ówiek w trumnę największego wroga. Ja zaś siadam i patrzę oko w oko mym oprawcom. Chwila ciszy... Rozumiem, pomieszałem ich szyki. Jak aktor, który nie zdoła utrzymać się w tonie w najbardziej tragicznej scenie, bo jego partner uczynił raptem jakiś krok nieprzewidziany, tak też i trzej radcowie stanu poczuli, że grunt usuwa się im z pod nóg. O krzesło! Gdybym był poetą, napisał-bym na twą cześć odę, jak Flora Geldhabówna „na ten czarny stolik, lub na tę komodę“.

Wreszcie przemówił Bogdanow: — Niech pan siada.

Pierwszy to raz podczas służby wojskowej czyn mój wyprzedził życzenie zwierzchności, bo siedziałem

już ze dwie minuty. Zaczęło się znęcanie. Powiadam sobie: trzymaj się, nie daj się!

— Pan przeszkodził prof. Rachmanowowi w spełnianiu jego obowiązków służbowych.

— Nie przeszkadzam nikomu. Żądam jednak, aby i mnie nie przeszkadzano. Pracuję za dwu, nawet trzech, a prócz tego nie ma dnia, abym nie był nawiedzany przez kogo z panów i nie stracił przy tem pół godziny, lub więcej.

— Jest pańskim obowiązkiem dawać wyjaśnienia, kiedy władza żąda. Przyjdę ja, lekarz główny, mój pomocnik, konsultant, inspektor, wizytator, i pan musi mu towarzyszyć.

— A kto będzie w takim razie zajmował się chorymi? Możeby mianować jeszcze drugiego lekarza do pracy, jeżeli ja mam być od parady?

— Pan powinien sam dać sobie radę. Na lekarza liczy się 50 chorych podczas pokoju, a w czasie wojny dwa razy więcej. Prof. Rachmanow ma na swym oddziale 100, a swoją drogą pełni jeszcze szereg obowiązków.

— Z rannymi żołnierzami nie robi się tu wiele ceremonji: siostry i felczerzy opatrują, a lekarz podpisuje papiery. Inna sprawa z chorymi oficerami.

— Po 5 minut na chorego,—mówi Bogdanow.

— Nawet wtedy trzeba by użyć koło pięciu godzin. Jednak pierwsze badanie zajmuje mi około pół godziny wraz z napisaniem wymagalnych aktów. Że zaś codzień przybywa 6 do 12 nowych oficerów, więc brak mi wprost czasu na zbadanie całego oddziału, a tembardziej na pogawędki. Jeżeli kolega Rachmanow chce zająć się moim oddziałem, zrzeknę się go z przyjemnością.

— Przedewszystkiem nie: „Kolega R.“, lecz konsultant, bo go nim mianowałem. A powtóre jeśli pa-

nu nie dogadza szpital Ujazdowski, proszę przenieść się na pozycje.

— Istotnie użyłem wyrazu niewłaściwego. W naszym świecie lekarskim jest koleżeństwo nie czczym wyrazem. Tutaj byle student tytułuje kolegą, starego lekarza. A więc radca stanu Rachmanow wie, że konsultantem oddziałów wewnętrznych jest kolega Ławiagin, który, jako nieklinicysta, poprzestaje na czynnościach administracyjnych. Mogą złożyć z tego powodu raport na imię inspektora okręgu, wyjaśniający panujące tu stosunki. A na pozycje nie wybieram się, natomiast mogę zwolnić się z wojska na zasadzie choroby.

Bogdanow robi cierpką minę na wspomnienie raportu „po naczelstwu“, a po chwili mówi: — Póki pan służy, musisz słuchać mych rozkazów.

— Nie uchylam się od spełniania tego, co jest przewidziane przez prawo. Jednak nie pozwolę na szykany względem siebie, oni na pozbawianie chorych opieki lekarskiej dla względów...

Urywam, Moi sędziowie są zdetonowani. Rachmanów oblał się pąsem, Łoktiew patrzy uporczywie w podłogę, Bogdanow wykonywa ruchy gorączkowe, przeszkadzając mnie mówić.

— Z wilkami trzeba żyć po wilczemu,—mówi,—tak uczy nasze przysłowie.

— Rządziłam się zawsze prawem ludzkim, nie zmienię zasad na starość, choć dostałem się w odmiennie środowisko.

Sprawa została wyczerpana. Przeciwnikom zbrakło argumentów, bo ordynator jest panem na oddziale podług prawa; w przypadkach zawikłanych może odwołać się do konsultanta, który musi być obowiązkowo bardziej od ordynatora doświadczony. Ale biurokracja umie wykręcić kota ogonem i gotowa zawsze

nadużyć swych praw pod pozorem przestrzegania karnośći.

Rozstanie było mniej sztywne, niż przywitanie. Bogdanow raczył nawet wstać i zapewnić, że stosunki przyjazne z Rachmanowem ułożą się napewno, bo on zajmie się wyłącznie chorymi nerwowo, jako specjalista.

— Mam nadzieję, że nie będzie niepozozumień?

— Byle nie było dwu gospodarzy na oddziale, bo na tem wyjdą najgorzej chorzy,— rzekłem, wychodząc z gabinetu i przemilczawszy zdziwienie, odkąd to Rachmanow stał się specjalistą w chorobach nerwowych. Pomimo osiągniętego zwycięstwa moralnego, czuję, że będę miał jeszcze niejednego twardego orzech do zgryzenia.

Nazajutrz zjawił się na oddziale Rachmanow bardzo słodki i grzeczny, prosił o wskazanie chorych nerwowo i zaczął wzywać ich do gabinetu na badanie. Była to procedura bardzo łatwa, ponieważ ozna-
czałem w karcie szpitalnej objawy chorobowe i rozpoznanie. Mój konsultant mógł się wprost uczyć, jak student, sprawdzając to, co zapisałem. Postanowiłem jednak nie uczyć zbytnio „profesora klinicznego“. Więc przestaję notować wyniki badania układu nerwowego, pozostawiając to... specjalistom. Niech spróbuje własnych sił. Jednak każdy początek jest trudny. To też „profesor“ potknął się o pierwszy kamień.

Do oddziału przeniesiono z sali zakaźnej aptekarza, dotkniętego poważną chorobą nerwową. Zanotowałem szereg objawów, spotykanych przy wrodzonym mlecza, pomijając parę innych.

— Co pan sądzi o tym chorym? — pyta mnie konsultant.]

— Jeszcze nie ustaliłem rozpoznania.

— Nie rozumiem pańskiej logiki, — woła Rach-

manow na sali przy chorych.—Są cztery objawy podstawowe, więc — tabes.

— A ja rozumiem logikę pana,—odpowiem prosto z mostu. — Kiedym był początkującym lekarzem, spieszno mi było postawić rozpoznanie. Dziś nie poprzestaję na kilku objawach, lecz staram się ująć całość kształt. Chory ten gorączkuje, wykonywa rękami ruchy skubania, wymiotuje i t. d. Trochę cierpliwości i badania dokładnego i będzie rozpoznanie.

Rachmanow zaczerwienił się i wyniósł, jak zmyty. Wieczorem musiałem mu powiedzieć:— Pański tabetyk ma 40%, jest nieprzytomny, rzuca się.

— A cóż to tabetyk nie może gorączkować?— ofuknie Rachmanowa.

— Ale to chyba nie z powodu tabesu?

— Czemu nie?—dowodzi, powołując się na jakichś autorów, o których nigdy nie słyszałem, prawdopodobnie, jak i on.

Te „pierwsze koty“ nie zraniły Rachmanowa. Po kilku dniach spierał się znów ze mną, że młody chorąży dotknięty jest histerją, choć wszystko przemawiało za podaczkę pochodzenia urazowego. Prześwietliła komisja na wniosek R. uznała tego Polaka za zdrowego i skierowała go do pułku. Musiałem stoczyć walkę, aby go obronić i prześwietlić czaszkę. Zdjęcie Rentgenowskie wykazało obecność kawałka pancerza kuli w kości ciemieniowej. Wobec tego ewakuowano chorego do Petersburga, gdzie zrobiono mu operację. Po paru miesiącach zjawił się u mnie i dziękował za opiekę, dzięki której jest dziś zdrów. Bez operacji byłby inwalidą na całe życie.

I ten przypadek nie nauczył Rachmanowa, że wiedza płynie z pracy i doświadczenia, a nie z rangi. Chorzy, których bada, śmieję się z jego nieudolności i braku wyrobienia.

— Zaczął mnie walić ogromnym młotem po ko-

lanach, aż mi nogi zdrętwiały, — opowiada neurastenik, — potem kłół spilką, aż krew wystąpiła. Te same próby robi pan doktor, a jednak bez bólu i uszkodzeń.

— Jestem lekarzem cywilnym.

— Niech się uczy na psach, a nie na naszej skórze, zawyrokowali zgodnie oficerzy.

— Z takim jesteście uszanowaniem dla radcy stanu? — gromię ich, — powinniście się cieszyć, że się wami opiekuje.

— Niech kraje trupy, to dla niego prawie zajęcie. My póki co żyjemy.

— Panowie, delikatniej, bo mnie naważacie na wymówki władzy, że was rozpuszczam i źle wychowuję.

Wybuch śmiechu jest odpowiedzią na tę uwagę. A jednak gdy chodzi o ewakuację miękną dusze oficerskie. Rosjanie zgadzają się na badanie i basują „profesorowi“, a Polacy zachowują się przeważnie z godnością, polegając raczej na mojem doświadczeniu, niż jego stanowisku.

*

Wybiła 12,.. — Bądź pozdrowiony nowy rok! — rozbrzmiewa teraz na zebraniach. — Bądź nam bardziej litościwy, niż twój poprzednik!

A ja siedzę samotny i piszę do Was. I lżej mi jest na duszy, że jesteście zdala od niebezpieczeństw i utrapień. Moje zaś — wylewam na papier. I oto zda mi się, że one już nie moje, lecz tego papieru. Więc patrzę na nie przedmiotowo. Dał mi Bogdanow na gwiazdkę konsultanta Rachmanowa. Ha, wola władzy! Przyjął go muszę godnie. Więc jak przystało na wyrosłego w tradycjach, sprawię choinę i powieszę tego pajaca gwiazdkowego na drzewku zielonem, połyskującym dziesiątkami świeczek. Jego mała figurka nie powinna złamać gałęzi, a szlify srebrzyste olśnią tańczącą wokół... dziatwę. Aliści postać przysadzista

o twarzy cytrynowej stanie u progu i zawodzi nad swym losem nieszczęsnym, nad karierą zwichniętą:

— Poco mi było rzucać pierwszego, skoro drugi wisi dziś na gałęzi?!

— O, matko bolejąca! Łzy twoje padają smołą gorejącą, smołą piekielną, na me serce. A że jest ono wrażliwe na niedolę ludzką, więc... weź że sobie tego pajaca, darowanego mi przez Bogdanowa, weź i schowaj dobrze, aby go oczy moje więcej nie widziały. Zostaw mi jeno na pamiątkę ten sznurek, za który pociągali jego zwierzchnicy, gdy miał machać energicznie rękami i nogami.

— Niech mu pan nie zabiera tego sznurka; bez niego cała karjera stracona! Cóż wart pajac niezdolny poruszać kończynami? Rzuć go na śmieci... Litości!

Ulitowałem się nad cierpiącą. Ha bierz go pani w całości. Rosja jest wielka i bogata. Taki człowiek, który w 35 roku życia jest już radcą stanu, może zejść daleko, byle mu się sznurek przedwcześnie nie urwał, lub byle nie zarzucił nóg za ręce, że ich nie da się rozplątać. Niech się stanie gwiazdą pierwszej wielkości w swoim kraju, byle niewidzialną na naszym widnokrzęgu.

Wybiła 12¹/₂ po północy. Pierwsze pół godziny nowego roku poświęciłem dziełu miłosierdzia dla obcych, dla wrogiej nam kultury. Oddałem wam pierwocinę pracy przy otwieraniu nowych ksiąg na 1915 r, Danina ta dostateczna: Jahwe zadawał się ofiarą pierworodnego. Resztę tej księgi pozwólcie mi wypełnić sprawami mej ojczyzny, mych rodaków, rodziny. Płaciliśmy wam daninę krwi, praw ludzkich, praw narodu kulturalnego. Płaciliśmy przez 140 lat, z których 85 ostatnich były potęgowaniem ucisku z dnia na dzień. Dziś brzmią zapowiedzi „nowego kursu“. Ale wasze stupajki pozostały na swych miejscach, a z nimi trwa nasze jarzmo. Jeśli zapo-

wiedziane równouprawnienie narodów słowiańskich nie jest tylko zwrotem rytorycznym, obliczonym na omanienie krzywdzonych od wieków, zdobądźcie się i wy na otwarcie nowych ksiąg, na czyn nie miłosierdia, lecz sprawiedliwości: zabierzcie czynownictwo, które nasłaliście nam na władców, i pozwólcie rządzić się samym.

Wasza ziemia jest bogata i rozległa. Powinna pomieścić wszystkich, połyskujących szlifami i guzikami. To byłaby dla nas najcenniejsza gwiazdka noworoczna....

15 Stycznia 1915 r.

Powołano mnie do nowych obowiązków honorowych, do opieki lekarskiej nad schroniskiem wysiedleńców z Łowickiego. Schronisko znajduje się na powiślu na ul. Czerniakowskiej. Dojazd jest trudny, bo tramwajów niema, a drożką przez ulicę Górną przejechać nie sposób, Przeciwieństwo pomiędzy dzielnicami zamożną a ubogą jest uderzające. Władcom zależało na podtrzymaniu tej różnicy, aby proletariuszom nie przewróciło się w głowie.

Schronisko zajęło dawną piwiarnię. W dwu dużych izbach i w paru mniejszych natłoczono łóżek, ile wejdzie. Mieszkańcy powrócili właśnie z kościoła. Jedni rozsiedli się za stołem, inni gawędzą, stojąc grupami. Na paru łóżkach siedzą kobiety i dzieci,

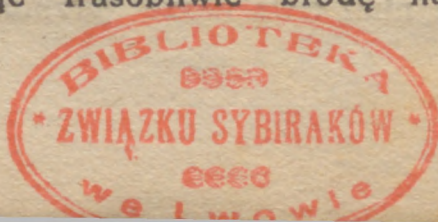
— A, pan doktor, — wita mnie porządkowa, Marcysia, — Panna Irena Kosmowska zapowiedziała, że pan przyjdzie. Mamy paru chorych.

— A dużo was tu mieszka?

— Pięćdziesiąt i pięcioro z dziećmiakami.

— Przeważnie kobiety? Mężczyźni pewno na robocie?

— Dzisiaj święto, — mówi Marcysia; a po chwili, wspierając fraszobliwie brodę na dłoni: — po



prawdźie i w powszedni dzień co chłop będzie tu robił ?

— Chyba pracy teraz nie brak? Myślę, że baby i dziewczuchy chodzą też na robotę?

— A ktoże domu będzie doglądała, dzieciaków pilnowała?

— Matki nie porzuką drobiazgu dla zarobku. To pawna. Ale dziewczuchy, kobiety bezdzietne, z dziećmi odchowananami nie siedzą chyba z założonemi rękami?

— Ktoby tam w taki czas mógł pracować? — dowodzi młoda kobieta w sukni w pasy cagliaste. Wgnani nas ze ziemi, chłopą wzięni do wojska... Wsyćko nase przepadło na scent!

— Moimiu to przestrzelinu nogę, — zawodzi druga. Lozan we szpitalu, a tera to go wysłani nie wim bez co do Rosji, jakby to nie mian familji i opieki. Widać... na zmarnowanie nieboraka...

— Juścić, — mówi Marcysia. — Na swoim cłek pracuje ode świtu do nocy i nie bacy zmęczenia. A tu co ma robić?

— Jakto co? Mężczyźni do rzemiosła, fabryki. Łdo kopania okopów, gdzie mogą zarobić po rublu i 40 groszy na dzień. A kobiety również do fabryki, lub na służbę. Wszak to schronisko założone jest ze środków dobroczynnych, więc ludzie zdrowi, silni, zdadni do pracy nie powinni z niego korzystać. Niech zgromadzą się tu starcy, niedołężni, słabowici, matki z dziećmi. Ale ludzie, którzy mogą przy pracy zapomnieć o swej obecnej niedoli i zachować energję i tężyznę przy robocie, niech uważają to schronisko tylko jako nocleg, miejsce posiłku przy wspólnym stole.

— Co młodsze z chłopą wzięni na wojne, — dowodzi stara baba — a stary bele wlaź pod pierzynę i bastal

— Daliśwa Mańke na służbę do dobrodzieja, — mówi tajemniczo Marcysia, — no i co? Po paru dniach

musiana uciekać i tera płace niebozontko na swój los... Gdzie ta córkom gospodarskim wycierać cudze kąty?

Na twarzach kobiet troska i smutek. Oto przeżywają brzemię klęski, za tych chłopów wojujących, z których wielu już poległo, zaginęło, za tę ziemię i domostwo, z których wygnano ich na bruk stolicy, twardy, zimny, bezpłodny bruk, za to mienie rozgrabione, z którego pozostał jeno węzełek przyodziewka i pościeli, za ten spokój utracony, lęk o najbliższych, za jutro beznadziejne... cóż ich czeka?

Stoję przed kobietami onieśmielony, rzekłbyś—współwinny. Rozumiem, że teraz kolej na mnie, bym rzekł słowo, które trafiłoby im wprost do serca, pozwoliło pojąć, że Los—to Konieczność a nie Przypadek, że to już rozumieli starożytni grecy, nazywając je razem: Ananke, że dopiero zakon mojżeszowy i powstałe z niego wyznania podporządkowały Los i Konieczność samowładztwu, którego zamierzeń nie jest w stanie przeniknąć umysł ludzki....

Stoję przed kobietami i nie mogę słowa wymówić... Wszak jestem przedstawicielem inteligencji, która powinna była nauczyć ten lud, że wojna to nie tylko wyrzucenie chłopca z jego zagrody, pozbawienie go dorobku, zdobytego wysiłkiem i samozaparciem, ofiarą jego zdrowia, sił, krwi, życia...—lecz że ta wojna to również łamanie jarzma, które dźwiga Polska od kilku pokoleń. Przecież nie tylko on, włościanin, lecz i wszystkie inne stany, znoszą ciężary wojny w poddaniu się, bo tu chodzi o cel wspólny, o Ojczyznę.

Mam już przemówić, gdy nagle staje mi w pamięci dorodny przemysłowiec, dla którego wymusił odemnie Bogdanow rozpoznanie wady serca i zwolnienie od wojska. A potem przesuwają mi się w pamięci szereg prawników, lekarzy, obywateli kamieniczników, kupców, przemysłowców i innych przedsta-

TERESA DESZBERG

wicieli klas uprzywilejowanych, którzy wykupili się od powinności krwi, korzystając z pomocy grupki łapowników i pośredników. Zgraja upodłona!

Niel Nie mogę kłamać wobec tych kobiet pokrzywdzonych. Niemam prawa im powiedzieć, że każdy Polak składa dla przyszłej Ojczyzny jednaką ofiarę! Byłby to fałsz... A powiedzieć nie chcę, że czasem, gdy wezbrane fale namiętności opadną i życie popłynie znowu spokojnem korytem, zjawią się na widowni ci, których błady lęk zagnał do kryjówek bezpiecznych. I że ci zbiegowie i maruderzy powoływać się będą głosem puzonów na swe zasługi niesprawdzone i żądać będą dla siebie nagród i przywilejów.

Niel Niech te kobiety nie wiedzą raczej o niczem! Niech całym ich strapieniem będzie to, że wgnano je z zagona ojczystego, pozbawiono jałówki i kobyły, że ich mężów i synów popędzono w świat daleki, niewiadomo poco, ale pewno na kalectwo, może... śmierć. I niech ich całą nadzieją będzie to, że może... Panienska Najświętsza przemieni, odwróci..

— Dla pana doktora to nie nowina, — przerywa przydługie milczenie Zośka, — wiemy co pan o tem pisał.

Ocknąłem się z odrętwienia rad ze zmiany tematu, więc pytam:

— A co macie na myśli?

— Pan myśli, że Księżacy to już nic nie czytają? Starsze pokolenie jeszcze zapatrzone w ambonę. Ale my mamy nasze „Zaranie” i mało wiele książek i pism przejdzie przez nasze ręce. A pańskie książki to wielu czytało, choć nie wszyscy jeszcze pojmują.

— Jeśli tak, to wam powiem: nie zrażajcie się zawodem Mańki, lecz weźcie się do pracy, która jedyna może dać wam ukojenie.

— To niemożliwe — dowodzi Marcysia, — co tu na bruku wyrobisz? Ani liwentarza, ani obejścia, ani kołowrotka, ani krosen. A iść na poniewierkę kto zechce? Lepiej czekać...

— Lepiej czekać? Ach to nasza zasada odwieczna. To: „jakoś tam będzie“ stało się już dorobkiem ludu. Niewiele się od nas nauczył. Co za brak ufności w nasze własne siły? Co za oglądanie się na jakieś moce, które miałyby nas wyręczyć? Czyżby to był nasz dorobek kulturalny? Niel! To chyba tylko znużenie wojenne.

Bywam w schronisku co kilka dni. Zawsze jest po paru chorych. I za każdym razem zachęcam do pracy zarobkowej. Jednak pomaga to niewiele. Ci wykolejeńcy są jak zahypnotyzowani, zapatrzeni w jeden punkt, w powrót do swego zagona. Czy wrócicie i kiedy? I czy po tej wędrowności i wyczerpującej bezczynności będziecie mogli jeszcze jać się pracy? Człowiek ginie albo nagle, albo kona powoli. Jeden z rodzajów śmierci powolnej, to wytrącenie z deptaka, po którym przywykł chadzać. Ale taki człowiek nie żyje nigdy pełnią życia na podobieństwo bakterji, która okrywa się osłonką, rzekłbyś — skorupieje, w warunkach niekorzystnych. Taksamo skorupieje człowiek, wprzężony do pracy jednostajnej, która pochłania wszystkie jego siły. Każdy z nas jest w pewnej mierze takim zasklepieńcem o ciasnym widnokręgu, poza którym inne wydają się bezwartościowymi. Tylko wyjątkowi ludzie wznoszą się nad poziomy codzienności i obejmując szersze horyzonty, uśmiechają się pobłażliwie na widok mrówczych wysiłków współbraci oraz lisich poczynañ poszukiwaczy złotego runa i kwiatu paproci...

Cizba jęczy znużona, mając na czole pot kroplisty, na ustach — złorzeczenie Losowi i ludziom, a w oczach — gniew.

Wybrańcy mają na czole zmarszczkę zadumy,
na obliczu — uśmiech dobrotliwy, w spojrzeniu — pew-
ność sternika, wpatzonego w gwiazdę polarną.

A nad bryłą ziemską, sunącą po elipsie wokół
Boga-Słońca, czuwają: nieubłagany Los, niewzruszona
Konieczność i pocieszyciel Czas.

25 stycznia 1915

Prawdziwym postrachem dla kierowników zakła-
dów leczniczych i dla dyżurnych są rozmaici wizyta-
torzy. Wszystko, co stosuje się w celu utrzymania
porządku, karności, przestrzegania przepisów dokony-
wa się wyłącznie z uwagi na możliwość odwiedzin
jakiego zwierzchnika, mającego prawo krzyczeć,
karać.

Niedawno odwiedzał szpital ksiązę Oldenburski,
główny kierownik spraw sanitarnych wojska. Przyje-
chał nieoczekiwanie o 3-ej po południu. Dyżurował
na szczęście zawodowy wojskowy, znający się dosko-
nale na szlifach, lampasach, akselbandach, tytułach
i innych tajnikach medycyny wojskowej. Jest on głu-
chawy i niezbyt wtajemniczony w zdobycze nauk le-
karskich, jednak zna dokładnie XVI tom praw i wszel-
kie wymagania służby.

Odźwierny zawiadomił lekarza dyżurnego o przy-
jeździe wysokiego dostojnika. Kolega Paryzik poznał
od jednego spojrzenia, że jest to członek rodziny ce-
sarskiej. To też raport wypadł poprawnie: „Wasza
cesarska wysokość i t. d.“ O, Losie, potęgo niepo-
jęta, przed którą korzą się pokorni a bezbronni, dzie-
kuję ci, żeś nie kazał mi stanąć przed obliczem tego
najwyższego kierownika sanitarnego armji! Dzięki ci
potęgo litościwa, żeś oszczędziła mnie i innym kole-
gom cywilnym wstydu, sromoty i odpowiedzialności:
wszak nie wiedzieliśmy dotychczas, kto jest wodzem

lekarzy, jakie są jego tytuły i dostojęstwa. Jedni z pośród nas strawili życie na badaniu chorych, na poszukiwaniu objawów, postaci chorobowych, udoskonalaniu leczenia, inni — na działalności naukowej, społecznej. Pochłonięci temi małostkami, stracili z oczu cele i zadania wyższe... Tak to myśliwy, zapędziwszy się za dziką kaczką, nie dostrzeże nieraz króla ptaków i zginie marnie w trzęsawiskach nieprzebytych.

Jednak i wirtuoz sztuki wojenno-lekarskiej, wtajemniczony nie tylko w takie jej umiejętności, jak szuranie piętą i zadzieranie nosa przy ukłonie, lecz uświadomiony, że należy trzymać rękę przy daszku czapki przy powtarzaniu podwładnym rozkazów osoby tak wysoko postawionej, biegły w odpowiedziach lakonicznych: „točno tak, wasze...“, „słuszajuś...“ zawsze trafnych i mile widzianych, ten wirtuoz, pełen delikatnej pobłażliwości dla naszego niedorozwoju i nieuctwa, nawet on nie dogodził wizytatorowi i został skazany na 7 dni aresztu. Jaka była przyczyna tego nieszczęścia, nie wie zdaje się sam Franc-Francowicz, którego nazywamy przez skrócenie Francem kwadratowym. Nie wie, bo ma słuch przytępiony. To kalcetwo, którego nie mam zamiaru ośmieszać, dowiodło dwu rzeczy: 1) że nie stanowi przeszkody dla lekarza wojskowego w jego karierze, choć dla lekarza cywilnego jest jego dyskwalifikacją i 2) że pełne treści zwroty: „točno taks“, „słuszajuś“ pasują nie do wszystkich przemówień zwierzchności.

I gdy dziękuję losowi, że nie kazał mi stanąć przed obliczem I. C. Wys., obliczam jednocześnie, ile lat wypadłoby mi siedzieć w więzieniu za zupełny obskurantyzm w dziedzinie, od której zależy... zdrowie i siła armji. Już przy raporcie nie zwróciłbym uwagi na rozmaite insygnja i zdobyłbym się najwyżej na „wysokoprewoschoditelstwo“. Nie odpowiedziałbym

też na pytanie, gdzie jest pralnia, ile cukru dostaje chory, co jest dziś na obiad, jakie są urządzenia odkażające w szpitalu i t. d., bo nikt z naszej zwierzchności nie uznał za właściwe nietylko wtajemniczyć nas w te rzeczy, lecz choćby powiadomić, że jesteśmy obowiązani zdobyć je sami. Wszak mundur i szlify nie upoważniają same do wglądania we wszystkie działy gospodarki szpitalnej. Z obliczeń moich wypada, że jeśli Fanc kwadratowy dostał 7 dni arcsztu, to ja nie zdążyłbym w życiu doczesnem odsiedzieć odpowiedniej porcji, czyli reszta wypadłaby na męki czyścówce, a może i piekielne. Żadna perspektywa. I trzeba było aż wojny europejskiej, aby stary lekarz dowiedział się, że jest jednostką ciemną, nieokrzesaną, szkodliwą, która przyczynia się tem do niepowodzeń armji.

Princ Oldenburski zwiedził kuchnię, próbował potraw, wskazywał, że są przyrządzane zbyt smacznie skutkiem czego wojacy wolą objadać się w szpitalu, niż głodzić — w okopach; dalej zajrzał do paru sal, gdzie stwierdził wielkie nieporządki, np. bandaż gazowy na stoliku przy łóżku brak napisu na tabliczce nad łóżkiem chorego, przyjętego przed godziną, błąd gramatyczny na jednej tabliczce, butelkę z mlekiem na stole, płamę na obrusie, szlafrok jako okrycie chorego, leżącego pod kołdrą... Wprawdzie na salach było zimno, wilgotno i ciemno; mgła, nasycona dymem tytoniowym i wyziewami unosiła się w powietrzu. Ale princ był odziany ciepło; a w ścianach, malowanych olejno, były kratki, przez które powinno było wchodzić czyste powietrze a uciekać zepsute. Któż więc jest winien, że jest ono uparte, jak osieł, i nie chce opuścić sali. To przewyższa siły człowiecze i za taki stan antyhigieniczny nie może być odpowiedzialny nawet... lekarz dyżurny.

Princ dopytywał się kilkakrotnie o lekarza

głównego, który się nie zjawiał. Po godzinnym pobycie w szpitalu ksiązę odjechał samochodem, wyrażając swe wysokie niezadowolenie. Ale o 5-ej popołudniu zjawił się powtórnie nieoczekiwanie. Bogdanow, zmartwiony sprawozdaniem, ułożył się do snu poobiedniego. Zanim go zbudzono i zanim zdążył się ubrać, upłynęło pół godziny. Gdy więc stanął przed obliczem princa i zaczął raportować, usłyszał krótki rozkaz: „na trzy dni aresztu!”

Takiego wstrząsu może doznać chyba zwinna antylopa, wdzierając się chyżo z nizin na wyżyny górskie, gdy dotknie ją celna strzała i strąci w przepaści. Bogdanow, lekarz wiejski z guberni Kostromskiej, zaczął swą karierę wojskową podczas wojny japońskiej. I oto po 13 latach jest już radcą stanu i pełni czasowo obowiązki lekarza głównego szpitala, który uchodzi za najlepszy w cesarstwie. Wojna obecna może wynieść Bogdanowa na szczyty niedostępne inspektora lekarskiego, nawet wyżej... Nagły cios strąca go z wyżyn, łamie karierę. Nieszczęsny, pewno będziesz kłakał słowy „ojca zadzumionych”:

„O, niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w sercu mojem dziś zamykał
Wracam w Kostromu do mojego domu.
W podwórzu mojem gospodyni dzika
zapyta: — starcze. gdzie są twoje „czyny?”
„O wszystkie moje dzisiejsze pogrzebione
tam pod okropnym tym grobowcem princa
I wszystkie pytać mnie będą echa,
i wszyscy ludzie, o zarobione
ruble, karierę... Cóż ja im odpowiem?!”

Trzy... dni aresztu za nieporządki w szpitalu!
Przesiedzieć — to głupstwo, pewno nie pierwszozna.
Ale w papierach służbowych zostaną zrobione adno-

tać. I tęsknota do podszewki czerwonej i do zajęcia stanowiska lekarza głównego będzie już tylko czczym marzeniem! Antylopo, idąca z orłem w zawody, uspokój się: cięciwa łuku była miękka, strzała słabo zatruta tylko lekko drasnęła twoją skórę. Nie ma racji, abyś miała odrazu spadać w przepaść...

Bogdanow i Franc kwadratowy zostli ułaskawieni. Ale wstrząs doznany odbił się na wątrobie męży o twarzy pergaminowej i sercu kamiennem. To też zalewa on nas swą żółcią w dawce zdwojonej poprzez wszystkie dni służby naszej. Czujność w kierunku higieny oficjalnej spotęgowała się tak dalece, że odtąd wszystkie tabliczki nad łózkami są pisane kaligraficznie i gramatycznie, że ze stolików usunięto wszelkie przedmioty, do których chory się przyzwyczaił, że szlafroki leżą na poręczach łóżka, a chory ma prawo w razie zimna... dzwonić zębami, bo drugiej kołdry nie dostanie. A że felczerzy nie mogą nadążyć z pisaniem tabliczek, a nazwy oficjalnych chorób powtarzają się wciąż tesame, zaś nad nazwiskami ruski człowiek nie głowił się zbyt. lecz sypał bez miary: Iwanow, Pietrowów, Makaronowów, Popowów, pozostawiając dla rodów nazwiska: Dołgoruków (długoręki). Kriwoszejn (krzywa szyja) Tołstobruchow, Pustogołowcew, — przeto służba dobiera tabliczki do chorych, zamiast mozolić się napróżno przy ich pisaniu.

Ale razu jednego przyłapał ich Bogdanow na takim wykroczeniu przeciw higienie. Okazało się, że, jak mówi przysłowie rosyjskie, był „Fedot da, nie tot,“ bo służył w innym pułku. Byłóż tam krzyku i gwałtu aż sala wypełniła się kurzem z nigdy nietrzepanych kołder i szlafroków. Na to jednak, że w salach jest kurz i pył, przenośniki zarazków, że okna są szczelnie zalepione i nigdy nie otwierane, że powietrze jest przesycone wilgocią i wydalinami, że ogrzewanie jest wadliwe, że słoma w siennikach jest zmieniana co

kilka miesięcy, czyli leżą na niej kolejno kilkunastu różnorodnych chorych, że bielizna jest zawszona, — na te drobnostki nie zwraca się uwagi.

Po tej wizycie, tak płodnej w następstwa, zjawiały się od czasu do czasu nakazy Bogdanowa, zatrzymujące lekarzy do godz. 2 lub do 3 popołudniu pod pozorem spodziewanego przyjazdu inspektora lekarskiego, gubernatora, komendanta i t. p. Zwykle taka wizyta nie przychodziła do skutku, my zaś traciliśmy po parę godzin. Niedawno spodziewano się przybycia cesarza. Wyczyszczano pomieszczenia, zasłano łóżka nowymi kołdrami, dano chorym porządne szlafroki i pantofle. Słowem: wyprawa jak przed ślubem. Nawet powietrze na salach zyskało na czystości, bo z nowych tkanin nie sypały się włókna i pył. Dostałem nakaz aby moi oficerowie nie mieli przy sobie ani odzieży ani żadnych drobiazgów. Prócz tego miałem nauczyć się na pamięć ich nazwisk, imion, imion ojców, wieku, rangi oddziałów, w których służą, nazwy ich chorób i t. d.

— Najjaśniejszy pan może zapytać, więc trzeba odpowiadać odrazu bez łzajaknienia, pouczał Bogdanow.

— Przeczytam z tabliczki nad łóżkiem.

— Nie wolno! Trzeba umieć na pamięć!

— W takim razie może pan poleci radcy stanu Rachmanowowi. Zawszeć przystojniej, aby mówił z cererzem radca, niż kapitan. Zresztą ma on świeższą pamięć.

— To pański obowiązek. Najjaśniejszy pan może pytać o co więcej.

— Któż wywiąże się z tego lepiej od konsultanta? Młody niedawno skończył akademią wojskową, gdzie uczą specjalnie takich rzeczy, wymowny, dobrze ułożony. Za siebie ręczyć nie mogę: nie posiadam manier wojskowych, rozmawiam podług wymagań logiki a nie wzorów narzuconych. Wszak mogę naważać piwa. które cały szpital będzie musiał wypić...

Bogdanow się zamyślił. Zrozumiał niebezpieczeństwo. Niechby taki lekarz cywilny uciął rozmowę z cesarzem, w dodatku wygadał coś niepotrzebnego, zdradził jaką tajemnicę. Byłby skandal nad skandale! Ale z innej strony, jak narażać ulubieńca Rachmanowa na tak wielki wstrząs który może targnąć jego wątłą osobą.

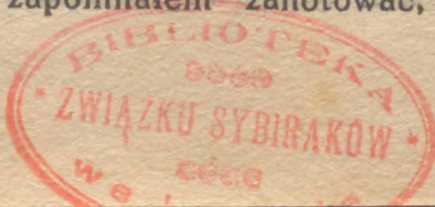
— Powtarzam! to pański obowiązek, — kończy twarz pergaminowa. — Ale niech się pan ma na baczności: z najjaśniejszym panem niewolno rozmawiać, tylko odpowiadać krótko na pytania.

— Rozumiem. Wszystkie obowiązki zwala się na nas, lekarzy cywilnych Polaków, a wszystkie zaszczyty i stanowiska uprzywilejowane oddaje się Rosjanom, lekarzom wojskowym. Może to jest dogodnie dla panów, lecz może skończyć się gorszą katastrofą, niż wizyta ks. Oldenburskiego.

Bogdanow błysnął oczami jak pies, który po otrzymaniu łojenia chowa się za parkan. „Odszedł. Wiem że napadnie mnie znieścacka i nasyci swą zemstę. A jednak myślę teraz nie o tem, lecz że jest ryzykantem, choć jestem pewien, że w chwili stanowczej będzie mnie musiał zastąpić Rachmanow, człowiek pewny, swój. Nie będzie on barankiem Abrahama, który ma wyręczyć Izaaka. Ale niech tam przy sposobności pomorduje się nienawistny Polak i nauczy na pamięć 60 nazwisk rosyjskich i szeregu innych rzeczy, które zdadzą się psu na budę. Niech się nieco podenerwuje i pogniewa. A tu—jak na złość przejrzałem karty gracza.

Ale strachy na Lachy?] Najwyższych odwiedzin nie było. Skorzystali chorzy, bo mieli przez kilka dni czystą odzież i pościel i lepsze jedzenie. Tylko naczałstwo przebywało ciężkie dni niepokoju.

Omial nie zapomniałem zanotować, że dostałem



na gwiazdkę order. Pierwszy przyniósł mi tę wiadomość Rachmanow.

— Winszuję, dostąpił Pan łaski monarszej.

— Jakiej? Nie wiem o niczem.

— Nie czytał pan rozkazu? To bardzo źle trzeba wiedzieć, co się dzieje w szpitalu. Otóż dostał pan Stanisława 3-go stopnia.

Widząc zas, że nie skaczą do góry, pyta:

— Cóż to pana nie cieszy?

— Przed 22 laty częstowano mnie tymsamym krzyżykiem za walkę z cholera. Ale m podziękowałam zań, uważając spełnienie obowiązku względem własnego kraju nie za zasługę. Nie pożądam odznak...

— Tym razem musi pan przyjąć, bo odmowa to obraza majestatu.

— Zechce pan mie powiadomić, jakie przejawy zadowolenia obowiązują mnie teraz?

--- Przepisów odnośnych niema, — odpowie młodzieniec, którego dał mi Bogdanow na choinkę.

Oprócz mnie udekorowano i innych kolegów. Jedni byli uszczęśliwieni, inni wyrażali obawę, że za ordery stracą nam z pensji po kilkanaście rubli. Franc kwadrato- wy wykladał nam zasady stopniowania tych odznak i trudności ich zdobycia. Do niektórych orderów przywiązana jest nawet pensja. Trzeba jednak czekać na wakans po zmarłym kawalerze. Największe honory są przywiązane do orderu Ś-go Jerzego. Nawet gdy się ma go przy ubraniu cywilnem, każdy żołnierz musi salutować.

— A ja muszę mu się odkłonić kapeluszem? Rondo odpadnie w ciągu tygodnia.

— To nie jest hołd dla osoby, lecz dla świętego, — klaruje Franc Francowicz.

— W takim razie można się nie odkłaniać. Nie widziałem, aby obraz odpowiadał na ukłon. A czy oficerowie nie są obowiązani salutować Śt. Jerzego?

— Oni — nie, tylko rangi niższe.

— To szczęśliwie, bo ciągle przykładanie palców do daszka i badanie naramienników oficerskich pochłania na ulicy masę energii i czasu.

— Wy cywilni macie żywot niespokojny: nawet na mieście musicie się zastanawiać, dokąd pójść po rubla, — docina Franc. — Niemasz to, jak lekarz wojskowy: co miesiąc pensja, po czterech latach awans, od czasu do czasu zasiłek. A jeżeli w dodatku zarobi się jeszcze coś z praktyki, można nawet odłożyć.

— Istotnie szczęśliwy jest i spokojny wasz żywot. Mam nawet wrażenie, że nie wysilacie mózgów nie tylko na ulicy ale i pod dachem. Wpływa to świetnie na trawienie, usposobienie, wygląd. Wasza pewność siebie w sprawach lekarskich wynika stąd, że nie rozpraszacie uwagi na rzeczy drugorzędne, trzymając się wzorów wyrobionych.

— Zupełnie słusznie, potakuje Franc: — poco utrudniać życie, które jest i tak zawile. Prostota to grunt w życiu i nauce.

— Czemuż jednak wojskowi z lekarzami na czele uciekają się zawsze do naszej pomocy zwłaszcza, gdy kostusia zajrzy w oczy?

— Nie zawsze! Mamy wziętych kolegów, u których leczą się nawet cywilni.

— O takich nie słyszałem. A może kolega ma na myśli niedawno zmarłego dr. Kornilowicza? Tak... To przedewszystkiem był to Polak i jako taki przesiedział na stanowisku młodszego ordynatora oddziału psychiatrycznego dziesiątki lat, podczas których jego asystenci awansowali na jego zwierzchników. A powtóre: swą wziętość zawdzięczał on bynajmniej nie mundurowi wojskowemu, w którym nie paradował, ani wiedzy, lecz prawdziwej dobroci, łagodności, i bezinteresowności.

—²²Ale zawsze to był lekarz szpitala Ujazdowskiego.

— Zastrzegam sobie, żeby kolega, jeśli kiedyś będziesz pisał wspomnienia o mnie, lub jeśli wypadnie ci przemawiać do żałobnych słuchaczy, gdy Bogdanow wpędzi mnie do mogiły, abyś im nie powiedział w uniesieniu: — Nie dziwcie się, że ten kolega położył tak wielkie zasługi dla nauki, był wzorowym obywatelem kraju, był uosobieniem odwagi cywilnej (a może lepiej byłoby tu powiedzieć — wojskowej), nie dziwcie się, że pozostawił w sercach naszych żal nieukoiony po sobie, nie dziwcie się... (tu można wymienić jeszcze szereg cech zmarłego rzeczywistych lub zmyślonych), nie dziwcie się: wszak był to ordynator szpitala Ujazdowskiego. — Tak. To sobie zastrzegam. Bo okres mojej przymusowej służby wojskowej jest tylko zahamowaniem działalności obywatelskiej, do jakiej pozuwał się każdy Polak, miłujący swój kraj.

1 Lutego 1915 r.

Nowe rządy — nowe porządki. Odczuwamy je w całej pełni. Niech który z nas nie stawi się do szpitala przed 8 i pół rano, wyjdzie przed 1-ą w południe, opuści wizytę wieczorową, czasem nawet powie coś od serca. niebawem dochodzi to do Bogdanowa. To pewna, że wśród lekarzy są osobniki, odgrywające rolę słuchawek telefonicznych. Są to zwłaszcza nowomianowani konsultanci.

Rachmanowa już charakteryzowałem. Jest on coraz bardziej gorliwy, wtrąca się do całej mej działalności, wymaga wyjaśnień, wskazówek, wszelkich nauk, które nie wchodzą bynajmniej w zakres mych obowiązków. W kartach szpitalnych pozwala sobie nieprawnie na rozmaite adnotacje i rozporządzenia w rodzaju: „przedstawić na komisję“, zapisuje choremu lekarstwa i t. p.

— Jak mam rozumieć pańskie „przedstawić na komisję“?

— Kolega nie rozumie? — dziwi się pajac, — we wtorek, lub piątek, więc na najbliższą.

— Mnie chodzi o wyjaśnienie, czy to jest rozporządzenie. Tak? To proszę wiedzieć, że pan nie ma prawa dawać mi jakichkolwiek rozporządzeń.

Pajac jest oburzony, a ta burza sprowadza chmurę w postaci Boganowa, który pyta: — Jak pan ośmielił się wykreślić zarządzenie prof. Rachmanowa?! To sfalszowanie dokumentu!

— Zastrzegam się co do używania wyrazów obelżywych. Niech pan zażąda raczej wyjaśnień od R., dlaczego pozwala sobie samowolnie na zmianę moich wskazań. Zresztą jakim prawem bierze się do leczenia człowiek, który się na niem nie zna? Oto zalecił jod pułkownikowi B., dotkniętemu obrzękiem płuc, zapaleniem nerek i zwyrodnieniem mięśnia sercowego. Gdybym był nie cofnął tego zarządzenia, chory już by dziś nie żył. Może napisać z tego powodu raport?

— Należy w takich razach naradzić się z prof. Rachmanowem, lecz nie rozporządzać się na własną rękę. Trzeba szanować rangę.

— A chory niech się przez ten czas truje, lub nawet umiera? Daruje pan: jestem bardziej lekarzem, niż urzędnikiem i mam poczucie odpowiedzialności. Zresztą niech pan odda oficerów pod wyłączną opiekę R.*, skoro uważa go pan za odpowiedniego.

— Niemam niestety internistów.

— Powinien mnie pan więc cenić, jako „raram avem”.

— Ja też pana cenię, choć nie dajesz się pan urobić.

Przed paroma dniami w rozkazie dziennym był ustęp: „Prof. Rachmanow został ktitorem”. Biegli w sprawach cerkiewnych wyjaśnili, że ktitor (a jak

go zaczęto odtąd nazywać powszechnie „klitor“ (łechtaczka) zajmuje się w cerkwi sprzedażą świeczek, doglądaniem porządku i temu podobnymi sprawami lekarskimi. Jest to akurat właściwe stanowisko dla tego męża.

— Nie śmieję się, — przekładano mi, — każdy z nich, chcąc zrobić karierę, musi mieć poparcie popa. Poprzednio ktitorem był Bogdanow.

Przy pierwszym spotkaniu winszuję pajacowi nowej godności.

— Wkładają na mnie bez liku rozmaitych obowiązków, — tłomaczy się, nadrabiając miną. — Cóż jednak — wojna, nie mogę się uchylać.

Odpowiedź była niezawodnie przygotowana zawczasu. Jednak musiałem mieć ironję w twarzy, bo pajac zmieszał się, zaczerwienił i pospieszył do innych spraw. Mam teraz niedziele i święta wolne od spotkań z „konsultantem“, który z gorliwością nowej miotły wyciska miedziaki z kieszeni nabożnych za świeczki. W tej zbożnej pracy pomaga mu połowica o twarzy (podczas obecnych mrozów) koloru przestawłej śliwki — kobyły. Jest ona przybrana w czapę futrzaną, takiż wielki kołnierz i szaty barwy dojrzałego pomidora. Istna wiochna z nad Kamy lub Pieczory. Podobno urok tej pary jest tak wielki, że dochód ze świeczek powiększył się w dwójnasób. Odbije się to dodatnio nietylko już na karierze „ktitora“, lecz kto wie, czy nie i na samym przebiegu wojny. Bowiemy święci, ujrzawszy przed sobą tyle światła, nie omieszkają wstawić się do Pana Zastępów, aby przechylił szalę zwycięstwa na stronę tych, którzy są sługami Jego sług. Tak to pozornie mała nominacja może sprowadzić nieobliczalne następstwa. Nic dziwnego: wszak komar może zaszcześcić zimnicę, wesz — dur wysypkowy, a bakterja, jakich na łebku szpilki miesz-

czą się setki milionów, może wywołać śmierć. Czyż więc mąż, który w 35 roku życia jest radcą stanu, który umiał pozyskać serce żony starszego kolegi, osoby, strojnej w barwy własne i przydane, jak płodna jesień, który umiał olśnić światłem świętych, patrzących dawniej z zazdrością na powodzenie kolegów w innych cerkwiach, czyż taki mąż niecodzienny nie może sprawić rzeczy niezwykłych? Cierpliwości! Sprawa się wyjaśni. I kto wie, czy za jakie lat kilkadziesiąt jaki nowy łowajski, zbierając materiały do dziejów wielkiej wojny, nie natrafi przypadkiem i na ten mój list. Chociaż świadectwo inowlerca i inorodca nie cieszy się wielkim zaufaniem, jednak pouczy młode pokolenie i utwierdzi w przekonaniu stare, jak to krzepła, rosła i potężniała Rosja dzięki temu, że posiadała na wszystkich stanowiskach od najwyższego do ostatniego kancelisty w cyrkule ludzi bogobojnych, którzy poświęcali dla świętych nawet swój cenny czas profesorski. Gdyby jednak tylko ta jedna kartka miała się dostać w twe ręce, przyszły łowajski, zaznaczę dla ścisłości, że „profesor kliniczny” to tylko stypendysta, który nie poświęcał nic, lecz tylko brał, brał, brał wszystko, co można było wziąć, i zawsze prosił o więcej, nie pomijając żadnych wpływów, ani ziemskich, ani pozaziemskich.

Nie wątpię, że „ktitor” stanowi nader czułą słuchawkę Bogdanowa. Zrobiłem nawet parę doświadczeń, które udały się znakomicie. Odtąd korzystam z tego przyrzędu, ilekroć zależy mi na tem, aby rzecz doszła do stacji odbiorczej.

Oto pewnego razu zastałem w oddziale dwie młode siostry z sal żołnierskich. Przyniosły oficerom parę butelek wina i były dla nich tak serdeczne i wylane, jak umieją być kobiety dla wielkich bohaterów. Nie odmawiam kwalifikacyj do wieńców lauro-

wych ani łysemu chorążemu, ani tabetykowi kapitanowi i pełnemu temperamentu podeszałowi kozackiemu, skoro dwie niewiasty zaszczycają ich swym afektem. Natomiast uważam, że szpital nie nadaje się do wyrażania uczuć głębokich, bo to zakłóca spokój. Że zaś kilku chorych było tegoż zdania i nawet uskarżali się, że nietylko myszy nie dają im spać, lecz że niekiedy aż do rana rozbrzmiewają przy stołach liczne wiwaty w towarzystwie tych dwu sióstr, byłem zmuszony zabronić im przekraczać progi mego oddziału, a wino skonfiskować.

Zawrzało. Bohaterowie, pozbawieni wina i towarzyszek, pómstowali, dowodząc, że rządzą się niskiem uczuciem zazdrości. Natomiast chorzy dziękowali mi za przywrócenie spokoju. Co do wina pokazało się, że pochodzi ono z oddziału żołnierskiego, gdzie pracują owe siostry pod kierunkiem młodego chirurga S... Dozorca oddziału zawiadomił mnie, że tą drogą dostaje się codzień parę butelek do oficerów, a potem na korytarzach, schodach, w zakamarkach dzieją się takie rzeczy, których powtórzyć niemożna.

— Czemu nie powiedzieliście mi o tem odrązu? Czemu nie wezwaliście dyżurnego oficera, lekarza, zarządcę szpitala? Wszak teraz cała odpowiedzialność spadnie na was i na mnie.

— Mnie było wstyd donosić. Zresztą oni zaparliby się wszystkiego, a wtedy jestem zgubiony... Ta blondynka to córka urzędnika kancelarji generał-gubernatora, a brunetka — wdowa po niedawno poległym oficerze.

Istotnie położenie kłopotliwe: zamilczeć nie można, bo orgje nie ustaną, a zostać donosicielem na to brak mi odwagi. Wypisuję więc natychmiast ze szpitala trzech bohaterów. Ale nazajutrz nowa scena zakłóciła spokój: oto brunetka zwymyślała „po matuszkie” dozorcę, że miał o niej powiedzieć:

„włóczy się po oddziale oficerskim”. Zjawił się właśnie „ktitor” i dopytywał, co zaszło. Skorzystałem z tej słuchawki, zaznaczając, że będę musiał napisać raport.

— Boże broń! — woła przerażony pajac. — Córka dostojnika! Wszak oni mogliby przez zemstę urządzić „czort wie co”. Trzeba cicho, dyplomatycznie, bez rozgłosu. Ja o tem pomówię sam z Bogdanowem.

— Jestem panu obowiązany, bo mam doprawdy wstręt do donosicielstwa.

— Ach, niech się pan nie niepokoi. Ja to doskonale załatwię, — zapewnia pajac.

— A czy i o okradaniu żołnierzy, wypijaniu przeznaczonego dla nich wina także zamilczeć?

Mój rozmówca zaciął się, jak pajac, który zarzucił nogę na rękę i w żaden sposób nie może jej wydobyć pomimo targania za sznurek. Pomogła awanturnicza brunetka, zwróciwszy się do pułkownika Szumskiego ze skargą na dozorcę, który został skazany za niegrzeczność na tydzień aresztu. Ta bezczelność siostry miłosiernej oburzyła mnie do żywego. Zanim jednak znalazłem administratora szpitala, już Bogdanow wiedział o wszystkim.

Pułkownik Szumski nie chciał cofnąć kary za nieposzanowanie kobiety.

— A gdyby był ostrzegł we właściwym żołnierszowi języku, żeby nie... przywłaszczyła sobie wina żołnierskiego, nie... jak to się nazywają w języku wojskowym, te sceny sam na sam gdzieś na schodach po nocy? — co by wtedy było? Nie daliście mu wychowania salonowego, nie macie prawa go wymagać.

— Delikatność i poszanowanie względem kobiet powinien posiadać każdy wojskowy, — twierdzi Sumski.

— Nawet względem takich, które się same nie szanują? A czemuż to w dni wolnościowe 1905 r.

w listopadzie na Placu Teatralnym kobiety próbowały nahajek, pałaszy, bagnetów i kul żołnierskich i nikt nie wytykał niesalowego wychowania żołnierza?

— Jak pan mówi? — zdumiał się pułkownik. Jego zezowate oko zadrgało, a proste przeszło mnie, jak pika, czoło pokryło się zmarszczkami, twarz wykrzywiła jak u gadu, szykującego się do wbicia żądła, a głowa, zwykle zwieszona, jak u tabetyka, wysunęła się jeszcze bardziej naprzód.

— Jak pan mówi? — powtarza, jak żandarm, który przyłapał przestępcę.

— Akurat tak, jak pan słyszał. Sądzę, że nie powiedziałem nic nowego?

— Jak można tak mówić o wojsku?!

— A, rozumiem, chodzi panu o ich dobre wychowanie; wiem, że sam pan przykładasz doń czynną rękę, — mówię, dotykając pięścią policzka.

— Bju po mordam podleców, skotiny! (bydło) — woła Szumski w uniesiediu, ufny, że to najlepszy sposób rozwinięcia delikatnych uczuć.

I znowu pod grozą raportu, którego obawiali się Bogdanow i Szumski, zwolniłem skazańca od kozy, a szpital od panny blondynki i wdowy brunetki. Zanim jednak te „siostrzyce“ opuściły szpital, otrzymałem od młodego kolegi P. list o brzmieniu następującym: „Proszę zabronić oficerom przychodzenia do mojego oddziału, bo mi przeszkadzają. W razie przeciwnym będę musiał zwrócić się do lekarza głównego. Z poważaniem dr. P...”

Tego było mi już trochę za dużo. Nietylko władza, ale nawet gołowąs, mający opinię rozpustnika, pozwala sobie mnie strofować! Niedawno właśnie zwracała się do mnie młoda panna, którą umieściłem w szpitalu, jako sanitarjuskę, o poradę, co ma począć w stosunku do lekarza P., który robi jej propo-

zycje uwłaczające a za odmowę postępuje z nią brutalnie?

— Matka nie nauczyła pani, jak w takim razie postąpić?

— Owszem, ale w stanie wojennym, w szpital, w stosunku do Polaka...

— Samoobrona w takich razach jest odruchowa. A że wyrzutkiem jest to Polak, to tylko ułatwia pani położenie, bo nie powiedzą: „polska intryga”.

Po tej rozmowie, zrozumiałem stanowisko „siostrzyc”, rozdrażnienie młodzieńca P. na oficerów, że mu „przeszkadzają” prawdopodobnie nie w pracy lekarskiej. Taki osobnik ośmielił się wystąpić do mnie z ostrzeżeniem i pogróżką! Naradziwszy się z kolegami, odpisałem: „Łaskawemu koledze nie wiem do prawdy, co mam odpowiedzieć. W pokoleniu lekarzy, do którego mam zaszczyt należeć, młody lekarz zwracał się do starego w zupełnie innej formie. Rządząc się temi zasadami i mając o młodym koledze bardzo niepochlebne wiadomości, ostrzegam go, aby nie poniewierał dobrego imienia lekarza — Polaka. Życzliwy dr. W. M.

Dwa dni oczekiwałem świadków w tużurkach i czarnych krawatach. Nie zjawili się. Było to do przewidzenia. Nawet samego P. o krzywym nosie, zwłędłej twarzy bez owłosienia przestałem jakoś widywać. Znikł mi z oczu. Tak to jednego razu, gdy do przepelnionego wagonu wcisnęło się paru tęgich chłopów i nie mogli znaleźć miejsca, zaczęli się wpatrywać w dwu żydów, rozpartych na ławach. A gdy po chwili rzekli krótko: „ci sami” i zwrócili się do drzwi, wnet żydzi znikli, jak eter. Pytam przybyszów: — czy złodzieje? — Zapewne, — odrzeką, — bo umknęli, ale my ich całkiem nie znamy.

Sprawa siostrzyc ujawniła rzecz całkiem nieoczekiwane. Okazało się, że zapotrzebowanie wina

i koniaku na oddziale P. było olbrzymie, a chorzy nie dostawali prawie zupełnie napojów wyskokowych. Sledztwo ustaliło, że je wypijano na miejscu w towarzystwie siostrzyc, oficerów i ordynatora. W dodatku P. wynosił je całemi butelkami ze szpitala. Wobec nakazanej wstrzemięźliwości był to skandal. Nawet władze szpitalne starały się ukryć całą sprawę. Bogdanow i „ktitor” stali się dla mnie uprzedzająco grzeczni i obiecywali solennie, że dwie siostrzyce zostaną usunięte. Główny sprawca został ukarany: dano mu do wyboru: albo sąd, albo podpisanie prośby o przeniesienie na pozycje czołowe. Z płaczem i spazmami wybrał ten zawadzaka drugą alternatywę. Szczęśliwej drogi! Byłeś znowu nie pokalał, dobrego imienia lekarza — Polaka!

W galerji konsulatów mam do przedstawienia radcę stanu Eryksona, ordynatora oddziału psychiatrycznego, który ma pełnić jednocześnie obowiązki konsultanta w chorobach zakaźnych. Niewolno przynieść do właściwego oddziału chorego na dur, czerwonkę, błonicę, cholereę bez zezwolenia tego radcy stanu. Erykson jest mały człowieczek na krzywych nóżkach, ma nosek zadarty, usta szerokie, uszy odstające, mówi urywanie, skrzeczącym głosem, jak gdyby go duszono za gardziel; jednocześnie wykonywa ruchy niesamowite, jakgdyby zwijał kłębek. Jest on Niemiec, luteranin, liczy 45 lat. Całe życie spędził w wojsku, gdzie awansował szybko w okresie przyjaźni z Niemcami. Dziś jest wystraszony i nosi się ciągle z zamiarem przejścia na prawosławie i zmiany nazwiska. Gdy poraz pierwszy zjawił się ten radca na moim oddziale, spytałem:

— Czy pan miał do czynienia z chorymi zakaźnymi?

— Owszem podczas wojny japońskiej. Niema tu nic bardzo mądrego.

— To dość dawno. Ja spotykam się z nimi ciągle, a jednak miewam nieraz wątpliwości.

— To się dziwię panu — odpowie. — Felczer powinien się tu orientować. Trzeba mieć pewne czucie.

— A to jestem bardzo rad. Co pan sądzi o tym chorym? Gorączkuje od tygodnia, język suchy, brzuch wzdęty...

— Tyfus, — odpowie konsultant, obejrzawszy chorego napoczekaniu.

— Otóż mam wątpliwości: wyprysk na wargach, śledziona nie powiększona, tętno bardzo przyspieszone, w płucach ogniska zapalne...

— O to bywa! Zwykle, codzienne powikłania. Trzeba chorego przenieść odrazu do oddziału dla tyfusowych.

— Daruje pan, ale jeszcze poczekam, — odpowiem, widząc, że radca stanu szykuje się by umieścić chorego na zapalenie płuc w ognisku innej zarazy.

— Tu niema co czekać! Bogdanow nakazał oddzielanie takich chorych.

— Jest tu inny chory na dur. Przeniesiemy go, a ten niech zostanie.

Pierwszy występ konsultanta wypadł nieszczególnie. Nic dziwnego: od wojny japońskiej nauka posuwała się naprzód, a medycyna wojskowa w Rosji stoi jeszcze ciągle na tym samym poziomie, że urzędnik z rangą wyższą ma zawsze głos rozstrzygający. U chorego wystąpiła nazajutrz kryza. Dziękował mi też on gorąco za ocalenie od nowego niebezpieczeństwa.

Trzeci konsultant, który zjawił się niedawno na naszym widnokręgu, to Sawieljew. Osobliwa była nasza pierwsza rozmowa. W jadalni oficerskiej, gdzie się stołuję, spotkałem pewnego dnia młodzieńca o prawidłowych rysach, rumianym wyglądzie, rozprawiającego o sprawach lekarskich. Był w randze pułkow-

nika, a więc już zasłużony pomimo młodego wieku. Gdy biesiadnicy się rozeszli i zostało nas paru z przybyszem, pytam go:

— Skąd bogi prowadzą?

— Z Osowca. Mianowano mnie tu konsultantem chirurgji.

— Przecież to stanowisko zajmuje kolega O.?

— Cóż z tego? — odpowie, — dostałem nominację, to znaczy, że tamten lekarz zostanie przeniesiony.

— To niespodzianka! Dlaczego, poco?

— W stosunkach wojskowych rozkaz to wszystko, — odpowie młodzian, który czuł się w Osowcu źle skutkiem zbyt głośnego huku armat. Skorzystał więc z tego, że wyższe stanowisko, zajęte przez Polaka, jest uważane zawsze za wakans. Z Bogdanowem znali się dawno i dobrze.

— Tak? — pytam. — Wśród lekarzy wojskowych względy koleżeńskie nie obowiązują? Tylko... rozkaz?

Rozmowa się urwała. Aż widzowie jej byli nieco zmieszani i rozeszli się szybko. Przy rozstaniu nie miałem już wątpliwości, że mam nowego wroga.

— Kolega O. dziękował żem wystąpił w jego obronie.

— A sam co kolega zrobił? — pytam.

— Sam... A cóż mogą zrobić? Narażać się? Bogdanow robił mi od pewnego czasu ciągle przykrości, czepiał się rozmaitych nieporządków w oddziałach, wzywał mnie na narady w rozmaitych porach, byle mi obrzydzić stanowisko. Teraz będę miał żywot spokojniejszy.

— Wobec tego żałuję, że poruszałem tę sprawę. Nie zamierzałem utrudniać koledze położenia. Chodziło mi o zasadę.

— Oczywiście, zrobił kolega dobrze; takie krzywdy należy poruszać publicznie. Niech wiedzą, że takie postępowanie to łajdactwo!

— Dziwne mam usposobienie: krzywda ludzka obchodzi mnie nie mniej, niż własna. Oddziaływałam na nią odruchowo, nie zastanawiając się, czy da to jaką korzyść. Mam wrażenie, że milczenie rozzuchwała ciemiężców, a głos doniosły hamuje ich zapędy gnębielskie w stosunku do nas, Polaków.

— Słusznie, — potakuje pokrzywdzony.

* * *

Tak wygląda galerja konsultantów. Są to wyłącznie wojskowi zawodowi, obznajmieni dokładnie z tomem XVI-ym i szeregiem przepisów, rozkazów, okólników, form, szczególnie z ich tłumaczeniem i wykonywaniem. Chociaż każdy z nas przeczytał to prawodawstwo, jednak nie orjentujemy się nieraz co do wielu spraw, które władza komentuje tak, jak jest jej dogodnie. Oto np. paragraf mówi: „lekarz dyżurny czuwa nad porządkiem w szpitalu, reprezentuje lekarza głównego, udziela pierwszej pomocy w nagłych przypadkach, spotyka władze wyższe i t. d.“ Z tego jednak nie wynika, aby był odpowiedzialny za wszelkie wydarzenia. Jednak. Podczas dyżuru kolegi K. powiesił się żołnierz na drutach od elektryczności; trupa znaleziono nad ranem. Bogdanow groził aresztem K. za samobójcę, o którego istnieniu, a tembardziej zamiarach samobójczych nie mógł wiedzieć lekarz dyżurny, siedząc o pół wiorsty od pawilonów. Podczas jednego mojego dyżuru zdarzyło się, że żołnierz wypił w prosektojum spirytus ze świeżo włożonych doń wnętrzności trupa. Szumski skazał przestępcę na areszt o głodzie nie wiem, czy za przywłaszczenie mienia rządowego, czy też za niewybredne zamiłowania smakowe. Nad ranem wezwano mnie do aresztowanego, umierającego w strasznych bólach. Otruły skonał. Władze zrzekły się nawet raportu z tego

powodu, bo lekkomyślność Szumskiego była aż nadto widoczna.

Jeszcze jeden zwierzchnik to Łoktiew, który zajął stanowisko po Bogdanowie! Tytułuje się więc: „czasowo pełniący obowiązki pomocnika czasowo pełniącego obowiązki lekarza głównego...” Chociaż tytuł jest długi, a osoba krótka, jednak stara się on dostroić do tej godności. Idzie mu to trudno, bo jest w nim coś z lekarza okulisty, a nie czystej wody wojskowy. Stara się on dogodzić Bogdanowowi rządami twardej ręki. Jednak wypadają one, jak taniec niedźwiedzia na linie. Ilekroć zjawi się na oddziale z zamiarem dania nauczki ordynatorowi lub chorym, wypada coś ni w pięć, ni w dziewięć, albo taka kasha, której nikt nie strawi. Praca na oddziale ocznym pochłania dużo czasu Łoktiewowi; ma go więc mało na dogryzanie nam. Bogdanow poucza go, jak nam założyć na skórę i przekształca okulistę na zwykłego biurokrateę.

Oto niedawno zastałem na oddziale siostrę Kładję, zawodzącą głośniej, niż zwykle. Poczciwa ta kobiecina o twarzy zwiędłej, oczach zezowatych, piersi wklęsłej, stawach artrytycznych pełni obowiązki siostry oddziału oficerskiego bez narażania się na zaczepki.

— Prawo bieda! — powtarza s. Kładja swą zwrotkę ulubioną. — Nie dali dziś mleka, brak termometrów, nie chcą dać worków gumowych...

Na to utyskiwanie odpowiadam zazwyczaj: — Zaprawdę nieszczęście! Pośmiejemy się chwilę, potem napiszę zapotrzebowanie i sprawę się załatwia. Ale dziś zastałem Kładję rozdrażnioną.

— Nikogo dziś niema: ani felczera, ani ucznia, trzech posługaczy zachorowało. Nie mogą pracować za wszystkich.

Po naradzie z siostrą zwróciłem się do Łoktie-

wa z oznajmieniem, że niższy personel nie zjawił się i oddział jest bez obsługi.

— A co pan przedsięwziął, by zaradzić nieporządkowi? — pyta mnie Łoktiew.

— Zawiadamiam o tem pana.

— Pan rozpuszcza niższy personel! Jak można dopuścić, aby nie stawili się bez wytłomaczenia?!

— Nie mogę ich sprowadzić pod przymusem, są podobno chorzy.

— Nikt nie ma prawa chorować bez zawiadomienia pana! Czy pan skorzystał ze swego prawa posadzenia każdego z nich na 8 dni do kozy?

— Nigdy z niego nie korzystałem, a tembardziej w stosunku do chorych, których zresztą nie widziałem.

— To się nazywa: beczynność władzy. Za to będzie pan ukarany, — kończy Łoktiew.

Nazajutrz w rozkazie szpitalnym umieszczono napomnienie, że dr. M. przez beczynność władzy rozpuszcza podległy mu personel. Służba była istotnie chora. Koledzy przepowiadali, że się doigram. Już miałem zamiar reagować na ten gwałt, ale jeden pacjent pouczył mnie:

— Cóż, pan jest czynownik? Na takie ostrzeżenia może pan plunąć!

Istotnie. Cóż mnie mogą obchodzić ich rozkazy i wymówki? Czy zamierzam zdobywać rangi, stanowiska, ordery, drzeć, że może mnie ominąć jaki fawor władzy? Nie jestem pajac, dbały, by mu się nie urwał sznurek. Wasze „napluć” jest obrazowe. Polskie „nic sobie z tego nie robię” nie oddaje tego wyrażenia. Nawet: „gwiżdżę sobie” jest zbyt salonowe. Zaprawdę, jaka kultura, tacy ludzie, urzędnicy, język. I cieszą się, że moja mowa ojczysta nie zdobyła się na tak malowniczy zwrot. Może z czasem nasi urzędnicy będą bardziej kulturalni, gdy odzyskamy samodzielność utraconą. Ale co na to powie

Szumski ze swemi wymaganiami salonowego obejścia dla żołnierzy, stosujący w celach wychowawczych metodę... denstyczną?

4945

21 Luty 1914 r.

Przebrnęło się zimę. Nie można powiedzieć, aby była zbyt surowa. Mały zapasik węgla, z którego część ustąpiłem ojcu, wystarczy mi jeszcze na parę tygodni. Wprawdzie zadowolam się ciepłotą 10^oR i tylko Julja grzeje się w kuchni na rachunek niewyszukanych obiadów, ale świadomość, że niezadługo słońca zastąpi piece, dodaje otuchy. Ceny węgla są niebywałe: pud miału kosztuje 75 do 1,20 kop. Dostawcy węgla Dońskiego moczą go jakoby w celu nadaniu mu spoistości, a właściwie — zwiększenia wagi. Polecają też sypać go na papier i w takiej tylko postaci kłaść na rozpalone drzazgi, ale kuchty uważają to za zawracanie głowy.

Ruch wojenny ożywia się. Położenie jest niekorzystne, bo otoczono nas z trzech stron. Wojskowi są dobrej myśli, zapewniają, że nie oddadzą Warszawy. O położeniu strategicznem większość niema najmniejszego pojęcia, nie wie nawet, co się dzieje na ich własnym froncie, poprzestając na komunikatach w pismach. Pewne jest to tylko, że wszyscy pragną gorąco pokoju. A o nim niema jeszcze mowy. Jestem znużony, wyczerpany, jednak sędzę, że pokój byłby teraz zabójczy dla naszej sprawy, oznaczałby nowy rozbiór Polski.

Praca w szpitalu jest coraz przykrzejsza. Oto przed kilku dniami wzywa mnie w nocy Bogdanow i żąda wyjaśnień, co się dzieje w oddziale chole-rycznym. Odpowiadam, że mnie nie powiadamiano.

— To się nie nazywa u mnie służba! Chory dostał jakiegoś ataku, a pan nic nie wie,

— Nie służę u pana. A do chorego mnie do-

tychczas nie wezwano. Zresztą nie jestem bogiem, abym miał wiedzieć, co się dzieje w każdej chwili dnia i nocy z każdym z 3000 chorych na obszarze kilku wiosk.

— Proszę iść zaraz do oddziału cholerycznego, bo pański pomocnik nie może sobie dać rady.

Wyruszam na poszukiwanie oddziału, w którym nigdy dotąd nie byłem. W parku palą się gdzieś latarnie. Nad miastem gore luna. Z zachodu dochodzi głuchy huk dział. Na tle nieba rysują się koszarowe budynki szpitala. Po poszukiwaniach półgodzinnych dotarłem wreszcie do baraku cholerycznego. Odziano mnie w kałosze, fartuch skórzany. Na korytarzu wystraszona siostra i kolega W. oświadczają, że chory dostał furji i nie radzą się doń zbliżyć. Zaglądam do salki. Chory miota się na łóżku w rękach trzech posługaczy, krzyczy, klnie „po matuszkie“. Dowiaduję się, że zachorował na cholere przed dwoma tygodniami i że ostre objawy już przeminęły.

— A jakie prowadzicie leczenie?

— Trochę opjum, a na wzmocnienie wina burgundskiego butelkę i pół butelki koniaku na dzień.

— A co jada?

— Trochę rosółu, mleka i kleiku.

Zrozumiałem. Chory dostał napadu białej gorączki. Trzeba więc pofatygować Bogdanowa, ho nie mam prawa wchodzić w cudze atrybucje, a choroba umysłowa, wywołana przez wadliwe leczenie, wymaga obecności właściwego konsultanta. Telefonuję więc o 3-ej w nocy do męża o twarzy pergaminowej: chory dostał napadu manji. Jak mam z nim postąpić?

Władza jest zła. Oderwałem ją zapewne od kart. Więc odpowiada: — Nie jestem psychiatrą! Po co pan mnie niepokoi?!

— I ja nie jestem nim. A że dr. Kisielow na

wezwanie wymówił się chorobą i zalecił na niewidzianego bromu, więc proszę o wskazówki.

--- Kisielow nie złożył raportu o chorobie, więc proszę go zawiadomić, że mu nakazuję pójść do chorego. Jeżeli odmówi, proszę wezwać d-ra Eryksona.

Kisielow mieszka w gmachu szpitalnym nad Bogdanowem, który może posłać doń żołnierza z rozkazem. Ale ci dwaj radcowie stanu pałają do siebie nienawiścią. Kisielow jest 40 lat lekarzem wojskowym, ze 20 radcą stanu i kierownikiem oddziału psychiatrycznego, ma więc większe kwalifikacje na stanowisko lekarza głównego.

Do 4-ej rano Kisielow się nie zjawił. Posłałem więc po Eryksona. Jemu nie było również spieszno, bo stawił się dopiero o 8½ rano wraz ze swym zwierzchnikiem. Uznali chorego za furjata i kazali go obezwładnić. O wysokoku nie było mowy. I bardzo szczęśliwie, bo w razie przeciwnym spadłaby cała odpowiedzialność na kolegę, prowadzącego oddział choleryczny.

Tak to jeden alkoholik zakłócił spokój nocny aż trzem radcom stanu. Myślałem, że skutkiem tego przynajmniej rozstąpi się ziemia. Ale, o dziwo, nie mogłem dopatrzeć się żadnej dziury ani na ziemi, ani na niebie. Może zresztą były. Tylko, że mój wzrok po nieprzespanej nocy osłabł...

Przed paru dniami wezwał mnie Kisielow do siebie, jako lekarza. Poraz pierwszy byłem w gmachu, zamieszkałym przez administrację. Stara to, opuszczona budowla. Na 1-em piętrze mieszka Bogdanow, nad nim część 2-go piętra zajmuje Kisielow. Schody są wąskie, drewniane, drzwi wchodowe małe, pokoje niskie. Z okien roztacza się śliczny widok na Wisłę i lasy odległe. Zapomina się narazie, że się jest w obrębie szpitala. Wieje czemś swojskiem; ukochanem, jakiś szerszy widnokrąg roztacza się przed

oczami, przypomina się, że w tych murach zamknięte jest nie całe życie, choć pochłaniają one wszystkie siły, że pozatem jest jeszcze przeszłość, pełna pamiątek i ten promień słońca, źródło energii naszej, i ta Wisiełka szara, ciągnąca się wstęgą nieskończoną przez dzieje nasze.

Chwilę rozmyślań przerywa wejście strojnej damy. Wzrostu średniego, uczesana i ubrana pretensjonalnie, o twarzy blanszowanej, oczach i brwiach podmalowanych, stanowi takie przeciwieństwo z krajobrazem, ujętym w ramy okna, że robi wrażenie plamy na białej szacie atlasowej.

— Mąż zachorował, — rzecze, prowadząc mnie przez salon do sypialni. — Gorączkuje osłabiony...

Od pokoju wieje pustką, ubustwem. Na środku stoi jakiś zwierzak wypchany, objedzony przez mole pod ścianami — jakieś obdrapane mebelki i nic po-zatem. A w sypialni widzę dwa zwykłe łóżka żelazne na prętach, parę krzeseł, stół pod oknem, tualetę, a wszystko wygląda, jak po pożarze. Nasuwa się pytanie: wywiózł mnie do Rosji, czy nigdy nic więcej nie posiadał.

Chory leży na wznak, przykryty kołdrą par-cianą, chustką i szynelem. Gorączkuje, stęka. Przy badaniu wykrywam zaczerwienienie na nosie. Jest to róża. Pani domu woła: — Trzeba go przenieść do szpitala, jeszcze zarazi córkę!

— Niech pani będzie spokojna. Mam nadzieję, że się sprawa umiejscowi, — pocieszam panią malowaną, miarkując odrazu, że mąż jest w tym domu tylko dostawcą gotówki, niczem więcej. Długo muszę przekładać, że przy zachowaniu ostrożności niema obawy co do niej i córki. Do smarowania i opatrunku wezwano felczera szpitalnego.

Nazajutrz powiedziała mi strojna dama, że wzy-

wała jeszcze d-ra Gawryłowa, który ją upewnił, że to nie róża. Rzecz prosta, iż uchyliłem się od przyjscia na naradę lekarską z G. tembardziej, że Bogdanow wysłał do chorego komisję lekarską która podzieliła mój pogląd.

Był to bynajmniej niejedyny nietakt p. Kisielow. Już poprzednio prosił mnie radca stanu, abym przyjął na oddział jego syna z zastrzeżeniem, że będzie mieszkał u rodziców.

— Nie mam na to prawa. Proszę zwrócić się do Bogdanowa.

— On napewno odmówi. To człowiek bez serca.

— Proszę powołać się na aptekarza, — któremu na to pozwolił, — dodaję przypomniawszy sobie, jak aptekarz nie darował nawet porcji szpitalnej, przeznaczonej dla chorego syna.

Kisielow uzyskał pozwolenie dzięki tej wiadomości, jednak nie omieszkał wbrew obrotnicy wyśpiewać Bogdanowowi, że mu udzieliłem tych wskazówek. Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym dowodził, że takie nietakty i niegrzeczności spotykają mnie, że jestem Polakiem. Bynajmniej: cała ta sfera urzędników wojskowych nie jest ożywiona jakimkolwiek uczuciem koleżeństwa, wspólnoty, łączności; każdy zwierzchnik nadyma się wobec podwładnego, stara się go poniżyć zmaltretować, trzymać „na wytrażkach” (na baczność), czyli wyprężonego, z rękami przy bokach, wpatzonego we władcę, siedzącego na fotelu, każdy zaś podwładny karbuje sobie w pamięci wykroczenia zwierzchnika.

Jeżeli wyrządzić jaką grzeczność urzędnikowi, napewno przez wdzięczność pokaże niektóre kolekcje swych strzał zatrutych. Niedawno np. leczyłem majora Radczenkę, który nadużył tak darów bożych, iż

narazie przypuszczałem, czy nie jest chory na chole-
rę. Gdy się po kilku dniach poprawił, rzecze:

— Wprost nie wiem, jak się panu doktorowi od-
wdzięczyć. A po chwili:

— Pan miał jakieś zajście z aptekarzem. Tak?
To panu opowiem, co to za ryba.

— Cóż mnie on obchodzi? Dałem mu należyta
nauczkę i nasze rachunki skończone.

— Ależ warto się przyjrzeć! Takiej kanalji nie
spotyka się codzień,—mówi R., a jego przygasłe oczy
nabierają błysku, jak u myśliwego, który nakierował
już muszkę na zwierzynę i naciska cyngiel.—Nie za-
mierzam mówić o spekulacjach na lekarstwach, opa-
trunkach, zwłaszcza na napojach wysokowych. To
jest handel na wielką skalę, który daje pokaźne zys-
ki, zwłaszcza wino i koniak w naszych czasach trzeź-
wości..

— Rozumiem gniew Aleksandrowa, gdy napisa-
łem raz u jednego w recepcie, że napój zórawinowy
z winem staje się coraz bledszy i wodnistszy. Odpo-
wiedział mi, że wino jest besarabskie, więc nie ma
barwy, ja zaś, że napój jest nie bez.. arabski, ale bez
winny.

— Oszczędzone butelki znajdują pewnego od-
biorcę. Ale aptekarz nie zaniedbuje i drobnych do-
chodów. Oto niedawno wyprosił odemnie ze składu
szynel dla syna. Czyż pana nie stać na kupienie
czegoś porządniejszego?—pytam—Jeżeli można mieć
darmo,—odpowie—to na co płacić. To moja zasa-
da.—Wszak to mienie rządowe.—E, nie zrujnuję rzą-
du! Trudno było wymówić się. Dałem. I wie dok-
tór co?

— Wiem. Bo kiedy dopominałem się o wydanie mi
należnego szynela żołnierskiego, administracja oświad-
czyła, że brak wam sukna. Niebawem jednak wszyst-
kie „szyszki“, zacząwszy od Bogdanowowa, Łoktiewa,

Rachmanowa, zaczęli paradować w szynelach żołnierskich z tej samej samej sztuki sukna. Tylko dla nas, Polaków, zbrakło go...

— Prawda! Ale jak doktor sądzi. Co zrobił aptekarz z szynelem?

— Pewno sprzedał, bo to towar poszukiwany.

— Zgadł pan! Ale wie pan, komu? Pan się nie domyśla?... Czausowowi! Patrzę mój Czausow paradyje w szynel żołnierskim: kołnierz odstaje, jak chomonto, aż wstyd szlifom.

— Widziałem,—podchwytuję,—zato brzuszysko nie chce się zmieścić, bo żołnierz ma wklęsłość tam, gdzie czynownik—wypukłość; guziki przesunął do przodu, ale to nie pomogło, a poły zadarte ma do góry, jak nieprzymierzając w ostatnich miesiącach błogosławieństwa.

— Pysnie dopasowany szynel!—śmieje się Radczeko, klaszcząc w dłonie.—A czy pan wie, że ten skąpiec dorobił się na oszczędnościach z kuchni szpitalnej, na dostawach i umowach z żydami... paru domów. Jest za co sprawić porządny szynel. Ale lepszy handel z aptekarzem. Wie pan, ile zapłacił? Pośleliśmy sprytnego felczera. Wybadał... 5 rubli!

— Aptekarz pragowity jest i zapobiegliwy. Siądzie na każdym kwiatku, jak pszczoła, gdy zwącha miód.

— Sprzedałby rodzzonego ojca. A wyrzeka ciągle na biedę. I Czasow nie lepszy. Mój panie: na paru tysiącach ludzi w szpitalu można zrobić porządne oszczędności. Mięsa dostarczają żydzi, nabiał, jarzyny, mąkę, cukier, herbatę kupuje się z wolnej ręki. To jest złoty interes, kopalnia w dobrym ręku!

— Cóż więc robi komisja gospodarcza?

Radczenko uśmiechnął się szyderczo.

— Co robi? Sprawdza papiery i rachunki, podpisane przez lekarzy dyżurnych. A czy panowie wa-

życie mięso, jarzyny, chleb, cukier? Podpisujecie wielki arkusz papieru z cyframi, o jakich nie macie pojęcia. Każda z nich może być zmyślona. I wy jesteście za to odpowiedzialni.

— Świetny podział pracy! Czausow układa się z dostawcami, my przyjmujemy produkty i kwitujemy z odbioru, a komisja dodaje i mnoży. Zaś chory nie określił językiem, czy kotlet zawiera przepisaną ilość mięsa i masła; a gdyby ocenił, że go okradają, to „powar gramotiej” (kucharz piśmienny) będzie się bronił, jak rzeźnik wobec kucharki: „mięso — nie piernik, ma kości”.

— Ale że dochód jest zaduży, jak na jednego, — prawi R., — więc jest współka. Jeżeli doliczyć jeszcze inne dostawy, opał, naprawy, przeróbki, to okroi się suma pokaźna. Jest to już wszystko dochód Szumskiego.

Tu rozmówca zaciął się przez chwilę, łyskał oczami, otwierał i zamykał usta, marszczył brwi, machał rękami. Wreszcie potrzeba „ulżenia duszy” wzięła górę i zaczął prawić zwolna, potem potoczyście:

— Szumski... Szumski! Ładna osobistość! Pan wie, że jest teraz pod sądem za konszachty z żydami? Na kolejach brak wagonów, tylko instytucje rządowe dostają je w miarę potrzeby. Otóż Szumski odprzedał je żydom. Ale ich przyłapano. Szumski wyparł się wszystkiego i zwałił winę na niższych funkcjonariuszów. Zarzucono im, że podrobili podpis Bogdanowa i Szumskiego. Ale oni nie dadzą się chyba zgubić i wyśpiewają całą prawdę. Jest co śpiewać — woła R., zacierając ręce.

— Nie przypuszczałem. Taki Katon! Spojrzy na żołnierza, a jemu już drętwieją łydki. Do dentystki również bardzo skory... I wierz tu ludziom, — mówię.

— Szuja! Ot, jak mnie chciał wciągnąć w błoto. Przywożą parę fur wapna. Przyjmuję i kwituję. Zaczyna się sprawa o wagony, a Szumski broni się,

że sprowadzał chlorek wapna do wyjaławiania i przedstawia moje pokwitowanie, gdzie dopisano: „chlorek“. Oświadczam, że jest ono sfalszowane. Bogdanow wzywa mnie do siebie, żąda cofnięcia oskarżenia, zarzuca, że jestem w zмовie z żydami. Uniosłem się. Krzyknąłem. Bogdanow stchórzył. Ja zaś podałem raport, żądając śledztwa w sprawie wapna. Raport schowali; podałem drugi. Wreszcie Bogdanow i Szumski przeprosili mnie... i mordowali dopóty, aż cofnąłem skargę.

— Muszą być teraz dla pana bardzo grzeczni.

— Gdzietam! Mam z nimi ciągle zajścia. Jednak to wszystko nie przejdzie bezkarnie. Zobaczysz pan, co będzie po wojnie! — cieszy się R., klaszcząc w dłonie.

— A jeszcze gorzej będzie na sądzie ostatecznym! — mówię, — pan zobaczy.

— Niech pan doktor nie kpi. Teraz nie czas. Ale po wojnie ja im pokażę!

— Na takie sprawy zawsze czas. Jestem pewien, że potem ślad zaginie. Nawet pies policyjny nie wykryje przestępcy po kilku dniach. Dla nich czas to wierny sprzymierzeniec.

— Być może. Lecz oni mają tyle grzechów na sumieniu, że zawsze któryś wylezie, a wtedy pójdzie cała litanja.

— Co tu można przewidzieć? Niech Warszawa zostanie zdobyta, wszelki ślad zaginie. Może niejedna twierdza upadła z tych samych powodów.

— A prawda musi zawsze wypłynąć na wierzch...

— Tak poucza przysłowie. Jednak życie uczy nieraz inaczej. Trzeba mieć samemu trochę odwagi cywilnej, a nie polegać tylko na zrządzeniu losu. Chodzi nie o zemstę, lecz o czyn obywatelski, sprzyjający zwycięstwu armji.

— To prawda. Ale w stosunkach wojskowych

nie dość chwycić złodzieja za rękę, aby go oddać pod sąd. Jednostka nic tu nie poradzi, bo cała banda trzyma się za ręce. Niech się jeden złapie, zaraz wylizają współnicy. W ładnej kompanji wypadło służyć. Myślę serjo przenieść się na pozycje.

— A czy wśród waszych urzędników niema ludzi porządnych?

— Z nikim z nich żyć nie można.

— No, a taki kasjer Jegorow, człowiek spokojny, przywoity, dobrze ułożony.

— Co pan mówi?! Ordynus, cham! Ożenił się wie pan z kim? Ha, ha! Podoficer Szyszko, który zrobił majątek na węglu szpitalnym, wyszukał mu kucharkę, która bywała już nieraz „do wszystkiego“. I nasz J. ożenił się z nią! Skandal! Czyż moja żona mogłaby u nich bywać?

— To pana razi? A przecież taki dostojnik, jak Apuchtin, ożenił się z własną kucharką i ujawnił istnienie dorosłej córki. I cóż? Profesorzy, dyrektorzy, nauczyciele obcałowywali ręce pani kuratorowej, która uprzednio siekała dla nich kotlety. To jest u Rosjan rzecz zwykła.

— Niech pan o nas tak źle nie sądzi. Zdarzają się takie wypadki, ale rzadko. Jednak w naszym szpitalu niema istotnie z kim żyć. Ot, taki pop, to postać z pod ciemnej gwiazdy. Trzeba przy nim trzymać ręce w kieszeniach.

— Większość waszych urzędników to felczerzy wojskowi.

— Tak, tak! I to się odbija na ich zachowaniu. Gdzież człowiek bez wykształcenia, który przebrnął szkołę felczerską i zasiadł w kancelarji, może mieć jakie popędy szlachetniejsze?

— I teraz nawet, gdy niższy personel lekarski jest bardzo potrzebny, przerabiacie felczerów na pisarczyków. Co za marnotrawstwo sił!

— U nas tak zawsze. Żeby pan wiedział, jakie osobistości figurują na liście deńszczyków? Boki zrywać!!

— Nie rozumiem.

— Bo jest pan lekarz cywilny. — I, mrużąc lewe oko i robiąc kręgi rękami, R. prawi: — Wam wydaje się, że deńszczyk to taki żołnierz, niezdatny do służby frontowej, który musi czyścić buty oficerowi, piastować jego dzieci, robić zakupy w mieście, gotować, pracować, sprzątać. Słowem — Kasia do wszystkiego. Nawiwni! Na to ma szpital dość żołnierzy. A stanowisko deńszczyka podczas wojny to taki walor, który można łatwo spieniężyć. Każdy bankier, przemysłowiec, kamienicznik, dziedzic da pół swego majątku, aby figurować na liście deńszczyków prewoschoditelstwa...

Radczenko wymienia mi parę nazwisk polskich i żydowskich... Nie chcę wierzyć. To podnieca wymowę narratora. I oto szereg działaczy przesuwają się przed memi oczami. Nie sympatyzowało się z nimi, ale się wierzyło w ich nieskazitelność, choć było dziwnym, że się ich nie widzi w szeregach wojskowych, gdy samemu nosi się mundur. A dziś widzi się, że Targowica żyje i że jej korzyści są ważniejsze, niż sprawa narodu... A R. prawi, wymachując rękami i śmiejąc się szyderczo:

— Doktor jest idealista! A przecież nie tylko my, Rosjanie, mamy Bogdanowych, Szumskich, Aleksadrowych, Czousowów, Jegorowych, lecz i wy Polacy — ich deńszczyków! Ha, ha...

Śmiech R. brzmi strasznie, jak łoskot bomb, spadających z samolotów na miasto rodzinne. Co z niego pozostanie? A może trzeba zniszczyć Sodomę i Gomorę, aby uratować kilku prawowitych? Ale cóż ja mogę zdziałać w tym środowisku? I czy warto wogóle dlań pracować?!

Z uczuciem bólu i wstydu rozstają się z majo-

rem. Nagle zjawia się myśl, która jak błyskawica rozjaśnia ciemne widnokregi. Już teraz nie w mówicie we mnie, że jestem hardy, nieopanowany, zuchwały. Nie. Do tego otoczenia pasuję, jak łódka do oceanu. Co mnie obchodzą ci czynownicy? Im są gorsi, bardziej przedajni, tem prędzej rozpadnie się w gruzy carat z jego niewolą i ciemnotą... Niech kradną, łupią...

A co się stanie z naszą sprawą? Czy rumowiska caratu nas nie zagrzebią? nie zgładzą raz nazawsze? Czy na tych wzorach nieprawości nie ukształtuje się przyszły urzędnik polski, przyszły wojskowy? Przecież kiedyś, gdy odzyskamy samodzielność, dorwą się do władzy ci właśnie, którzy współdziałali z naszymi rozbiorcami i uczyli się od nich metod rządzenia. A będą wśród nich nietylko nieliczni Polacy na urzędach rosyjskich, lecz i ci deńszczycy prewoschoditelstw, opłacający się im sowicie za przywilej azylu. Zresztą czy tak dzieje się tylko na urzędach rosyjskich? Czy biurokracja austriacka nie jest podobna kubek w kubek? Ta sama formalistyka, tylko znacznie bardziej rozwinięta, ta sama papierowość w załatwianiu rozmaitych spraw, ta sama służalczość względem zwierzchności i ten sam stosunek wyniosły do stron, które się traktuje jak poddanych, to samo ubieganie się o dochody podejrzone, brak godności osobistej, ukrytej pod osłoną rang, stanowisk, orderów... Wrazie zjednoczenia z Galicją groza biurokracji jest tem większa, że stan urzędniczy jest tam nader liczny, gdy w zaborze rosyjskim są dla Polaków dostępne tylko najniższe stanowiska w policji, na poczcie na kolejach i w skarbie.

Radczenko odsłonił sprawy zakulisowe i jest rad, że mógł odmalować swych wrogów czarnemi barwami.

Ja zaś cierpię srodze. Wprawdzie mam dziś nową podstawę twierdzić, że poczucie własnej godności

jest pewną busolą w krainie nieprawości. Jednak świadomość, że ten system musi doprowadzić do upadku caratu, nie opuszcza mnie już na chwilę. Tak. To musi się stać, jeżeli wojna się przeciągnie, bo gmach państwowy, którego podwaliny są zgniłe, a ściany zmurszałe, nie podźwignie nadbudowy, jaką jest tron. Nie boli mnie to, raczej cieszy, że runie ta ostoja przemocy i barbarzyństwa i że przywali sobą czynowników i popów. Wprawdzie w tych rumowiskach zginie dużo rodaków, związanych z ustrojem samowładztwa. Lecz przeraża mnie i napawa lękiem, że ta katastrofa zastanie nas zupełnie nieprzygotowanymi, że nie będzie komu zwiastować nowej ery życia i ująć silną dłonią ster, zdolny doprowadzić naszą nawę do portu, w którym stoją państwa kulturalne.

Już widzę, jak z gruzów samowładztwa wypełzają deńszczyki, wołając na całą gardziel: zwycięztwo! I wstręt mnie bierze na myśl, że te różnorodne płazy wołać będą: — otośmy zniszczyli fundamenty caratu. Więc runął. Należy się nam za to nagroda i uznanie rodaków. Dajcie więc, rządy w nasze wprawne dłonie.

— Czemu nie zginęłyście, robaki toczące i grzyby próchnicy, w rumowiskach caratu?! Wasza działalność rozkładowa zgubi naszą Ojczyznę, jak zgubiła naszych wrogów!

15 Marca 1915 r.

Idzie wiosna. Na jej spotkanie zrywają rzeki swe okowy lodowe i dążą rażno do mórz, rozścielają pola i łąki kobierce zieleni, drzewa budzą się ze snu przewlekłego i stroją w soczyste pączki, zwierzęta zrzucają odzież zimową i połyskują znowu skórą gładką, ptaki ciągną z południa...

O nie ciągną! Dziwnie pusto jest pod rozpostarciem niebieskiem: mniej wróbli świergoce na drze-

wach, niż zwykle, jaskółek i bocianów nie widać, nawet wrony znikły z widnokregu. Jakaś granica nie do przejścia oddziela was, ptaki wędrownie pod sklepieniem niebios, jako dla nas, ludzi—w okopach. Po przez nią brat nie dosłyszy głosu brata, syn—ojca, bo głuszy jej wycie dział i głos komendy: naprzód, na śmierć! I wy, drapieżcy, trzymacie się obu stron okopów, zwabienie wonią trupów i padliny, choć bicie się prochu.

Idzie wiosna. Ale oblicze jej jest niezwykle: nie to, jakie opiewają poeci, nie to, jakie rozaniela kochanków Kobierce zielone zbrukała krew młodzieży, zdeptała stopa najeźdźcy, zaczątki przyszłego ziarna chlebobajnego stratowały kopyta końskie i bydłęce, wyskubały ich pyski, jakgdyby potrzebne było ono tylko na dziś, a prośba o chleb powszedni na jutro miała być napewno wysłuchana.

Idzie wiosna... Ale powiew jej jest nie taki, który prze do czynu, a znużonego pracą kołysze w słodkim marzeniu. O nie! Od zachodu i południa wieje wonią trupią, jak gdyby to było nie budzenie się życia, lecz triumf śmierci. W tem przeobrażeniu przyrody szukam siebie i... nie mogę siebie odnaleźć. Gdzieżście lata, kiedy jako roślina chłonałem promienie słońca, aby ta energia mogła wylądować się twórczo, gdy zabrzmiał złoty róg swe: „musil“, „trzeba się do dzieła brać“.

A tu, chociaż „chwila osobliwa“, spełnia się tylko rozkazy władców, jakgdyby to, że jest się marnym pionkiem w biurokracji, miało zaważyć na szalch naszej sprawy. Splątały się włókna, z których mojra Kłoto wije nić życia. Może i moje włókienko jest potrzebne, aby powstała ta nić? Czasami mam wrażenie, że tak jest istotnie. Oto kilku ludzi znalazło we mnie oparcie, doznali pomocy i po-

krzepienia na duchu, inni przypomnieli o swym kraju i nawiązali z nim łączność. Kto wie, a może gdyby na mem stanowisku był kto z tych, którzy troszczą się o rangi, orderzy, dochody, to może... Gra wyobraził Majaczenie wiosenne! Trzy parki czuwają nad nicią Losu: Kloto snuje nić, Lachesis — wyznacza, Atropos — ucina. Niech nie wystawia sobie małe włókienko, że może być łącznikiem dwu końców, ciągnących się w bezgraniczną przestrzeń. Nożyce Mojry określa rozległość jego wpływów, współcześni zanucą mu „pamięć wieczną”, by jutro pogrążyć je w oceanie zapomnienia, po którego falach żagluje okręt nieśmiertelny tych tylko, których zdobi korona złota, płaszcz gronostajowy, lub przynajmniej wieniec wawrzynu... Parki! Nie odczuwam już powiewu wiosny, która przestała być dla mnie zwiastunką życia, tchnie zaś powiewem śmierci. Może ty, Atropos, trzymasz już nożyce w pogotowiu; wstrzymaj się jeszcze: nie pragnę ofiary czasu, aby przez wielkie czyny dostać się na okręt, żaglujący po falach wiecznych, lecz: „mnie się zdaje, że w tej chwili ze snu trumny nasza Polska gdzieś powstaje“.

* * *

Na jednym dyżurze miałem szereg niespodzianek. Do szpitala przyjechał nowomianowa dostojnik, ks. Turmanow, Zanim mnie zawiadomiono, był on już w poczekalni w towarzystwie adjutanta, notującego jego uwagi i wskazówki. Nie wiedząc, z kim mam do czynienia, poprzestałem na oznajmieniu, że jestem ordynatorem dyżurnym. Gość zadowolił się tą wiadomością i podał mi rękę na przywitanie. Po chwili zjawił się oficer dyżurny i wyrecytował całą formułę sakramentalną: „wasze prewoschoditelstwo...“ Dostojnik wysłuchał jej obojętnie, choć była wypowiedziana podług wszelkich zasad sztuki, i kiwnąwszy oficerowi

głową, pytał mnie o żołnierzy, siedzących w poczekalni.

— Są to przed chwilą przyjęci do szpitala,

— Pan ich oglądał?

— Zgrubsza; tu niema czasu na badanie, gdyż przybywa po kilkaset osób dziennie.

— Cóż jest temu żołnierzowi, który siedzi nie ruchomo pod ścianą?

— Ma owrzodzenie na nogach bardzo zaniedbane

— A ten z ręką obandażowaną?

— Rana postrzałowa. Dokładnie o niej nie wiem, bo opatrunku tu robić niemożna.

Książę jest zadowolony, choć nie powiedziałem ani razu: wasze sijatelstwo i nie salutuję przy każdym zapytaniu i odpowiedzi. Wchodzimy do korytarza, gdzie ustawili się szeregiem posługacze, krzycząc „zdrowja żelajem waszemu prewosch....” Książę drgnął. Cofnął się o pół kroku w tył, Jego pełna, okrągła twarz zbladła na oka mgnienie i wnet pokryła się żywym rumieńcem, niska postać wydłużyła się na chwilę. Na owację, z której raduje się każde serce generalskie, jak kania z deszczu, odparł opryskliwie: „mołczat, duraki”. — „Słuszajuś Wasz. Prew.” — ryknęli ponownie żołnierze.

— Europejski człowiek, — myślę, prowadząc księcia do jadalni. Znowu szereg zapytań, na które niezawsze umiem odpowiedzieć. Oświadczam wtedy wprost, że nie wiem, nie wywołując niezadowolenia.

— A czy chorzy są kapani przed skierowaniem na oddziały?

— O ile stan zdrowia na to pozwala. Dziś przygotowano wodę dla stu, — oświadczam, podpisawszy przed godziną zapotrzebowanie na taką ilość węgla i drzewa.

Książę chce obejrzeć łaźienkę. Na szczęście

dowiedziałem się niedawno przypadkiem, gdzie się ona znajduje. Prowadzę. Wchodzimy do sporej sali z pięcioma wannami kaflowymi, wpuszczonemi wglęb posadzki. Urządzenie jest doskonałe, ale...

— Tu kąpią się chorzy? Pan się nie boi ich przeziębic?

Nie miałem najmniejszej ochoty przekonywać gościa, że przeziębienie jest to najzwyczajniejszy przesąd, spadek po ludziach ciemnych. Bowiem piwniczne zimno, jakie powiało z łazienki, wołało głosem doniosłym: — nietylko dziś, ale w ciągu całej zimy nie otrzymał tu kąpeli ani jeden chory.

— Co się więc dzieje z opałem, przeznaczanym codzień, — pytam tego zimna.

— Gdzie jest ciepłomierz? — pyta książę.

— Przed chwilą rozbił się, — jęczy felczer, drżąc na całym ciełe.

— Ręczę, że jest tu najwyżej 6° — mówi generał. — Kiedy kąpiecie?

— Codzień wieczorem, — odpowiada felczer, — kłamstwo! Tu nie palono bardzo dawno.

W tej chwili zjawia się Bogdanow, staje przed księciem, salutuje i recytuje jednym głosem bez zająknięcia, bez oddechu, bez tonacji, jak dźwięk sztachet, po których przeciągnięto kijem: „czasowo pełniący obowiązki lekarza głównego Szp. Ujazd... radca stanu Bogdanow”.

Książę przygląda się mu ironicznie, cofnąwszy lewą nogę do tyłu, przyłożywszy prawą dłoń do... ucha i mierząc recytującego od stóp do głów, póki ten nie umilkł. Skończył, lecz rękę trzymał wciąż przy daszku. A ten obraz nie przypominał Wojskiego w kniejach, gdy: „Skończył, lecz róg trzymał. Wszystkim się zdawało, że Wojski wciąż gra jeszcze. A to echo grał!”

— Nagle postąpił książę pół kroku naprzód zro-

bił pół obrotu głową z ręką, złożoną w trąbkę przy uchu i krzyknął: — Jak?!

— Bogdanow, — odrzekł jak poprzednio właściciel pergaminowej twarzy, która była teraz blada, jak świeżo wyprawna skóra.

Ledwo się powstrzymałem, aby nie wybuchnąć śmiechem. Takiego: „jak”! nie słyszałem póki życia. A było w niem tak coś niebywałego w stosunku do urzędnika, który traktował nas wszystkich, jak jeńców, pochwyconych z bronią w rękę, że nie wiedziałem, czy komizm położenia, czy też słodkie uczucie radości i poniżenia potwora pozwoliły zapomnieć na chwilę, że jest się dla tych biurokratów plebejuszem, który niema nawet możliwości ucieczki na Górę Świętą.

— Czy chorzy są tu kąpani? — woła księżę do Bogdanowa. — Urządzenia macie doskonałe, a zastosowanie ich niewiadomo jakie? — Tu spojrzął groźnie na radcę, wciąż jeszcze salutującego, zmierzył go od stóp do głów, jak gdyby chciał powiedzieć: — cena węgla jest bardzo wysoka, spieniężyć go to kilkadziesiąt rubli dziennie. A żołnierz? Co niżnij czyn, nie zginie od brudu, bo doń przywykł.

— Rozkazuję, aby wszyscy nowi chorzy, którym lekarz na to pozwoli, byli kąpani tutaj. Pan jesteście obowiązany czuwać nad tem, a nie funkcjonariusze przygodni! — krzyknął wychodząc z łazienki.

— Słuszaj, wasze sijatielstwo, — wyszeptał aspirant na prewoschoditelstwo.

Prześliśmy do ogrodu, gdzie oczekiwał samochód księcia, który pożegnał się ze mną, a Bogdanowowi kazał wsiąść na przednie siedzenie pojazdu. Pojechali do pawilonów. Oględziny trwały godzinę. Musiały być przykre, bo Bogdanow wracał niezwykle blady. Byłem pewien, że cała odpowiedzialność spadnie na mnie. Bo tak to już jest w przyrodzie; że wody spadają ze szczytów najwyższych strumykami na

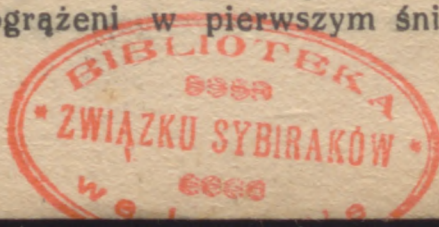
wyniosłości, które mszcząc się za niepokój, ślą całe potoki wód na grzbiety i podnóże, zaś biedne niziny i doliny zostają całkowicie zatopione przez kaskadę wspaniałą, i nieraz zasypane bryłami kamieni.

Jednak doznałem zawodu. Bogdanow nie pokazywał się przez parę dni, jakgdyby odsiadywał areszt. O wizytatorze nie mówił ani słowa, jak żak, który po sobotniej ławeczce nie zdradza ochoty do siadania, unika ludzi, oddając się w spokoju robieniu okładów na części ciała, na których wypisali mu wychowawcy rachunek. O węglu nie wspominało się, jak o postronku w domu powieszono. Odtąd zaczęliśmy sprawdzać, czy dochodzi on do miejsca przeznaczenia.

Po raz pierwszy spotkałem urzędnika rosyjskiego, który umie i chce powalić bydlę dochodów nieprawych. Wykształcenie i uczciwość czynią z tego dostojnika osobistość sympatyczną, która nie godzi się na sprowadzanie całej mądrości wojskowej do przestrzegania czczych form. Umie on poskromić urzędnika, ukrywającego za formami dbałość o dochody nieprawne. Młodzi zapaleńcy sądzą, że potrzeba rewolucji, aby zgnać czynownika. Starsi praktycy kiwają głowami, wskazując na wyniki 1906 r. Zaś zupełnie starzy uważają urzędników za władzę prawną. A że spotyka się wśród nich jednostki złe, to trudno: nawet w stanie duchownym dzieje się nie lepiej. W rezultacie obywatel zadawała się tem, że od czasu do czasu dostanie się pod sąd czynownik, który zaufał zbyt opiece boskiej nad tym stanem uprzywilejowanym.

1 kwietnia 1915

Przed kilku dniami o północy doznaliśmy silnego wstrząsu, pogrążeń w pierwszym śnie. Rozległ



się krótki huk, jak uderzenie pioruna w pobliżu. W tej samej chwili zadźwięczała kaskada wysokich tonów metalicznych. Bomba! Po kilku minutach dwa nowe wybuchy w stronie Wisły. Zaroiło się na ulicach. Bomba rzucona z samolotu, wyrwała na rogu Kruczej i Wspólnej głęboką dziurę w chodniku, wybiła szyby w domach okolicznych, pozrywała gzymsy, szyldy, poniszczyła wystawy sklepowe. Ocalała tylko apteka; skład apteczny naprzeciw ucierpiał. Może w przyszłości będą się powoływali spadkobiercy aptekarza na cudowne oszczędzenie apteki. Dodam więc dla ścisłości, że okna jej były osłonięte szczelnymi okiennicami. Dokładna analiza innych wydarzeń, nierozumiałych dla tłumu i przez to nadprzyrodzonych, odsłoniłaby w nich również jakieś.. okiennice.

Cała dzielnica jest przejęta do głębi. Dużo osób rozchorowało się po wstrząsie nocnym.

— A cóżby pani zrobiła, — pytam jedną z nerwowych pacjentek, — gdyby na Warszawę spadało po kilkadziesiąt takich pocisków dziennie?

— Uciekłabym! Na to trzeba mieć nerwy, jak postronki.

— I do bomb przyzwyczaić się można.

— O, ja się nie przyzwyczaję! Trzeba będzie stąd uciekać.

— Zostawi pani dom rodzinę, mienie, pójdzie na tułaczkę na czas niewiadomy?

— Jeszcze parę takich wstrząsów i — śmierci — dowodzi pani, nie zdradzająca ani wyglądem, ani stanem zdrowia kandydatki na nieboszczkę.

Inna pacjentka, w której mieszkaniu szyby ocalały, dowodzi: — Bóg łaskaw, że bomba spadła nie na naszej ulicy.

— Cóż mają zatem powiedzieć mieszkańcy Kruczej? Muszą to być wszyscy, z wyjątkiem aptekarza ludzie źli, grzeszni, przestępcy, godni kary?

— Zapewne, zapewne! Pan zauważył, ilu to żydów mieszka na Kruczej, ile domów jest w ich rękach. Za samośrubowanie komornego, czy nie zasłużyli, aby zapłacić od razu po parę tysięcy za szyby? A te szacherki, wyzysk, podwyższanie cen za produkty potrzeby codziennej, czy to nie woła o pomstę do nieba?

— To pani uważa Kruczą za Sodomę i Gomorę, poza którą wszystko jest dobre, nietylko już na Nowolewkach, Freta, Towarowej ale i na Miodowej, w Mokotowie?

— To jest ostrzeżenie, że inne dzielnice mogą zostać również ukarane.

— A to mnie pani uspokoiła, bo już chciałem być dumny, że z moich okien nie wypadła ani jedna szyba. A czy na Kruczej niema sprawiedliwych?

— Wszak nie wszyscy ucierpieli.

— W kiosku, który został zniszczony doszczętnie, sprzedawała pisma wdowa, która wyprowadziła swą ciężką pracę na ludzi dwoje dzieci. Wątpię, aby miała sumienie bardzo obarczone.

— Co pan mówił Sama widziałam wystawione w oknie: „Zaranie“, „Myśl Niepodległą“, „Wolne słowo“: „Kurjer Poranny“. Są ludzie, udający tylko cnotliwych, a gotowi kupczyć wszystkim, co daje dochód. Tak i ta wdowa...

Dreszcz mną wstrzasnął. A uląknęłam się nie o siebie, że nie tylko czytywał, ale nawet pisywał do tych pism na indeksie. Stało mi w pamięci, jakto przed 140 laty, gdy Polska usiłowała dźwignąć się z upadku, zdobywając w wysiłku oświatę zachodu przynajmniej dla rodów, jak to niedawno skasowani jezuita „mącili narodową kadrę“, bałamucąc ciemną szlachtę, że nowinki gotują zgubę kraju, a oświata powinna być w rękach zakonu. Czyżby wstecznicstwo miało być cechą Polski po wsze czasy od upadku

humanizmu? Czyżby nowa era, przed którą dziś stajemy, miała być splugawiona, jak w owym okresie, który stworzył Sejm Czteroletni i Konstytucję 3 Maja?

Polska może się odrodzić tylko na zasadach kultury współczesnej, a nie na wzorach ustroju średnio-wiecznego. Gdyby wsteczństwo miało być jej narzucone, byłoby to nie odrodzenie, lecz ostatnie wynurzenie się tonącego, po którym jest on już tylko... topielcem.

Nazajutrz po bombie przyszedł nowy wstrząs: wiadomość z Genewy, że Leonka i Zygmus nie żyją. Coś nieprawdopodobnego! Zygmus zaciągnął się do legionów Piłsudskiego i poległ w bitwie pod Krzywopłotami. Zaś jego matka po paru miesiącach rozpaczy, targnęła się dwa razy na życie, po raz drugi z wynikiem śmiertelnym...

Okropność! Nie mieści mi się w głowie, aby zginął ostatni potomek rodziny, która przeżyła dziwne koleje. Matka Leonji, Paulina, urodziwa mieszcanka, wyszła za bogatego dziedzica H.; pierworodny jej brat, Władysław ożenił się z osobą, z którą prędko się rozstał, doczekawszy się dwu synów; drugi brat, Karol, spędziwszy wesoło 44 lata, ożenił się z młodą żydówką i doczekał się syna, chorego na padaczkę; trzeci brat, Hipolit, przemarnował spadek i umarł w zakładzie dobroczynnym; najmłodsza siostra wyszła za człowieka, który nie mógł zadowolić jej zamilowań do zabaw, przeto pożycie ich było nieszczęśliwe.

Pani Paulina doczekała się 12 dzieci, z których pozostało przy życiu czworo, gdy po stracie majątku przeniosła się do Warszawy. Najstarsza, Leonja, utrzymywała ciężką pracą całą rodzinę. Jeden syn po przebrnięciu dwu klas poszedł do kowala, potem do wojska, straży ogniowej, wreszcie na okręt; dostawszy się do Ameryki wstąpił do wojska podczas wojny z Burami i zginął bez wieści. Drugi syn przebrnął parę

klas i potem, jako pisarczyk w instytucji społecznej wdał się w intrygi na jej szkodę. Dalej był na utrzymaniu u baletnicy, okradał rodziców, ożenił się i pozostawiwszy żonę z trojgiem obarczonych dzieci, uciekł do Ameryki, aby uniknąć kary za nadużycia. Trzeci syn, upośledzony cielesnie i umysłowo, wyzwoliwszy się na czeladnika ślusarskiego, ożenił się ku zmartwieniu rodziców z włościanką, z którą miał dwoje dzieci. Podczas rewolucji został aresztowany, jako delegat robotników, a po wypuszczeniu z więzienia wyjechał do Ameryki, nie mogąc znaleźć pracy w kraju.

Losy Leonji potoczyły się niezwykłą koleją. Jej brat cioteczny ożenił się z córką podoficera moskala. Małżeństwo było nieszczęśliwe i rozstało się prędko, doczekawszy się syna. Leonja była jedyną osobą w rodzinie, która otoczyła kuzyna siostrzaną opieką i serdecznością podczas ciężkiej rozterki życiowej. Uczucia siostrzane przekształciły się na daleko posunięte zbliżenie, którego owocem był syn, Zygmunt. Po przeprowadzeniu rozvodu z pierwszą żoną i przeżyciu ciężkiej udręki, nowy związek został legalizowany w Szwajcarii, gdzie Zygmunt ukończył szkołę średnią a potem wstąpił na politechnikę. W tym czasie umarł jego ojciec. Stroskana Leonja przeniosła się do Genewy, aby być przy synu, jedynej swej pociesze.

I oto ostatni potomek rodziny H., którego życie mogłoby usprawiedliwić bezcelowe istnienie tylu jej członków, ginie dziś na polu bitwy... Gdzie jest logika wydarzeń? Co za marnotrawstwo istnień ludzkich! Jaka była myśl stworzenia tylu wykolejeńców, przeżycia tylu cierpień, walk, wstrząsów, krzywd, jeżeli odszedł Zygmunt? Odpowiedcie, że księgi tej rodziny są jeszcze niezamknięte. Słusznie. Ale z liczby tych, którzy mogliby odegrać rolę dodatnią w społeczeństwie, wykreślam szereg osobników. Przedewszystkiem — założycieli rodziny H., dalej conajmniej 10-ro ich

dzieci, dalej dzieci ukochanego syna, czyli ogółem 16 osób. Leonja działała przynajmniej coś w stosunkach towarzyskich, ale Zygmunt zdążył tylko zubożyć społeczeństwo na swe wykształcenie. Jest to zbyt wielki podatek, aby jego równoważnikiem był jeden poryw młodzieńczy, uwieczony odrazu śmiercią. A więc 18 zatracieńców! Ale na tem nie koniec: pierwsza żona ojca Zygmunta i jego brat przyrodni są to również wykolejeńcy, żywiący pogardę dla Polaka, który ich porzucił. Razem więc mamy przynajmniej 20 jednostek, których istnienie było zbędne ze stanowiska celowości.

Nie chcę przez to powiedzieć, aby rodzina H. stanowiła coś wyjątkowego. Sądzę nawet, że odpowiedni przegląd wielu innych rodzin wskazałby, iż ich istnienie jest niezrozumiałe ze stanowiska pożytku społecznego. A jednak! Wszak i kura znosi jaja nie na jajecznicę, lecz gwoli utrwalenia swego gatunku. I choć pisklęta powstają z nielicznych jaj, jednak gatunek trwa, rozwija się, doskonali. Krowa ryczy przez parę dni po utracie cielęcia i pozwala zabierać swe mleko, jednak z czasem godzi się ze swą krzywdą i z poglądem człowieka, że jest stworzona do jego użytku. Podobnie wielu Polaków przyzwyczało się do 1¹/₂ wiekowej niewoli i godzą się z obcym władcą, nie przypuszczając, aby można było kiedy wyostać się z pod jego przemocy.

Śmierć Leonji i Zygmunta nie dają mi spokoju. Ileż przeżyli wstrząsów, cierpień, niedoli! I gdy zastanawiam się nad celem istnienia nietylko ich dwojga, lecz i całej rodziny H., poucza mnie podstarzała panna: — Jest to kara za zerwanie pierwszego małżeństwa, bo w obliczu Boga niema rozwodu.

Bynajmniej! Katolicyzm nie uznaje związków małżeńskich z inowiercami, więc pierwszy ślub z prawosławną był nieważny.

— Zygmunt był dzieckiem nieprawem, — dowodzi stara panna, — a jego rodzice byli rodzeństwem cioteczkiem. Są to związki kazirodcze, które nie mogą pozostać bezkarne...

— Gdyby nawet był dzieckiem nieślubnym, nie mogło to piętnować jego, chyba jego rodziców. A że dzieci nieślubne umierają przeważnie w pierwszych dniach życia, jest to następstwo zaniedbania zakazu poszukiwania ojcostwa, bynajmniej zaś nie kara za zaniedbanie formalności cywilnych. W danym razie niema to zastosowania, bo rodzice byli oddani Zygmuntovi i dochowali go do pełnoletności. A co się tyczy powinowactwa rodziców, jest ono niewątpliwie niepożądane ze względów dziedziczności, lecz właśnie w tym przypadku teoria była w niezgodzie z praktyką, ponieważ Zygmunt był jednostką dodatnią zarówno pod względem cielesnym, jak umysłowym i moralnym.

— Ślepy zrozumie, że jest to typowy przykład kary za podeptanie najświętszych praw, — dowodzi stara panna. — A że miłosierdzie jest wielkie, więc ojciec umarł wcześniej i nie widział smutnego końca syna i konkubiny. Ona, jako najwinniejsza, musiała ich przeżyć.

Tak patrzy na sprawę osoba, która była przed kilku laty trzecią kandydatką do związku małżeńskiego ze zmarłym ojcem Zygmunta. Dla takich kobiet nie istnieje właściwie sprawa Polski. Idea mesjanizmu góruje nad zrozumieniem, że były ważne czynniki, które musiały sprowadzić upadek Rzeczypospolitej, że nie był on jakąś ofiarą dla zbawienie grzesznych narodów. A wśród tych przyczyn była nietylko waśń wewnętrzna, samowola magnatów i szlachty, nietylko pogoń za władzą, zaszczytami, posiadaniem oraz lekceważenie całości państwa, co zaznaczyło się najjaskrawiej w Konfederacji Targowickiej, ale był rów-

nież kierunek ogłupianie szlachty, rozpajania jej i wyzyskiwania na korzyść zakonów, które skupiły w swych rękach olbrzymie majątności i opłatały całe życie państwowe i społeczne. Te czynniki upadku żyją jeszcze dziś wśród nas. Są wstecznictwem, pielęgnowaniem starannie pod mianem świętej przeszłości, samolubstwem stanowem, żądnem przywilejów, gotowem wydać rodaka, byle samemu zyskać lepsze warunki. Z tych czynników upadku musi się Polska otrząsnąć jeśli ma zmartwychwstać...

I oto w tregedji Leonji i Zygmunta dostrzegam myśl przewodnią. Nie sprowadza się ona do parafjańskiego poglądu nagrody i kary. Zygmunt poległ, bo rodzice wpoili mu ukochanie Ojczyzny. Nie ukrywał się na podobieństwo targowiczana, jako deńszczyk prewoschoditelstwa, lecz zaciągnął się do Legjonów Piłsudskiego, chociaż mógł przesiedzieć spokojnie całą wojnę w Szwajcarji. Czy działał co dla sprawy ojczystej? Czy te kilkadziesiąt kul, które wypuścił w szeregi rosyjskie, były równoważnikiem jego życia? Bynajmniej! Lecz sama obecność w Legjonach młodego studenta była cementem, spajającym różnorodne żywioły Drużyn Strzeleckich i Strzelców, ucząc ich, że służą wspólnej sprawie. Gdyby nie było takich Zygmunatów, nie powstał by początek przyszłych wojsk polskich. Cześć Ci, dobry, ofiarny Polaku! Nie doczekałeś jaśniejszych dni. Aleś przyczynił się do założenia trwałej podwaliny dla Ojczyzny, która powstać musi, jeśli będzie miała takich synów, jak Ty! Oto i skała kredowa, o którą rozbija się fala morska, była kiedyś tłumem maleńkich ślimaków. Zginęły bezimiennie, nie wiedząc nawet, za jaką sprawę. Dziś morze pieni się gniewne, że zagroziły mu drogę. — Zygmunciel Ty i Twoi ofiarni Towarzysze to ta przyszła opoka Ojczyzny!

Od pewnego czasu zaszła jakaś dziwna zmiana w stosunku Bogdanowa do mnie. Oto przed paru tygodniami wypowiada mi gorące pochwały i defiluje ze mną poufale pod rękę wobec chorych.

— Cieszę się, że wszedł pan na drogę właściwą.

— Miło mi słyżeć słowa uznania, wszakże nie wiem, jak na nie zasłużyłem, — odrzekę, zaniepokojony prawdziwie, czym nie dopuścił się jakiego podłego czynu.

— Wypisał pan trzech chorych wbrew ich życzeniu.

— Istotnie... Nie można było inaczej. Zresztą nie poraz pierwszy.

— Z nimi nie można inaczej: to są nie oficerzy, ale świnie, podleczy... Gnębić, dusić...

— Tego nie umiem. Jednak niech pan sam oceni: jeden, młodzian 20-o letni, ucieka potajemnie ze szpitala i wraca nad ranem pijany. Drugi pop, którego należało przenieść do oddziału wenerycznego, występuje ze skargą, że go nie chce ewakuować. Trzeci ubliża mi, mówiąc, że nie poznałem się na jego chorobie i podburza przeciw mnie innych chorych.

— Zupełnie słusznie. Pan nie powinien się z nimi ceckać. Zrozumiał pan to nareszcie. To też posyłam pana dziś w delikatnej sprawie do d-ra Kisielowa, który nie chce prosić o dymisję, choć ciągle choruje.

Misja była istotnie nader przykra. Uwolnić się od nie było możliwości. Zrobiliśmy najście z Łoktiewem i Rachmanowem na dom 64-o letniego kolegi, spisaliśmy protokół oględzin, stwierdzający niedołęstwo starcze. Ponieważ podanie o dymisję wypadło ko-

rzystniej, niż jej otrzymania, przeto Kisielow został zmuszony do tego kroku.

— Co teraz począć? — biada wymalowana żona radcy. — Gdzie się podziac? Mąż służył blisko 40 lat, stracił zdrowie, nic nie oszczędził. I teraz żyć z marnej emerytury! Podły Bogdanow! Cóż my mu zawadzamy!

Było mi ich żal, ale pomoc nie mogłem. Moi współpracownicy notowali wszystkie objawy starsze, jak kaprale, czuwający, aby skazaniec dostał odpowiednią liczbę kijów i aby razy były silne.

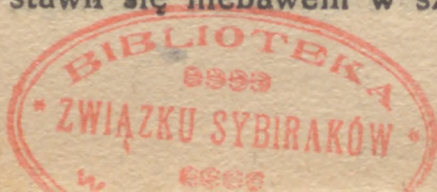
Niebawem okazało się, że chodziło o zrobienie miejsca dla Eryksa.

Jako wyraz wdzięczności za utracenie Kisielowa, zostałem niebawem delegowany do innego kolegi, w towarzystwie Łoktiewa. Pojechaliśmy dorożką na ulicę Bielańską. Pozostawiłem radcy stanu pierwszeństwo do płacenia za przejazd. Szukał długo woreczka, potem grzebał się w nim w nadziei, że go zdystansuje. Ja zaś pozostawiłem mu przywileje stanowiska. Wysupłał wreszcie opłatę podług taksy, warknął pod nosem i poszedł na poszukiwanie domniemanego przestępcy. Ale ten wyprowadził się niedawno na koniec Marszałkowskiej. A więc druga dorożka. Tym razem radca nie zechciał już sięgnąć do woreczka i oświadczył:

— Teraz niech pan płaci.

— Służę, — odrzekłem, wspominając, jak razu jednego dopytywał się Łoktiew w jadalni, ile kosztuje bułka z kawiolem, i usłyszawszy, że 20 groszy, długo się jej przyglądał, łykając ślinkę, wreszcie... odszedł z miną bohatera, który odpędził od siebie wielką pokusę.

Zastaliśmy kolegę P. w domu. Łoktiew zawiadomił go o naszej misji, która skończyła się pomyślnie, bo chory stawił się niebawem w szpitalu.



Bogdanow wszedł w okres pochlebiania mnie i chwaleńia. Niedawno zaszczycił mnie znowu w obliczu kolegów wzięciem pod pachę i pochwałą, że nabrałem już wyglądu wojskowego.

— Przyzwyczaiłem się do „szaszki“, — odpowiem, — która potrzebna jest lekarzowi chyba do świdrowania dziury w mundurze. A ukłony studjowałem specjalnie, aby dowieść, że staram się osiąść tajniki medycyny wojskowej.

— Posiada ona swe tajemnice. A że pan trzyma się prosto dowodzi, że jesteś już wtajemniczony.

— Jak puste kłosa z podniesioną głową stoją dziś... mówi Słowacki, — myślę przy tych pochwałach. — Jednak obawiam się teraz względności Bogdanowa bardziej, niż poprzednio jego dokuczań. Taki człowiek nie ocenia prawości i uczciwości innych, bo uważa je za naiwność i przesadę. Przeczuję więc, że B. chce mnie zaatakować z innej strony, jak się mówi urzędowo: „świniu podstawić“.

15 Maj 1915.

Zaledwo parę tygodni po komisji Kisielow zakończył żywot. Podobno nie mógł pogodzić się z myślą, że musi wyprowadzić się ze szpitala. Podczas dyżuru wezwał mnie Bogdanow do udziału w spisie inwentarza po zmarłym. I takie czynności wchodzą w zakres obowiązków lekarza!

— Jak pani zdecydowała z pogrzebem? — pyta Szumski wdowę. — Na Woli, czy do Rosji?

— Lepiej byłoby do Rosji, bo tu nie mamy rodziny. Ale koszt duży.

— Wagon można będzie dostać darmo. Szpital może dać pewną pomoc...

— Ale trumna, przybory, popi, — wylicza wdowa.

— Czy nie obojętne dla zmarłego, gdzie go po-

chować, — wtrącam. — A gdzie pani zamierza mieszkać?

— Jeszcze nie wiem. Ale rodzinę trzeba by sprowadzić na pogrzeb.

Przedstawiciel kantoru pogrzebowego oblicza koszty przewozu na 500 rb. Najskromniejsza trumna metalowa kosztuje 120 rb., gdy dawniej 25 rb.

— Brak blachy cynkowej, — tłumaczy przedsiębiorca. — Kto ma dziurawy dach cynkowy, może go pokryć blachą cynkowaną, pomalować olejno i jeszcze dostać dopłatę. Niema z czego robić trumien, a zapotrzebowanie jest, jak nigdy.

Po długiej naradzie postanowiono na mój wniosek pochować zmarłego na Woli w trumnie drewnianej. Przystąpiliśmy teraz do spisu inwentarza. Była to przykra czynność. Trochę gratów, półka z kilku książkami lekarskimi, które straciły wszelką wartość, mała maszynka do faradyzacji, poważnie spracowana, dwie książeczki oszczędności, dające pozostałość kopiejkową po podniesieniu niedawno kilkudziesięciu rubli... Oto i wszystko! Pustka, ubóstwo, brak wszelkich zasobów... Nie do wiary: wszak ten radca stanu otrzymywał mieszkanie i około 4,000 rb. poborów, a może dorabiał jeszcze poza tem.

— Może posiadacie państwo srebra stołowe? — pyta Szumski.

— Niel Trochę platerów.

— Może zostało co gotówki?

Szukają portmonetki w szufladzie. Zawiera kilkanaście rubli papierkami i srebrny rubel jubileuszowy. Poza tem leży skromny zegarek, parę drobnostek i... koniec! Aż litość bierze i drży ręka, gdy mam podpisać protokół. Brałem udział przy spisie inwentarza po emerytce, która otrzymywała 300 rb. rocznie. A były tam srebra rodzinne, klejnoty, meble mahoniowe, pamiątki, obrazy, masa drobiazgów mało-

wartościowych, które zbierają się jakoś same. Nie można powiedzieć, aby dom Kisielowa nasuwał wspomnienia o Sokratesie, szczącym się tem, że chodzi w tym samym chitonie w lecie, co i w zimie, i głoszącym: „obchodzić się bez wszystkiego mogą tylko bogowie; poprzestać na małym mogą istoty blizkie bóstwa. Bóstwo jest doskonałością, a to, co blizkie bóstwa, blizkie jest doskonałości”.

— Trzebaby zebrać jaką składkę na nich, -- mówię do Szumskiego, gdy znaleźliśmy się w parku. Popatrzył na mnie ironicznie i pyta:

— Na co?

— Nim dostaną emeryturę, umrą z głodu. Czy zmarły był pijak, karciarz, rozpustnik, czy miał jakie obowiązki uboczne? Wprost nie pojmuję tego stanu rzeczy.

— A to się panu dziwię, — uśmiecha się pułkownik. — Nie spostrzegł pan nic niezwykłego?

— Wszystko, com tu widział, jest niezwykle, zaczawszy od wdowy, która jest za młoda i zbyt...

— Malowana. Na suknie, kapelusze, zabawy, karty nie wystarczało pensji. A córeczkę pan widział? Też osobliwość. Mamusia obraziła się na mnie, że przeszkadzałem panience romansować z oficerami... z oddziału wenerycznego.

— Osobliwe zamięłowanie. Wprawdzie wśród oficerów choroby te są pospolite...

— Musiałem urządzać po nocach na nią obławy. Ot w parku gdzieś na ławeczce, pod płotem, lub krzakiem...

— A cóż na to ojciec? Lekarz, psychiatra...

— Pantofell Żona zaprzeczy wszystkiemu, w dodatku naurąga: — Cóż ty, głupcze jeden, zebrałeś posag dla dziewczyny? Czemu jej przeszkadzasz do szczęścia? Gdzież ma szukać kandydatów? Młodzież

u nas nie bywa. A że ci są chorzy, to się wyleczą i może się który ożeni.

Długo rozwodził się Szumski nad kłopotami, jakich nastroczała mu ta dziewczyna. Nie wiem, czy zarzuty były słuszne, czy kuztosz cnoty, sam stary syfilityk, nie miał jakich porachunków osobistych. Jednak zrozumiałem, że w takich warunkach trudno było myśleć o jakim ładzie w domu, o ognisku rodzinnem.

Pogrzeb był okazały: nabożeństwo, katafalk, wieńce, kwiaty, popi, orszak, wszystko podług zasad sztuki. Śpiewano „pamięć wiekiwą” i wiele innych rzeczy podniosłych. Wygłaszano mowy, że ubył człowiek zasłużony, nie do zastąpienia. Rozkaz szpitalny wzywał wszystkich pracowników, wolnych od zajęć, na te obrzędy. Sam Bogdanow robił wrażenie ciężko dotkniętego zgonem kolegi. Oto kamień, który padł na głód wód, poszedł na dno, a kręgi rozlały się tak szeroko, że nie pozostało z nich śladu.

Niebawem Erykson został mianowany napełniającego obowiązki zarządzającego oddziałem psychiatrycznym i dostał polecenie przeniesienia się do mieszkania zmarłego. Wdowę z dziećmi zmuszono do wyniesienia się coperdziej. Przy wypłacie pensji wytrącono nam po 2 i pół rb. za wieńce.

— Ile kosztował? — pytam kasjera Jegorowa.

— Prócz niego jeszcze inne wydatki pogrzebowe. Pan uważa, że za dużo?

— Uważam, że składka winna być albo dowolna na określony cel, albo opodatkowanie powinno być proporcjonalne do poborów. Dziwne jest, że we wszystkich innych stosunkach jesteśmy traktowani, jako najniżej postawieni w hierarchji lekarskiej, a gdy chodzi o płacenie, zrownano nas z tak wysoko postawioną osobą, jak czasowo pełniący obowiązki lekarza głównego.

— Ma pan słusność. Ale taki był rozkaz.

— Nie uchylam się od tej opłaty, jednak uważam ją za niewłaściwą.

— Nie widział pan większych? — zaśmiał się kasjer.

— Racja! Ale to tylko dowodzi, że cały system ma podstawy jednolite. Gdy chodzi o Polaka, miarka jest inna. Wszak niedawno w pogrzebie kolegi Łoguckiego szpital Ujazdowski nie brał udziału, a wieniec sprawili wyłącznie Polacy, chociaż zmarły kolega był ofiarą szpitala.

— To nie ze względów narodowościowych, lecz dlatego, że dr. Ł. był lekarzem zapasu, a nie służby czynnej.

— Dla czego więc my, lekarze rezerwy, płacimy dziś składkę przymusową na lekarza zawodowego?

— Może to niesłuszne, ale taki „przykaz“.

— Dlatego to my, lekarze cywilni, będziemy się czuli wśród was zawsze obcymi, choć byśmy mieli pozostawać z wami całe lata.

— E, użyjemy się! My panów nawet bardzo cenimy, jako doświadczonych lekarzy.

— I pachciarz ceni dojną krowę. Ale niech zaniecha dawać mleka! — nóż pod gardło!

— Wszak nie zarznęliśmy nikogo z panów?

— A Łoguckiego? Jako lekarz cywilny byłby pracował jeszcze wiele lat. Zamordowaliście go: dyżurami, raportami, komisjami i całą machiną biurokratyczną, jak mordujecie nas wszystkich. A gdy zginął na stanowisku, nie zdobyliście się nietylko na pochówek, na emeryturę dla wdowy, ale nawet konwencjonalny wieniec na trumnę.

— Zmarły nie przesłużył nawet roku, nie miał więc praw do emerytury.

— O znam to dobrze! W „Prywiślanju“ występuje emeryturę Polak po 35 latach, a Rosjanin po 20.

Można więc zarzucić zmarłemu, że nie wstrzymał się ze śmiercią do przepisanego czasokresu.

— Ulgi dla Rosjan w tutejszym kraju zmierzają do ściągnięcia tu najlepszych sił, aby podnieść kulturę najcenniejszej prowincji.

— I pan twierdzi, że napływają tu rzeczywiście ludzie wartościowi, a ziemie polskie mają niższą kulturę, niż Rosja?

— Iluż to profesorów jest w tutejszym uniwersytecie, ilu dyrektorów szkół, generałów, administratorów...

— I wszystko: uczeni, dzielni, mądrzy, a nade wszystko uczciwi i praworzadni. Taki prof. Zieniec, który gwałcił w instytucie dla głuchoniemych kalekie wychowanki. Ziłow, profesor fizyki, o której nie miał pojęcia, Czausow, zakuty anatom, Tauber, blagujący chirurg, Kowalewski — nieuk higienista, Kotelewski i szereg innych, których przygotowanie było dostateczne do szkoły parafjalnej, tacy, jak Troicki, Mentin o poziomie umysłowym felczerów, generał żandarmerji Uthoft, komisarze, naczelnicy powiatów hańbili tylko Rosję.

— Byli jednak i ludzie porządni, zasłużeni.

— Nie znalazłem takich. Człowiek porządny siedzi u siebie, nie szuka kariery w ciemieniu innych. Nasłano nam same szumowiny, nadając im różne przywileje.

— Ale to się zmieni,—zapewnia kasjer.

— Zmienić się musi system. Ale na to potrzeba czegoś więcej, niż odezwy ks. Mikołaja.

4 Czerwca 1915 r.

Jesteśmy w przededniu ważnych wydarzeń. Od paru miesięcy trwa natarcie Niemców i Austriaków. Przed czterema tygodniami zajęto Libawę, Rosjanie cof-

nęli się od Karpat za San, a wczoraj opuścili już Przemyśl, choć niedawno urządzano nabożeństwa dziękczynne za jego zdobycie. Ma to być następstwo braku pocisków i naboju. A że ich prędko nie przybędzie, więc niemożna przewidzieć, jak daleko wypadnie się cofać. Wygląda, że będziemy okrążeni całkowicie na linii Buga. Mówi się o prostowaniu frontu na linii Modlina i Dębina. Kto wie jednak, czy to prostowanie zatrzyma się na Osowcu, Brześciu, Kownie, poza którymi niema już twierdz. A gdyby nawet były, cóż nam na nich zależy? Zamiast zapowiedzianego zjednoczenia ziem polskich będzie nowy ich podział.

Spółeczeństwo nasze jest rozgoryczone. W Galicji po jej zajęciu zaczęto starą politykę szerzenia prawosławia, zamiast usposobić dla siebie przychylnie ludność miejscową. Ten nietakt zraził Polaków i pobudził orientację austrofilską. Skutkiem tego były nowe aresztowania. Między innymi dotknął ten los całą redakcję „Zarania”. Podobno postarali się o to jej zacięci wrogowie, dla których każdy środek zduszenia ruchu ludowego jest godziwy.

Ziemiańskie w okolicach zagrożonych otrzymali rozkaz niszczenia zbiorów i zasiewów, za które mają dostać narazie $\frac{1}{4}$ wartości. Wielu obywateli i włościan uchyla się od wykonywania tego rozkazu. Wyścążają ich kozacy. Spis i ocena zbiorów połączona jest z takimi formalnościami, że odszkodowania otrzymać niemożna. Władze chcą zostawić wrogowi gołą ziemię, nie myśląc o ludności pozostałej. Masa mieszkańców ucieka do Warszawy. Wiele mieszkań orpóźnionych znajduje teraz kandydatów, więc ceny zaczęły się znowu podnosić. Na ulicach widać setki wozów drabiniastych, napełnionych sprzętami i pościelą. Przez most pędzą bydło i konte na Pragę. Sztuki, przeznaczone na rzeź, wyglądają tak okropnie,

że na ich widok można stać się przekonanym jaro-
szem.

Uciekinierzy, znalazłszy w Warszawie dach nad
głową, uważają się za uratowanych. Ale po paru
dniach przekonają się, że można tu umrzeć z głodu,
więc czynią sobie wyrzuty, że opuścili swą siedzibę.
A stali mieszkańcy Warszawy czują się tu niedość
bezpieczni i uciekają z gotówką i kosztownościami
za Bug w nadziei, że powrócą po wzięciu Warszawy,
bo wtedy wojna musi się odrazu skończyć. Na tej
wędrówce robią rozmaici spekulanci dobre interesy,
skupując za byle co: sprzęty, fortepiany, biblioteki,
odzież i wszystko, co nastrocza trudności przewozowe.

Noszę się z myślą zabezpieczenia mieszkania,
bowiem wypadnie niezadługo wyjechać. Narazie umiesz-
czam rzeczy cenniejsze u rodziny. Niemcy rekwirują
miedź. Zwracam się więc do władz z propozycją na-
bycia naszych statków miedzianych, ważących około
trzech pudów. Odsyłają mnie od jednego urzędu do
innego, wreszcie proponują, bym ją... sprzedał żydom,
choć handel miedzią jest zabroniony.

— Jakto? Miedzi wam brak na potrzeby wojen-
ne i chcecie, aby dostała się Niemcom?

— Mamy jej dość. Zresztą ewakuujemy fabryki,
gdzie jest jej dużo.

Zwracam się do urzędów wojskowych z oświad-
czeniem, że mam na przechowaniu kilka karabinów
niemieckich i gotów jestem oddać je do arsenału.
I tu spotyka mnie zawód. Są to objawy niepokojące:
nietylko ludność, lecz i władze potraciły głowy i prze-
jęte są jedynie sprawą własnego bezpieczeństwa.

To samo dotyczy szpitala Ujazdowskiego. Po
okresie gwałtownego wyprawiania na front zdrowieją-
cych wojskowych nastął okres szybkiego ewakuowa-
nia do Rosji wszystkich, leczących się w szpitalach.
Bogdanow zabiega, aby szpital został ewakuowany jak

najprędzej, bo nie może pracować dość sprawnie w warunkach obecnych. Coby to było, gdybyśmy dostali się wszyscy do niewoli? Może byłoby ciężko. Ale zato z jaką rozkoszą patrzyłoby się na pracę przy chorych naszych dotychczasowych władców! Jak by to się wyrobiły stosunki koleżeństwa, wzajemność, wspólnota! Wprawdzie Bogdanow, który podług siostry Klaudji umie mówić tylko: „po ruski i po telefonu“, miałby dużo trudności z niemczyzną. Ale Rachmonów przychodziłby mu napewną z pomocą. Gorzej byłoby z medycyną, bo Niemcy wymagają od lekarza nieco więcej, niż zalecania: „kastorki“, „salicyłki“, a nasz bohater wyszedł z wprawy, jeżeli ją kiedykolwiek posiadał. Najgorzej byłoby z rangami. Wszystkichby zrównano. Wprawdzie paru Polaków zdążyło już wyrobić sobie przez stosunki awans aż do radców kolegjalnych na podstawie stanowisk w szpitalnictwie, jednak to wpłynęło tylko na podwyższenie ich pensyj, a nie na traktowanie przez zwierzchność. Mamy nawet wśród siebie jednego radcę stanu po 50 roku życia, którego Bogdanow szykanuje i wkłada nań obowiązki, jak na młodzika, choć 35-cio letni Rachmanow jest zwolniony nawet od dyżurów. Mógłbym również zażądać sprostowania mych papierów, bo przysługuje mi za 22-letnią pracę szpitalną i na stanowisku lekarza głównego Zakł. starców i kalek ranga radcy stanu. Nie chcę jednak żadnych przywilejów od moskali. Niech nie mają podstawy mówić, że mi się im wysługiwałem lub zasługiwałem.

Zbliża się chwila przełomowa: rządy rosyjskie w Polsce mają się ku końcowi. Były one ciężkie, chciałem powiedzieć — tyrańskie, lecz właściwiej będzie je nazwać kozackimi. Ta nawała ma odejść i zabrać nas z sobą, oderwać od ziemi, z którą łączy nas urodzenie, wychowanie, wspomnienia, związki rodzinne i towarzyskie. Jesteśmy członkami armji,

więc mamy rozkaz odéjść z nią, nie bacząc na nici, które nas wiążą z Ojczyzną. Pocieszamy się, że wrócimy prędko. Bo czyż po zagarnięciu Królestwa Polskiego będzie racja prowadzić dalej wojnę? Chyba Wilhelm II nie pozazdrości laurów Napoleonowi i nie ruszy na Moskwę?

1 Lipiec 1915 r.

Po długich zapowiedziach i wahaniach wypowiedziały Włochy wojnę Austrii w końcu Maja. Politycy pokładali wielką nadzieję na tem osaczeniu wrogów jeszcze z jednej strony. Jednak poprawy położenia strategicznego jak dotąd niewiadać. Owszem powodzenie przeciwników jest coraz większe i coraz więcej pisze się i mówi o „wyrównaniu i skróceniu frontu, o cofaniu się na zawczasu przygotowane pozycje“.

Niemcy zaczęli poraz pierwszy stosować gazy trujące. Straszne jest ich działanie: po kilku wdechach następuje śmierć lub ciężka choroba. Mam pod opieką sporo zatrutych. Nawet po kilku tygodniach występują u nich krwotoki płucne, skrzepy, ostre obrzęki, niedomoga serca. Podobno cała okolica, zatruta gazami, ulega zniszczeniu: roślinność wysycha, zwierzęta zdychają, tkaniny kruszeją, kruszce śniedzieją. W skład gazów mają wchodzić chlor i brom. Jako zabezpieczenie zaczęto stosować opaski z gazy, nasycone podsiarkanem sodu. Taka opaska może sama zadusić, bo zasłania szczelnie nos i usta. Zarekwirowano wszystek podsiarkan, znaleziony w składach, a cena jego podniosła się odrazu z 2 rb. za pud do kilkunastu. Fotografja i rentgenologia musiały przerwać swe czynności, pozbawione odczynnika, sporządzanego w Niemczech w fabrykach, a nie wytworzonego zupełnie w Rosji.

Panuje powszechne oburzenie na Niemców, któ-

rzy zatruwają ludność i wojsko, zamiast zabijać je bronią palną i sieczną. Nie wiem, czy słuszne jest mianowanie tego barbarzyństwem. Podczas rozbiorów Polski korzystano z tego, że nie posiadaliśmy wojska regularnego i dobrej artylerji. Każdego podboju dokonywało się w znacznej mierze dzięki doskonalszemu orężowi. Za owych czasów, kiedy podsuwano tarany pod mury miasta, wylewali obrońcy ukrop i smołę wrzącą na głowy oblegających, a oparzeni uważali taki sposób obrony za dziki. I rzucanie bomb z samolotów, robienie na nich wywiadów jest również potępiane przez tych, którzy nie posiadają takiego oręża walki. Zapewne wszelka walka orężna, a nawet niektóre jej przejawy przemocy fizycznej i intelektualnej mają w sobie pierwiastek barbarzyństwa, nawet dzikości. Jednak dopóki są stosowane bezkarnie przez państwa, ulegają doskonaleniu się i rozwojowi w zależności od kultury kraju. Od konia trojańskiego do samolotu przeszła sztuka rycerska epoki ewolucji. Zwyciężał ten, kto wymyślił coś nowego własnym mózgiem. Te pomysły zostały zaliczone do rzędu tajemnic wojskowych, których nawet sam wynalazca nie ma prawa sprzedać obcemu państwu. Można więc najwyżej stwierdzić, że jedne państwa rozwijały się samodzielnie i w kierunku militarnym, a inne zaufały zbyt wartości pieniądza, za który podług nich można kupić wszystko. Gdybyśmy rozumowali inaczej, to zwykła pluskwa mogłaby nam zarzucić barbarzyństwo, że stosujemy proszek perski, gdy dawniej walczono z nią tylko przy pomocy... pantofla.

Wojska rosyjskie opuściły przed tygodniem Lwów. Front jest przełamany. Nie ulega wątpliwości, że ziemia Lubelska, Siedlecka i Radomska zostaną niebawem zajęte przez Austriaków. W tym krytycznym momencie dostaje dymisję minister wojny, Suchomlinow, na którego spada odpowiedzialność za

wszystkie niepowodzenia. Jakby dla kontrastu na miejsce Suchomlinowa wyznaczono Poliwanowa: niech poleje to, co tamten suszył.

Przy odstępowaniu moskale niszczą miasta, wsie, osady. Z Żyrardowa miały pozostać tylko rumowiska. Jeden z oficerów zachwycał się:—Co za wspaniały widok, gdy wielki komin fabryczny podnosi się pionowo do góry, potem opada i kruszy się na miazgę, jakgdyby rozpuszczał się w ziemi. Po chwili pozostaje z niego tylko kupa gliny. Z gmachami—trudniej; nigdy nie można zburzyć doszczętnie.

— Zachwyca się pan, jak Neron, patrzący na pożar Rzymu.

— To musiał być piękny obraz, niezwykły, na owe czasy.

— Zapewne. Nieznano jeszcze dynamitu odpowiem.

Neron w niebie, czy piekle musi się uważać za pokrzywdzonego, że rodzice pospieszyli się z wydaniem go przedwcześnie na świat. Ale za to twórcy wojny współczesnej nie mogą się pochwalić, aby przewyższyli w swych upodobaniach Kaligulę.

Instytucje rządowe wynoszą się do Rosji nadobrze. Ludność męzka jest powoływana do szeregów, lub wysiedlana na wschód. Zarządzono nowy pobór lekarzy. Kilku przesunęło się przez mój oddział. Są to przeważnie moi rówieśnicy. Każdy ma niejakię dane, aby się uwolnić, bo około 50 roku życia nie spotyka się ludzi zupełnie zdrowych. Patrząc z podziwem, jak stosuje się różne wymagania do rozmaitych osób. Zbadany przezemnie dostaje się na komisję pod przewodnictwem Łoktiewa. Czasem przewodniczy Bogdanow, a udział bierze G. lekarz cyrkułowy żyd i drugi—zaufany. W takich razach wiadomo zgóry, że badany będzie zwolniony.

Niedawno przeszedł przez taką komisję, M., znany nacjonalista żydowski. Jestto mężczyzna

świetnie zbudowany, wyglądający na 40 lat. Nieznaczne opuszczenie odbytnicy nie przeszkadza mu praktykować. Jako ordynator miałem pierwszy głos na komisji, która została przyspieszona o jeden dzień dla niewiadomych powodów i odbyła się pod batutą Bogdanowa w jego zgranym komplecie. Zreferowałem sprawę i rozpatrzywszy wszystkie dane za i przeciw, wypowiedziałem się za powołaniem badanego do wojska w tyle armji.

— A jeżeli każą mu jeździć konno? — pyta Bogdanow.

— Będzie jeździł, choć w tyle armji obowiązują tylko ostrogi, nie koń.

— Dziś jest w szpitalu, a jutro mogą go skierować i do okopów.

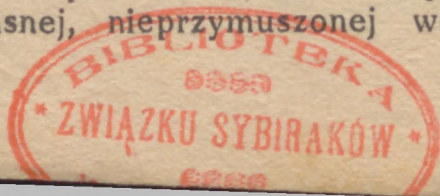
— Można go od tego zabezpieczyć podobnie, jak dziesiątki innych lekarzy. Wszak niedawno uznaliśmy za zdatnego do służby w tyle kolegę L., dotkniętego chorobą mlecza pacierzowego.

— A pan co sądzi? — pyta Bogdanow lekarza cyrkułowego, G.

Jestem przekonany, że ten pękaty, nizki, krzykliwy osobnik, podobnie jak i drugi mąż zaufania, długoletni infamis z ławy uniwersyteckiej, wsławiony w procesie magistrackim o nadużycia, będą zdania wręcz odmiennego. Słucham więc spokojnie ich dowodzeń, które czynią z M. jeżeli nie trupa, to przynajmniej kandydata do nagłej a nieoczekiwanej śmierci.

— Jest pan w mniejszości, — konkluduje Bogdanow. — Sam nie wyrażałem umyślnie swego zdania, aby go nie narzucać.

To mówiąc patrzy mi tak śmiało w oczy, jak gdyby chciał powiedzieć, że ci mężu zaufania działają z własnej, nieprzymuszonej woli, a nie podług



zawczasu wyuczonych ról. Dusze kryształowe, przeglądaj was nawskroś!

— Powiem panom, — prawi Bogdanow, — że M. nie podobał się mi od pierwszego spojrzenia. Ale takie kalectwo uniemożliwia służbę. Kiedy jeszcze byłem lekarzem ziemskim, wezwano mnie do fabrykanta, który dostał z takiego samego powodu krwotoku. Ledwie zdołałem go zatamować. Dzięki temu zyskałem wielkie uznanie w okolicy.

— Bezwarunkowo takie wypadnięcia odbyticy powodują ciężkie krwotoki, — potakuje infamis K.

— Jestem tego samego zdania. — mówi żydek.

W tej chwili przypominam sobie, że koń trojański przewiózł prócz Ulissesa jeszcze innych rycerzy greckich. Niech więc kobyła kolegi M. przewiezie i mnie. Rzekę tedy:

— Obstawę przy swem zdaniu, które gotów jestem zapisać do protokołu. Obstawę, ponieważ sam dotknięty jestem cierpieniem znacznie poważniejszym, które mnie zwolniło od wojska podczas wojny japońskiej. Swoją drogą pełnię nader wyczerpujące obowiązki już od roku.

— To może pan również podać się na komisję, — mówi B., — ale stąd nie wynika, abyśmy nie mieli uwolnić M.

— Uczynię to niebawem, — odpowiadam i zapraszam uczestników komisji, aby mnie obejrzelik od razu po jej ukończeniu. Oględziny wypadły po mojej myśli. Mam więc możność uwolnienia się od mego ciemięzcy.

Po paru dniach proszę o wyznaczenie komisji. Ale oto działalność szpitala ulega zawieszeniu. Matny jechać w całym smadzie do Rosji. Tam dopiero mogę wszcząć kroki o uwolnienie. Ma to swoje dobre strony, bo inaczej nie mógłbym wyjechać z War-

szawy i spotkać się z rodziną. Jako zwolniony z wojska, mógłbym być wzięty w charakterze jeńca. Odłożę więc komisję.

Zaczął się okres prawdziwego wypoczynku. Do szpitala przychodzi się teraz na parę godzin, bo chorych niema, a nie przyszło na myśl przełożonym, aby nas użyć do... zabijania skrzynek z papierami, pakowania sprzętów i do podobnych czynności lekarskich. Pozostały tylko dyżury co kilka dni. Bogdanow stał się słodki, jak nigdy, i¹ obiecał awansować mnie na starszego ordynatora, co daje znacznie wyższe pobory. Pomimo wszystko nie dążę do bezwzględnego zwolnienia. Gdy rozstrzygają się takie zagadnienia, dobrze jest brać choć skromny udział w nich. W dodatku nie chcę korzystać z przywilejów, nawet tak poślednich, jak choroba, aby usunąć się z grona kolegów, z którymi borykam się wspólnie od roku. Chodzi mi głównie o to, aby mieć w ręku Bogdanowa i zmusić go do większego liczenia się ze mną.

Niedawno powrócił kol. Stróżewski ze Szwajcarii, dokąd udał się przed rokiem. Ma on wiele do powiedzenia. Zanosí się na długą wojnę, bo sprzymierzeńcy są jeszcze nieprzygotowani, mają zaś szczerzy zamiar zniszczyć potęgę niemiecką. Na ten temat prowadzimy ciągle rozmowy, zebrawszy się rano w parku szpitalnym. Odczytuje się też dzienniki, komentuje wiadomości, podkpiwa nad własnym losem i kłopotami władzy. Koło 10-tej zjawia się Bogdanow, przyjmuje raport, że niema chorych w szpitalu i że nic ważnego nie zaszło. Potem zaszczyca on nas podaniem ręki i zaczyna pogawędkę o sprawach bieżących. Otaczają go zawsze ci sami kole-dzy. Jest to jak scena z „Dziadów“ na raucie u senatora. Schlebiający i płaszczący się przed władzą traktują kolegów z wyniosłością, a trzymający się na uboczu szydzą z giętkich karków.

Jakby to było miło pojechać teraz na wieś! Warszawa jest niemożliwie zakurzona, bo brak wody skutkiem braku węgla. Prócz tego odczuwamy inne braki. Produkty spożywcze są bardzo drogie i coraz częściej niemożna dostać mięsa, chleba, cukru, masła. A co wieczór czerwieni się niebo łuną pożarów, które trawią zbiory pól i łąk. Niewolno zostawić przybyszom zapasów. Tak rozumują politycy, którzy nie budowali kolei, kolejek, nawet szos, dziś zaś nie mogą wywieść bogactw ziemi, której nie umieją obronić. Przed rewizją senatorską palą się nieraz składy intendentury skutkiem „nieszczęśliwego przypadku”. Snać cały nasz kraj oczekuje rewizji. Co też powiedzą senatorzy? Pewnie — że wszystko można kupić, byle były pieniądze, albo: wszystko można sprzedać, aby były pieniądze.

15 Lipiec 1915 r.

Szpital jest pospiesznie pakowany. Zabiera się wszystko, co ma nazwę, zaczawszy od łóżek, których jest zgórą 3.000, a kończąc na klamkach, krakach, rurach, okuciach, oderwanych z dotychczasowego ich umiejscowienia. Hasłem tego zniszczenia jest: nie zostawiać Niemcom kruszców, zwłaszcza miedzi. Nie zapomniano więc i o dzwonach kaplicy szpitalnej, narównie z kościelnymi, które zdążono już wywieść. Pop zajął na urządzenia kaplicy kilkadziesiąt skrzyń i żądał jeszcze więcej.

— Ojcie Jakóbie, — poucza Bogdanow, — zabieraj tylko rzeczy cenne: wrota carskie, ikonostazę, złoto, srebro, ryzy. Resztę trzeba niestety zostawić.

— Jak to! — oburza się protojerej. — Świętych pańskich zostawić inowiercom?!

— Zabierz ważniejszych, a „drań“*) zostaw, bo na nią miejsca brak.

*) Rzecz bez wartości. W stosunku do obrazów: bogotandeta.

— Co?! Święci drań! Jak pan może się tak wyrażać. To bluźnierstwo!

— W ramach i koszulkach złożonych przedstawiają wartość. Ale naco brać te zwykłe obrazki jarmarczne w oprawie drewnianej?

— Święci dzielą się podług zasług, a nie podług ram. Czyż można pozostawić Śt. Grzegorza zwycięzcę, że jest malowany na drzewie, a zabrać Śt. Cyryla, że jest z mozaiki? Można nie brać łóżek, lecz świętych trzeba wziąć wszystkich.

— Lekcja religii oburzyła Bogdanowa. Jemu, który był ktitorem przez szereg lat, nie opuścił ani jednego nabożeństwa, był przykładem cnót urzędnika, radcy stanu, marzącego o podszewce czerwonej, jemu ośmielił się dawać nauki pop, jak kandydatowi na stanowisko XIV klasy. Takiej obrazy nie puszcza się bezkarnie, choć narazie... trzeba milczeć.

— Niemożna zabrać wszystkich łóżek, — oświadcza Szumski.

— Wszystkie, co do jednego! — woła Bogdanow. — Dokądkolwiek nas przeniosą musimy, pokazać, że jesteśmy największym szpitalem w państwie.

— „Cóż dwór pański oznacza, jeśli nie galony“, — powiedział Geldhab, myślę przy tej rozmowie. I coż świadczy o wartości szpitala, jeśli nie łóżka. Lekarzy powoła się tylu, ile jest etatów. Nie zbraknie ich, choć to materiał, który trzeba dopiero urabiać. Ale łóżka to grunt.

— Jabym tę „drań“ żołnierską zebrał w parku, polał naftą i spalił. Wywieść warto tylko łóżka oficerskie z siatkami.

— Czy nie lepiej oddać zbędne łóżka szpitalom miejskim, wreszcie sprzedać, lub rozdać biednym? — wtrącam.

— Jeszcze czego! — oburza się Szumski, — wspomagać inowierców.

— Zabierzemy wszystkie łóżka, — kończy Bogdanow z miną obszarnika, który określa swój majątek podług liczby „dusz“ pańszczyznianych.

Co dnia oczekujemy nakazu wyjazdu. Jednak władze wyższe zwłóczą, chociaż Bogdanow chciałby jechać natychmiast.

Wiadomości z pola walki są coraz bardziej niepomyślne. Jesteśmy otoczeni z trzech stron i tylko przez drogę Terespolską jest jeszcze wyjście. Tysiące uciekinierów ciągną do Warszawy i tysiące uciekają z niej za Brześć. Zamęt powiększa jeszcze przymusowa ewakuacja fabryk. I znowu na jednostkę przemysłową patrzy się przedewszystkiem, jak na... zbiór metalu, którego niewolno pozostawiać wrogowi. Maszyna w oczach czynników miarodajnych to nie jakaś całość, która może funkcjonować poprawnie tylko po dokładnem dopasowaniu i ustawieniu, lecz — to, co żydzi nazywają „szmelc“, czyli materiał na stopienie. Jeżeliby Niemcy traktowali sprawę podobnie, to przemysł byłby całkowicie zrujnowany, a my stanęlibyśmy na poziomie Kabyla, mieszkającego w okolicach Kartaginy w starożytnej cysternie, lub Araba, który zrobił próg do swego domostwa z marmurowego kadłuba starodawnego bóstwa.

Przemysł, który wiódł żywot suchotniczy w pierwszym roku wojny, został teraz zniszczony doszczętnie. Rosja nie posiada wlelu rodzajów fabryk, którym obiecywano świetną przyszłość na jej obszarach. Ale maszyny, rozbierane pośpiesznie przez „sołdatikow“, będą wyglądały, jak pierwszy zegarek wstępniaka, nastawiany i poprawiany przez niego własnoręcznie. Brak w Rosji dobrego węgla, wytrawnych pracowników i kierowników stanowi poważną przeszkodę do zorganizowania przemysłu.

Przed paru dniami rozeszła się wiadomość, że Warszawa ma być broniona, a szpital ma pozostać.

Jest to nieprawdopodobne, bo brak armat i ładunków, a doprowadzenie szpitala do używalności zajęłoby około miesiąca i kosztowało do pół miliona. Jak na śmiech ukończono właśnie instalację elektryczną kosztem 50,000 rb. Nie powstydzi się więc szpital wobec zdobywców, choć zastaną go oni оголоconym. Czego nie można było wywieść, wydrzeć, zniszczyć, to zostało sprzedane żydom, jako „staryzna“. Między innymi było do kupienia 1000 pudów węgla. Zakrzętnęło się paru „sprytnych“ kolegów, choć zapas mógłby wystarczyć dla kilkunastu rodzin.

Dwa pytania zajmują nas obecnie: czy zwinąć mieszkania i czy wywieść rodziny. Gdyby wojna skończyła się prędko, dogodniej byłoby zostawić wszystko w spokoju. Ale jeżeli potrwa dłużej, czy można zostawić rodziny bez opieki i środków, narażać na wstrząsy oblężenia i zaprowadzenie nowych rządów? A z drugiej strony tułaczka nieokreślona ani co do czasu, ani jej warunków. Po rozważeniu większość kolegów pozostawia rodziny w nadziei, że rozłąka potrwa niedługo.

Moje położenie jest inne. Mieszkacie na wsi, dokąd może nie dojdzie fala zaborcza. O waszym powrocie do Warszawy w tej chwili niemożna nawet mówić. Musicie pozostać w Dymsku, dopóki będzie tam bezpiecznie, a potem zamieszkamy razem dokąd losy nas rzucą. Stęskniłem się do Was ogromnie. Wprawdzie odwiedziłaś mnie parę razy, raz nawet przywiozłaś dzieci. Jednak nasze ognisko rodzinne jest rozbite. Wiem, że jesteś przeciążona pracą. Byłoby ze wszech miar do życzenia, abyśmy mogli za mieszkać znowu razem.

Nie mam pojęcia, dokąd nas wyślą. Była mowa o Rydze, Dźwińsku, Połocku, Witebsku, o Skobelwskiej stacji, Smoleńsku, Moskwie, Podolsku. Oka-

zuje się jednak, że te miejscowości są albo przepelnione szpitalami, albo leżą zbyt blisko frontu. Inicjatywę pozostawiono szpitalowi, bo władze przełożone nie wiedzą, gdzie można by pomieścić tak wielką jednostkę leczniczą. Bogdanow wysłał dwu „kwatremistrzów“ do Smoleńska. Byli to Rachmanow i K, infamis uniwersytecki. Męże ci zwiedzili kilka miast, począwszy od Mińska. Dopiero w Smoleńsku obiecano im ustąpić część budynków koszarowych.

Położenie pogarsza się, a nakaz wyjazdu szpitala nie nadchodzi. Starszyzna jest zdenerwowana i niespokojna. Pachnie niewolą. Wielu kolegów Polaków jest za pozostaniem w Warszawie. Poczyszają się też, że tam i owdzie Niemcy zostali odparci, okrążeni. Nie podzielam tych różowych zapatrywań. Nie boję się niewoli niemieckiej, która nie będzie zapewne cięższa od moskiewskiej. Lecz nie chciałbym być odcięty od Was. Zdaję sobie sprawę, że wrazie wyjazdu do Rosji zacząłby się nowy okres życia, pełen wysiłków. Może to będzie tułaczka, jaką przebyli nasi dziadowie. Może nie dowiezie się swych kości do ziemi ojczystej, może, — Ha, cóż poradzić? Blochy wyliczały, że wojna współczesna może trwać najwyżej parę miesięcy. A tu politycy zapewniają, że ten rok, to dopiero wstęp. Anglja, mówią, zobowiązała się prowadzić wojnę do ostatniego żołnierza... rosyjskiego. Chwilami ma się wrażenie, że to jest nie dowcip, lecz program rzeczywisty. A może na tem polega polityka. Niańka opowiadała mi w dzieciństwie o rabusiach, którzy wsunęli podstępnie przez okno manekina. Gdy napadnięty wystrzelał wszystkie ładunki, wzięli go gołemi rękami. Może politycy angielscy słyszeli tę opowieść od swych nianiek i robią dziś z niej użytek. Rola Rosji byłaby niedopozazdroszczenia.

Na wszelki wypadek żegnam się ze znajomymi,

porządkuję papiery, rachunki, usuwam z mieszkania przedmioty wartościowe. Nie pomyliłem się przy układaniu programu życiowego, przenosząc wartości umysłowe nad materialne. Dziś w jesieni życia nie mam właściwie ukryć czego przed napastnikiem. Przywiązałem się do biurka mahoniowego, pamiątki po ks. Józefie Poniatowskim, które obsługuje moja rodzina już w czwartym pokoleniu. Ono jest powiernikiem moich zapałów i uniesień, gdy przelewam na papier myśli, ono jest świadkiem mozołu, gdy prowadzę nader złożone badania antropologiczne, ono kryje w swych schowankach pliki mych rękopisów, pisanych maczkiem, do których zaglądam nieraz chętniej, niż do drukowanych prac, bo z każdym znacznikiem łączą się tam myśli przemyślane... W górnym pulpicie mego biurka są skrytki, gdzie przechowuję Twoje listy narzeczęńskie. Są tu i pierwsze listy naszych dzieci. Myślałem, że kiedyś, gdy pozostanie mi tylko życie wspomnieniami, gdy nie podążę już za współczesnością, — że te relikwie opromienią nam wiek schyłkowy. I oto patrzę teraz na nie i pytam: wziąć je z sobą, jako lary, czy pozostawić? A walizka powiada: zanim opromienisz starość wspomnieniami, zapewnij sobie życie na dziś. Słucham jej rady. Na drogę nowego życia, pełnego niewiadomych, trzeba mieć poezję w sobie a nie z sobą.

Pełna powagi jest ta chwila rozstania. Uczy ona, że wartości materialne przykuwają nas do miejsca, czynią niewolnikami przyzwyczajęń. Z maksymy: „omnia mea mecum porto” zrobiono równoznacznik nędzy. A jest to apoteoza mózgu, który stanowi zaiste wszystko, co człowiek niesie z sobą przez dni żywota.

21 Lipiec 1915.

Dziś otrzymał szpital rozkaz wyjazdu do Smoleńska... do granic dawnej Rzeczypospolitej.

Od rana zaczyna się ładowanie mienia na podwody i przewóz na dworzec Terespolski. Budzi to w ludności lęk.

— Ujazdów ucieka. Warszawa upadnie.

— E, w jesieni uciekali, a nie daliśmy się.

— Teraz okrążyli nas. Zbombardują. Żywa noga nie wyjdzie, — boleje jakaś kumoszka.

— Co pan plecie. Niemiec woli całe miasto, niż ruiny, — wtrąca się przechodzień.

— A Moskal co zostawił z Żyrardowa. Cała okolica spalona i zrabowana przez kozaków.

— Co innego miasteczka. Tu każda kamienica to forteca.

— Ha, ha, — śmieje się przechodzień, — tandeta żydowska, jak ta na Żórawiej, którą zagrodzono dla dorożek, aby się nie zawaliła.

— Nie widziała pani w kinie, jakie miasta zburzyli Niemcy w Belgii? Nie? To trzeba interesować się sztuką i kulturą, a potem dowodzić. Powiadam: z Warszawy nie zostanie kamień na kamieniu.

Na ulicach panuje ruch gorączkowy. Widzę, z balkonu, jak wynosi się z sąsiedniego domu cyrkuł i jego władze. Co za wzruszający widok dla wszystkich, którzy mieli zatargi z policją, lub tylko musieli się jej opłacać! Oto nie tylko policjanci i rewirowi, lecz nawet sam komisarz, są dziś, jak pierwsi rodzice, wypędzeni z raju. Po tej ziemi wymarzonej dla czynownika zacznie się teraz jego tułaczka po... własnej ojczyźnie, gdzie nie będzie napewno ani manny, ani przepiórek.

Stróże okoliczni, sklepikarze, przekupnie, gawiedz uliczna wystąpili tłumnie, przyglądając się poniżeniu wczorajszych gnębicieli. Był tam śmiechu i przycinków!

— Pan naczelnik zwija interes? — pytał drwiąco stróż rewirowego, krzątającego się przy wozach.

— Mołczil — krzyknął władca, — poszoł won!
— Nie tak ostro, panie starszy, skończyło się tu wasze panowanie.

— Panie naczelnik, — ozwał się głos z tłumu, — nie zapomnij maźnicy z dziegiem, bo nam zapowie-trzyła ulicę.

— A możeby tak strzemiennego? Mam półbutek „oczyszczonej“.

— On by łyknął i denaturatu, aby zalać robaka.

— A kuchtę z przeciwka bierze naczelnik? Meńka? Dymaj duchem, kawalir wyjeżdża?

Tłum śmieje się, docina. Rewirowy czerwieni się i blednie, postukuje po gardzie szaszki, sięga do rewolwera, lecz zda się rozumieć, że zginąłby od pięści i mioteł, gdyby zrobił użytek z broni. A tłum przybiera postawę coraz bardziej zuchwałą, wyzywającą.

— Panie naczelnik, nastaw gramofon na furze. Rznij marsza, albo polkę „oj-ra“.

Raptem ktoś zaintonował „czerwony sztandar“. Rewirowy wzdrygnął się, jakgdyby wpadł do przerębla. A tłum woła:

— Bierz go do ula! Lu! A może wywozisz i kożę?

Tak szydzi z potęgi poniżonej wybrzeże piasczy-ste podczas odpływu morza. Zda się mówić: — I cóż? Napuściłeś na mnie stado balwanów, chciałeś prze-razić rykiem fal, grozą zatopienia. Patrz: piaski mo-je ostały się, błyszczą na nich kryształły soli i leżą miliony muszli, raczków, żyjątek, których nie zdołałeś zabrać przy ucieczce. Gdzie twa potęga?

Tak szydzą niziny, uwolnione od nawały. Tylko skały zachowują spokój stoicki, patrząc obojętnie również na skaczące im do oczu słupy piany, na rozkołysany widnokrąg sinych fal, jak i na gładz zwierciadlaną, w której oglądają swój majestat.

Zamęt w szpitalu jest nie do opisania. Pułkownik żąda wywożenia naprzód miedzi, Bogdanow — łózek. Wobec sporu ładuje się naprzód skrzynie z mieniem obu tych dostojników. Poraz ostatni odwiedzam sale, na których pracowałem przez 11 miesięcy. Są puste, ogołoczone. Rozbrzmiewa w nich echo, jak w górach, lub pieczarach. Wtem przypominam sobie wrażenia z lat dziecięcych, gdy podczas pierwszej przeprowadzki pytałem ojca, co to za głuche dźwięki rozchodzą się po pokojach.

— To echo, — wyjaśnia ojciec. — To my się wprowadzamy, a echo się sprowadza? — pytam, wyobrażając sobie, że to jakas dama przyjechała kareta do naszego mieszkania. I na to wspomnienie odpowiadam sobie na salach szpitalnych: — tej nowej lokatorce na imię Germanja.

Bogdanow pozbył się ciężkiego kamienia, który go tłoczył. Mówi teraz z nami z miną triumfatora. — Pierwszy eszelon wyruszy dzisiaj. Pojadą z nim następujący lekarze... Jutro i pojutrze wyruszy po dwa eszelony.

— Czy nie możnaby pojechać własnym dworem? — zapytuję Bogdanowa.

— Nic nie mam przeciwko temu pod dwoma warunkami: jazda na własny koszt i przyjazd do Smoleńska na 24 Lipca.

— Trzy dni z dzisiejszym. Wszak ostatnia partja nie zdąży jeszcze wyjechać, a droga zajmie przynajmniej cztery dni.

Po długich targach termin zostaje przedłużony o trzy dni. Natomiast co do rodzin Bogdanow nie zgadzał się, aby jechały w pociągach szpitalnych. Wobec tego pozostają nawet te rodziny, które skłaniały się pierwotnie do wyjazdu, bo o znalezieniu miejsca w zwykłym pociągu niema mowy.

Dalej nasuwa się pytanie, co zrobić z naszymi

bagażami. Bogdanow znów odmawia ich przewiezienia. Pytam więc:

— Czy lekarze wojskowi i urzędnicy pozostawiają swe urządzenia domowe i odzież w Warszawie, czy też wywożą je z sobą?

— Inna rzecz wojskowi zawodowi, — dowodzi Bogdanow.

— Nie rozumiem, dlaczego inna rzecz. Wobec tego szpital będzie musiał dać nam całkowite zagospodarowanie w nowem miejscu pobytu.

— Nie jest obowiązany, — twierdzi radca stanu.

— To może my możemy tu pozostać, skoro nie przysługują nam żadne prawa.

— Spróbujcie tylko. Czeka was los dezertarów.

Pod wieczór jadę na dworzec. Ruch jest gorączkowy. Armaty i wojsko posuwają się na prawy brzeg Wisły. Trwoga rośnie. I ten, kto wczoraj jeszcze dowodził, że niema czego uciekać, szykuje się dziś pospiesznie do drogi. Niemcy przeszli już podobno pod Górą Kalwarją i Nowym Dworem za Wisłę.

Jadę przez nowy most. Stoi on spokojnie, choć często obrzucany bombami. I Wisła jest spokojna, śnać nie wzrusza jej troska o los stolicy. Czy wy, wody, płynąc 300 wiorst po ziemi polskiej, nie ukochałyście jej, sądząc, że jest to rzecz przypadku, iż płyniecie tem korytem, a nie korytami Odry, Łaby, lub Dunaju? Może zresztą w waszej wędrówce przez ziemię i rozpostarcie niebieskie, wy, rozdzielone w pierwszym dniu stworzenia, poznałyście te i inne rzeki, morza, oceany, zachowując wszędzie wasz chłód i obojętność? Poznałyście prawdę, że jakiegokolwiek losy spotkają tę ziemię, wy pozostaniecie zawsze sobą, tym nierozzerwalnym związkiem tlenu i wodoru, które żyły w celibacie przed milionami lat, a dziś mogą być rozdzielone tylko wtedy, gdy bogowie zaczną rzucać gromy, wstrząsające sklepieniem nie-

bieskiem. Cóż są wobec nich wystrzały dział ludzkich? Zabawka dziecięca. Nie mówcie tak, wody, żłobiące dziś koryto rodzimej rzeki! Oto barwa wazsa jest czerwona, a nie są to odbłyśki obłoków przy zachodzie słońca, lecz krew, którą przeleli synowie tej ziemi, stanąwszy w jej obronie...

Pośrodku mostu założono ładunki dynamitu, który czeka od roku na chwilę, kiedy każą mu zniszczyć tę mozolną pracę. Ta chwila jest bliska. A ty, moście, stoisz spokojny, przypatrując się swej krasie w zwierciadle wód, jak spartanin przed bojem, jakgdybyś nie przypuszczał, że ręka ludzka może się targnąć nawet na swe własne dzieło. Gdy nadejdzie ten moment, może i wy, wody, dowiecie się, że nie tylko bogowie, lecz i ludzie, umieją być straszni w szale gniewu i nienawiści.

Docieram do dworca i zastaję pociąg, który miał odejść przed dwiema godzinami. Z trudnością dostaję się do kasy, a potem do przepelnionego wagonu. Umieszczam się w korytarzu na walizce. Ruśzamy. Przedmieścia są puste. Nie dymią kominy, nie widać żadnego ruchu. A dalej ciągną się pola zaniedbane, nieprzygotowane pod zasiew.

Gdzieniedzie przycają się w ukryciu armaty, biwakuje garść żołnierzy, przemknie po ścieżynie baba do wsi. Pozatem nie widać ani konia, ani krowy, ani oracza, ani dziatwy.

Towarzysze podróży wyrzekają na ciasnotę, lecz są zadowoleni, że się odsuwamy od sfery natarcia. Największe są obawy, czy droga nie jest przecięta pomiędzy Siedlcami a Łukowem. Jednak mijamy je spokojnie.

Zbliżamy się do Brześcia. Ma on teraz przyjść do głosu. Komendant v. Łajning ma na swe n sumieniu wybuch, wywołany podobno przez Niemca, nauczyciela jego dzieci. Ten wybuch i pożar zniszczyły

twierdzą i miasto, które uważane są wciąż za nie-
dozdobycia. Na przestrzeni kilku wiorst ciągną się
forty, baterje, okopy. Ale i tu nieczuć życia, jakgdyby
nieprzyjaciel był jeszcze bardzo daleko. Na stacji jest
gwarno. Tłumy oczekują na pociąg. Stosy mienia,
przygotowanego do wywozu, zajmują wszystkie sale
i platformy. Pociągi przewożą głównie wysiedleńców
z Chełmszczyzny. W wagonach towarowych i bydłę-
cych siedzą na wężelkach i skrzyniach kobiety, starcy
i dzieci. Nawładzuję z nimi rozmowę. Odpowiadają
niechętnie, lecz naogół złorzeczą na przymus wy-
siedlenia.

— Dokąd nas wiozą i na co?! Trzy dni w dro-
dze, a ujechaliśmy mniej, niż za dzień końmi. Chło-
pów pobrali do wojska do sypania okopów. Kozacy
popalili chałupy i stodoły, zrabowali inwentarz. Dali-
by przynajmniej skonać u siebie. Matka z niemowlę-
ciem przy piersi nie jadła parę dni. Dziecko krzyczy
i rzuca się konwulsyjnie, szarpiąc pustą pierś. Obok
leży paroletni chłopak, chory na biegunkę krwawą.
W kącie na barłogu siedzi starzec, zapatrzony przed
siebie. Wszyscy oni skazani są na zagładę. Nie ura-
tuje ich bułka chleba, którą im podaję, nie podtrzy-
ma jałmużna, o którą się już dopominają. Baczość!
Ludzie, którzy ciągnęli środki do życia z ciężkiej
pracy na roli, dziś... wyciągają rękę. Zaprawdę lepiej
by im było pozostać pod gradem kul na swej ziemi,
niż pójść na tułaczkę na chleb żebraczy, po którym,
jeśli wrócą to — niezdolni do pracy.

O świcie siedzą w pociągu poleskim. Mijam
znane stacje, miasteczka, wsie. Przez gościńce ciągną
szeregi wozów, wszystkie na wschód. To są również
wysiedleńcy, wygnani z zagona ojczystego w dal nie-
znaną, podążający od jednego punktu żywnościowego
do następnego. Szosa z Włodawy do Kobrynia zajęta
jest nieprzerwanym szlakiem tych wozów. Ludność

miejscowa zachowuje się srogo wobec tych wysiedleńców, uważanych za Niemców. Są to jednak przeważnie Polacy i Rusini z Podlasia.

Serce się kraje na widok tej wędrówki. Kto wie: a może i ja zaczynam ją dzisiaj.

Lecz oto Drohiczyn. Za pół godziny będę wśród Was!!!

1 Sierpień 1915.

Krótki był mój wypoczynek po roku ciężkiej pracy. Ten tydzień, spędzony z Wami, pokrzepił mnie duchowo. Nie spodziewaliście się mego przyjazdu. Wpadłem do Was z nienacką.

Z dworca wiózł mnie żydek, wyrzekając, że owies jest bardzo drogi. Prawdopodobnie musiał powtarzać to samo koniowi, którego żywił w domu sieczką, a w drodze koniczyną przydrożną.

Zbliżam się do dworu. Nowe ogrodzenie błyszczący w słońcu. Brama zamknięta na kłódkę. Ho, myślę, moja żona posługuje się kluczem! Przewrót zupełny. Nieraz bywała wojna domowa o zaniechanie tej zdobyczy kultury. Wojna kończyła się zwykle moją przegraną, bo uważałaś zamki za zbędne. Otóż wojna europejska zminiła ten pogląd.

Na moje spotkanie nie wybiegły psy. Musiałaś się z nimi rozstać z powodu panującej powszechnie wścieklizny, która grasuje, jak nigdy, ponieważ masa psów włóczy się po wyludnieniu osiedli.

Służba mnie nie poznała. Wzięli mnie za; „uradnika“, bo w czapie wojskowej i z szablą u boku. Pierwsza wybiegła Grażulka, wołając: — tatuś! tatuś! Niebawem otoczyliście mnie wszyscy. Dzieciaki porosły, wyglądają rumiano i zdrowo. Tyś posiwała, choć twarz jeszcze młoda.

Prawdziwa to rozkosz spocząć po trudach w gronie rodziny. Kiedym pisał książkę: „Wróc do

przyrody!“ byłem jeszcze młody. W ciągu tych kilkunastu lat przeżyło się wiele, zdobyło dużo doświadczenia. Jednak gdybym dziś miał znowu wyjaśniać, co jest praca, a co wypoczynek, niewiele miałbym pewno do dodania do tamtych kartek. Złośliwy powie: — mało się nauczyłeś.—Ja mu odrzekę: — nie poszukiwałem rozkoszy przemijających, przekładając nad nie stan równowagi stałej.

Pusto na waszych polach. Dużo ziemi leży odłogiem, bydła i koni jest mało i to wygląda suchotniczo. Co lepsze zabrało wojsko. A swoją drogą uskarżacie się na zastój w handlu, na niskie ceny paszy, której dawniej zawsze brakło. Zabroniono ziemianom sprzedawać zbiory na początku wojny, bo wszystko miało być użyte dla wojska; potem cofnięto zakaz, gdy można było spieniężyć tylko na potrzeby miejscowe. Sprzedałaś koniczynę dostawcy, który ją sprasował, przewiózł na kolej, lecz nie dostał wagonów?... zgnoił ją na deszczu. Jeżeli nawet żyd nie może dać sobie rady z łapownictwem urzędniczym, to lepiej byłoby odrazu skończyć wojnę.

Ludność wiejska jest zgnębiona. Niema rodziny, która nie oplakiwałaby, a przynajmniej nie niepokoila się o swych najbliższych. Na Polesiu zaznaczają się dwie orientacje wśród obywatelstwa polskiego: ugodowa, pragnąca pozostania przy starym zwłaszcza po uzyskaniu nowych praw dla Polaków, i — austrofiłska, przekonana, że tylko pod berłem Habsburgów może nastąpić zjednoczenie ziem i odrodzenie Polski. Ludność miejscowa nie interesuje się temi zagadnieniami.

Gubernator Grodzieński nakazał, aby obywatelstwo powiatu Kobryńskiego było gotowe do wyjazdu. Wzbudziło to popłoch. Sądzone, że Brześć oprze się najeźdźcom. Dużo też liczone na artylerję japońską, która miała prażyć Niemców na Podlasiu. Jednak

wróg posuwał się wciąż naprzód. Zaczęto się też zastanawiać, czy uciekać i dokąd. Oczy obywatelstwa zwróciły się ku Pińszczyźnie, naturalnej twierdzy błot nieprzebytych.

Nasi sąsiedzi nie są jeszcze zdecydowani, co zrobią. Państwo Henrykowie wykończyli świeżo dwór, na który się zbierali od 20 lat. Czyżby ten piękny dom, zbudowany podług wymagań wygody i szyku, miał się stać odrazu pastwą płomieni? Przeważnie nakazuje usunąć z majątku rzeczy cenne, albo zapaść je w miejscu bezpiecznym. A kiedy wypadło zapytać, dokąd wyjechać, pan Henryk odpowiedział po namyśle: nie umiałbym żyć poza swoim folwarkiem. Zresztą wątpię, aby Niemcy poczynali sobie z nami tak okrutnie. Nie miałbym nic przeciw temu, żeby tak okrążyli i przyłączyli... sposobem bezkrwawym.

Pani Helena nie godzi się również na opuszczenie majątku: dokąd, jak, poco? Jeżeli już sądzono zginąć, to wszak lepiej tu u siebie, niż gdzieś na obczyźnie.

Nieco inaczej patrzą pp. Józefowie. Nie przepuszczają, aby Niemcy mogli się zapuścić tak daleko.—Trzy mile od kolei, okolica błotnista...

— Pani sądzi, że każą po sobie przysłać konie na stację? Mają czem przyjechać. Zapewne na ich przyjazd mieliśmy niedawno nakaz, aby drogi i mosty ponaprawiać. To... słowiańska gościnność. Błota umieją osuszać.

U pp. J. zebrało się dużo rodziny, znajomych i obcych, którzy schronili się tu w nadziei, iż przeczekają spokojnie wojnę. Przybysze czują się, jak u siebie w domu, nie licząc się z wydatkami i kłopotami gospodarzy. A oni pocieszają się nadzieją, że wojna musi się skończyć prędko.

Władze miejscowe są zdenerwowane i niepewne siebie. Leśniczy wyniósł się cichaczem, naczelnik ziemski nadrabia miną i zapewnia, że po chwilowem niepowodzeniu pobijemy wroga, jednak nakazuje chłopom, aby się gotowali do wyjazdu i niszczenia zbiorów. Tylko żydzi są dobrej myśli i krzątają się koło zakupów.

Los wysiedleńców jest opłakany. Ciągają oni długim szeregiem wozów, krytych płótnem. Szkapę zmordowaną idą krok za krokiem, popasają na polach przydrożnych. Napróżno występuje gospodarz w obronie swych zasiewów i zbiorów. Koło Derewnej zatrzymuje mnie chłop, uważając za uriadnika i skarży się na „niemców”, którzy spaśli mu koniczynę, zabrali owies a jego samego pobili. Ze świeżej rany na głowie sączy się mu krew. Chłopi są bezbronni wobec tych tysięcy wozów, koni, bydła i ludzi, którzy rozumują, że plaga wojny nie powinna spaść na nich wyłącznie. Hodie mihi, cras tibi. Nasza mała Aldona rozwiązała trafnie to zagadnienie ekonomiczne umysłem trzyletniego dziecka. Oto gdy wynędzniała kobieta z niemowlęciem zwróciła się do dworu o pomoc, rzekła nasza dzielecza: „Niemiec, nie Niemiec, a dziecku trzeba dać jeść”. Niech pozostanie ci, moja dziecino, to współczucie dla niedoli na wszystkie dni twego żywota! Nie wy, uważający siebie za krzewicieli moralności i pokonywaczy samolubstwa, nauczyliście tego miłosierdzia moją córeczkę. Swe uczucia ludzkie czerpie ona z przynależności do człowieczeństwa, którego jest maleńkim członkiem. Ilu potężnych tego świata, ilu uczonych w piśmie, ilu krzewicieli moralności mogłoby się uczyć od tego dziecka podstaw ludzkości, wrodzonych każdemu z nas, lecz zapomnianych z wiekiem pod wpływem kupczenia zasadami dla względów osobistych, stanowych, partyjnych państwowych!

Oczekuję na pociąg, który miał odejść z Kartuzkiej Berezy o 4-ej pp. Nic jeszcze o nim nie sły-chać. Oszczędziłem dużo drogi, jadąc koleją moskiewską, a nie poleską, jednak szkoda mi tych kilku godzin, które mogłem spędzić z Wami. Dawno już nie przejechałem bryczką pięciu mil; za to rozejrza-łem się po Polesiu i nie wątpię już, że czeka Was wyjazd na wschód. Dziś można wydostać się jeszcze względnie spokojnie, a za parę tygodni będzie po- płoch i ścisk. Sprzedaj więc, co możesz, zabierz dzieci i podążaj za mną do Smoleńska.

Od Brześcia idą pociągi, wiozące rozebrane ma- szyny, wagony, kolejki, podkłady, szyny, części mo- stów, konie, bydło, samochody, armaty, pociski, dwu- kołówki... Poraz pierwszy widzę olbrzymie działa ze- nitowe, ułożone na dwu platformach. Nie ulega już wątpliwości, że Brześć nie zamierza się bronić. W ta- kim razie Polesie będzie niebawem zajęte.

Patrzę ze zdumieniem na zamęt, jaki tu panuje. Popłoch. Każda jednostka i cała masa płynie na wschód, widząc tam dla siebie ratunek. Zachód nic ich już nie obchodzi. Nieoczekiwanie zawiadamiają o przybyciu pociągu. Staram się zająć w nim miej- sce. Okazuje się jednak, że jestto pociąg sanitarny, wiozący z Łapiguza szpital zakaźny. Chorzy, którzy przebyli świeżo cholere, tyfus, czerwonkę, wychodzą z wagonów, kręcą się w bufecie, kupują pieczywo, kiełbasę, ser w straganach przy stacji, słowem roz- noszą zarazę. Zwracam na to uwagę kierownika punktu ewakuacyjnego; wydaje on zarządzenia żan- darmom i służbie kolejowej. A pociąg stoi przy dworcu cztery godziny. Dopiero deszcz ulewny skie- rowuje chorych do wagonów, a publiczność do sal. Kierownik pociągu, młody lekarz, jest ciągle niepokoi-

jony: tu zmarł chory na cholere i trzeba go wynieść z wagonu, tam umiera tyfusowy, gdzieindziej trzeba pomóc przy krwotoku.

Spotykam znajomą siostrę, jadącą w tym pociągu. Dokąd jedziecie?

— Nie wiemy. Prawdopodobnie do Mińska, ale jeszcze niema rozkazu.

— Możecie mnie zabrać? Nie mogę doczekać się swego pociągu.

— A pan doktor się nie boi? Nie. To prosimy, choć do Mińska dojedziemy, najwcześniej za dwa dni. Jesteśmy w drodze już pięć.

— Czy możebne! Najwyżej 250 wiorst. Wobec tego nie skorzystam z gościny.

Mój pociąg przychodzi z sześciogodzinnem opóźnieniem. Jest przepełniony, stoi długo na stacji, wiadomo poco, czy dlaczego. Korzystam z tego, że mój woźnica jeszcze nie odjechał i przesyłam Wam, moi kochani, jeszcze raz pożegnanie i prośbę: nie zwlekajcie z wyjazdem, bo położenie pogarsza się stale.

Smoleńsk

5 Sierpień

Droga przeszła spokojnie. Jechałem z młodym lekarzem, który pracował pod Włodawą. Nie rokuje on nic dobrego. Dostał urlop 10-ciu dniowy i jest przekonany, że nie zastanie swego szpitala na miejscu. Dęblin ródca się niebawem, Modlin będzie okrążony i napewno się nie ostoi. A. Brześć?

Kolega pokiwał głową. Obejrzał się, czy kto nie podsłuchuje, i mówił półgłosem:

— Wywożą armaty... Jeszcze przed tygodniem ustawiali nowo sprowadzone... Dziś wywożą... Pociiski nie pasują do luf... Twierdza nie wytrzyma oblężenia... Lepiej uratować choćby armję...

— Tyle czasu mówiło się, że to twierdza nie-
dozdobycia, zaopatrzona na czas długi! Wszak zało-
ga przesiadzała tam beczynn timer cały rok, lekarze
nie widzieli rannych, a chorych — chyba z przeje-
dzenia. I dziś gdy na nią przysła kolej działania,
mówi się: nieprzygotowana. Przed rokiem czytałem
rozkaz generała r. Łajninga. Był on surowy. A ży-
cie powiedziało, że to tylko gest...

Napisy na ścianach zabraniają mówić o spra-
wach wojennych. Mój towarzysz jest wstrzemięźliwy.
Rząd boi się szpiegów. Oni są przyczyną niepowo-
dzeń. O zdradach mówią tylko czasem procesy skan-
daliczne. Doprawdy lepiej jest milczeć, by nie po-
wiedzieć za wiele! Nie ma już złudzeń. Brześć
nie powstrzyma nawały, chociaż w wagonach... zabro-
niono mówić o wojnie. Czegoż się nie robi, by po-
przeć ojczyznę.

Ale ci szpiedzy... Oni gubią sprawę!

15 Sierpień 1915 r.

Smoleńsk

Szpital zajął część Narwskich koszar. Na gór-
ce gliniastej, otoczonej parowami, stoją dwa rzędy
domków parterowych z małymi mieszkaniami i jeden
rzęd domków piętrowych. Są to pomieszczenia ofi-
cerskie, odstąpione częściowo naszemu szpitalowi.
Na końcu wzgórza wznosi się klub oficerski, w któ-
rym zamieszkały siostry. Północną część terenu zaj-
muje zbiornik wód źródłanych, które nasycają wilgo-
cią całą górę. Po dniu upalnym parów tonie we
mgłę. Mieszkania są wilgotne i panuje w nich chłód.
Poza parowem wznoszą się koszary dla kilku tysięcy
żołnierzy. W paru gmachach złożono mienie szpi-
talne.

Zamieszkałem z kolegą B. Z dwu pokoi pozo-
stawiliśmy jeden na wyłączny użytek... pluskiew, któ-
re hodowali nasi poprzednicy z prawdziwym pietyz-

mem. Te stworzenia boże nie posiadają cech dzikości, lecz chodzą oswojone, jak kurczęta, nawet we dnie po sprzętach, łózkach ścianach, sufitach i robią wrażenie zdumionych, gdy staczamy z nimi bój krwawy. Dzieje się to we wszystkich mieszkaniach. Należy więc sądzić, że pluskwa cieszy się w Smolensku nietykalnością.

Naszą kuchenkę zajmuje deńszczyk, Stanisław Najdycz, poczciwe litwinisko z pod Smorgoni. Po całych dniach pisuje listy do rodziny, modli się, lub śpi. Jednak pamięta i o naszych potrzebach. Rano dostarcza nam pieczywa i wody gorącej w czajniku oraz czasopisma, które czytamy w łózkach. Wstaję pierwszy. Mycie odbywa się w wygodce, gdzie Stanisław leje nam na ręce wodę z imbryka, nie posiadamy bowiem miednicy. Śniadanie składa się z herbaty i bułki za dziesiątkę. Potem idziemy do kancelarji po nowiny i rozkazy.

Bogdanow, lekarze policyjni i radcy stanu mieszkają w hotelu w mieście. O koleżeństwie niema tu mowy. W Warszawie nie było wspólnoty pomiędzy nami, ale tam byliśmy na własnej ziemi. Tu jesteśmy, jak cegła, rzucona na kupę, z której wapno i cement mogą skleić całość. Brak nam jednak tego spoidła.

Położenie szpitala w Smoleńsku jest niepewna. Władze wojskowe nie chcą ustąpić koszar, bo uważają naukę sztuki wojennej za ważniejszą. Przeróbka budynków i doprowadzenie ich do stanu używalności pochłonęły by ze 100,000 rb. W dodatku należałoby przedłużyć linię tramwajową o dwie wiorsty, aby chorzy i ranni mogli dojeżdżać dogodnie. O takich nakładach nie chcą nawet słuchać władze przełożone, chociaż Bogdanow o to zabiega. Najprawdopodobniej szpital zostanie podzielony, a nas poroztykają w rozmaitych instytucjach.

Warszawa została zajęta 5 Sierpnia, a Brześć poddał się bez wystrzału. Wobec tego niema co mówić o powrocie szpitala Ujazdowskiego. Jest mowa o skończeniu z nim, Bogdanow broni go w obawie utraty stanowiska, chociaż bardzo wiele różnorodnych szpitali ewakuowanych czeka na otrzymanie pomieszczenia i zaczęcia działalności.

Od początku pobytu w Smoleńsku jesteśmy zmuszeni do pracy, która polega na dyżurach w szpitalu i na dworcu. Co kilka dni jest się więc na służbie. W koszarach siedzę w swem mieszkaniu, aby być w pogotowiu na wypadek choroby lub wizytacji. Koledzy organizują partję gry w karty. Ja w tych chwilach pisuję do Was, choć mam coraz poważniejsze wątpliwości, czy te kartki dojdą do Dymśka.

Bogdanow jest zepewne przekonany, że bezczynność jest złym doradcą, bo wyszukuje pracę nie tylko dla nas, lecz i dla żołnierzy. A że prasa czarnosecinna uważa szpiegostwo za główne źródło niepowodzeń rosyjskich, wciąga on żołnierzy do tropienia szpiegów. Nie wchodzi to wprawdzie w zakres działalności sanitarno-lekarskiej. Ale kandydat do czerwonej podszewki ma nadzieję przyspieszyć w ten sposób jej uzyskanie. Żołnierzy uświadamia po prostu:—Jeżeli przyjdzie do koszar ktoś nieznan i będzie się rozpytywał o sprawy wojskowe, aresztujcie go i postawcie przedemną. Zrozumieliście?

— Toczno tak, wasze prewoschoditelstwo, — odpowiada komenda szpitalna.

— Szpieg może przebrać się za oficera, za popa, nawet generała. Nie wierzcie nikomu.

— Toczno tak, wasze prewoschod. — ryczą żołnierze.

Bogdanow jest zadowolony ze swej działalności oświecicielskiej.

I oto nazajutrz, gdy powóz, zaprzężony w parę siwków, zwiastuje przyjazd czasowo pełniącego obowiązki lekarza głównego, po złożeniu raportów zjawia się paru żołnierzy z meldunkiem:

— Wasze prewoschoditielstwo, schwytaliśmy szpiega.

— Gdzieście go pojmali, — pyta Bogdanow.

— W parowie, wasze prew..., skradał się, rozpytywał o oficerów i o pana, wasze prew., przebrawszy się za generała. Aleśmy odrazu zmiarkowali, że to szpieg.

— Przyprowadzić go do mnie! — nakazuje rozpromieniony radca stanu, który przy pierwszym zarzuceniu sieci chwycił grubą rybę. Żołnierze wiodą pod strażą generała. Bogdanow robi srogą minę, gotując się do badania, jak sędzia sprawiedliwy, nie powodujący się względami ani prywatą. Wtem pojmany przemawia:

— Michale Iwanowiczu, ci durnie wzięli mnie za szpiega. Jakiś osieł musiał ich pouczać.

Bogdanow spogląda na jeńca i z zrywa się z siedzenia: — A podlecyc, bałwany! poszli won! — woła, wyciągając ręce do serdecznego przyjaciela, wojskowego naczelnika, z którym załatwiała się do wspólnki tyle spraw poborowych. Bogdanow przeprosza generała i ubolewa nad ciemnotą żołnierzy, niezdolnych zrozumieć jego popularnego wykładu o szpiegostwie.

Żołnierze są zdezorjentowani.

Wszystko przemawiało za tem, że to był szpieg: nieznamy, rozpytywał się o oficerów, o samego lekarza głównego, nie miał wyglądu generalskiego, krył się w parowie... Czegoż więcej potrzeba? To pierwsze niepowodzenie kazało zaniechać poszukiwania szpiegów, a to tembardziej, że żołnierze narażali się ciągle na przeprawy z felczerami, którzy upodobali

sobie parów na pogawędki wieczorne z „siostrzycami”. A że przedmiotem pogawędek musiały być zagadnienia sanitarno-wojskowe, więc najbardziej patriotyczne zamierzenia Bogdanowa, aby osłonić tron od szpiegów, dały wynik ujemny.

Polaków jest w Smoleńsku podobno 40%. Ma powstać szkoła polska. Kościół katolicki znajduje się za murami miasta, jakgdyby wspomnienia z przed 300 lat były jeszcze bardzo żywe. Jestto nowy gmach w stylu gotyku—nadwisańskiego. W niedzielę nawet cmentarz był przepełniony nabożnymi. Spotykam dużo znajomych. Wszyscy są znękani, zbolali, pełni niepokoju o rodziny, pozostałe w Polsce, wyrzekają na brak mieszkań, drożyznę, głód, niewygody, choroby. Jedni musieli wyjechać z instytucjami ewakuowanymi, inni uciekli sami w popłochu. I choć są to dopiero pierwsze dni tułaczki, już marzy się o najspieszniejszym powrocie.

— I pan doktor tu? — zaczepia mnie jakaś dama. — Ach, jak się cieszył! Może mogę panu być pomocna? Pan mnie nie poznaje? Jestem matka porucznika Ślizewicza, którego pan leczył. Wdzięczna panu będę do śmierci.

— Ach, proszę pani, co za zasługi nadzwyczajne? Swoją drogą skorzystam z tego spotkania. Czy pani nie mogłaby mi ułatwić wyszukania mieszkania dla mojej rodziny?

— Jestto obecnie bardzo trudno, bo ludność Smoleńska powiększyła się od 70 do 130 tysięcy. Za najlichszy pokój biorą 25 rb, miesięcznie. Lecz panu gotowa jestem ustąpić bezinteresownie część własnego mieszkania.

— Jest to naprawdę samozaparcie. Jednak w chwili krytycznej będę może musiał prosić panią o odnajęcie jakiego kąta dla żony i dzieci.

Kolonja polska odróżnia się od rosjan. Wśród

tłumów, przechadzających się w ogrodzie miejskim, poznaje się łatwo, do jakiej narodowości kto należy.

Starożytna część miasta leży na prawym brzegu Dniepru i otoczona jest zębatym murem z cegły z licznymi strzelnicami i basztami. Napoleon miał trochę kłopotu z temi murami. Lecz dla współczesnych dział stanowią one nie większą przeszkodę, niż sztachety dla zwolenników cudzych owoców. Sędziwe te budowle rozpadają się w wielu miejscach w gruzy. Nie słyszały od 100 lat huku dział i patrząc okiem pobłażliwym na domki, które cisną się u ich stóp, pocuczają te nowoczesne budowle, iż pociski przekonały się wreszcie o niezwyciężalności murów. Zwykła uluda starcza!

Od rzeki ciągnie się pod górę główna ulica miasta, brukowana kamieniem polnym. Kamienice mają wygląd prowincjonalny: są rozrzucone nieprawidłowo, mają rozmaitą wysokość, utrzymane są niedbale. Okna przoważnie małe, bramy i wejścia ciasne i ciemne, dziedzińce brudne, brak urządzeń nowoczesnych, tumany kurzu z nigdy niezamiatanego bruku, — to cechy ogółu miast rosyjskich. Jednak parowiorstowe mury nadają Smoleńskowi specjalny urok dawności i przypominają jego rolę dziejową.

Na górze w pobliżu Dniepru wznosi się katedra. Prowadzi do niej kilkadziesiąt schodów kamiennych. Gdyby nie mizerne domki okalające, pnące się również na górę, schody wyglądałoby na kapitolijskie. Ale budowniczowie mieli na względzie jedynie cel praktyczny: ułatwienie dostania się do świątyni. O pięknie nikt tu nie myślał. O 13⁰ na północ od Rzymu jest inny nie tylko klimat, lecz i psychika mieszkańców. Świątynia otoczona jest murem, który zasłania perspektywę na okolicę, aby nabożny, który tu dotarł, zapomniał o rzeczach ziemskich i pogrążył się wyłącznie w modlitwie. A jednakże widok z góry na

Dniepr, odległe lasy, na mury miasta, wdzierające się szeregiem arkad na wzgórze, daje dużo motywów piękna.

Ścianę frontową cerkwi zdobi tablica, głosząca, że katedrę wzniesiono w 1612 r. na pamiątkę uwolnienia Smoleńska od najazdu Polaków. Po upływie trzech wieków, rachunki są jeszcze niezalutwione, chociaż Rzeczpospolita została odepchnięta na zachód i przestała istnieć.

Katedra jest duża, jak na potrzeby miasta, liczącego kilkanaście cerkwi i masę kapliczek w basztach. Chlubę tej świątyni stanowi olbrzymi ołtarz z drzewa lipowego, grubo złocony. W zakrystji są przechowywane z wielką czcią hełm i sandały metalowe Śtego Merkurego, posiadające cudowną własność „leczenia bólów głowy“. Przywdziewa się je za opłatą.

— Niepojęta jest ich siła, --- zachwyca się Erykson, kierownik oddziału psychiatrycznego, podczas rozmowy przy wspólnym obiedzie pod namiotem szpitalnym.

— Dużo jest cudów, których nie może wyjaśnić nauka, — potakuje pop.

— Nie uważamy obecnie bólów głowy za chorobę, lecz za objaw, spotykany w dziesiątkach różnorodnych chorób, — robię uwagę. — Nie można więc leczyć bólów głowy. A usuwanie poszczególnych objawów nerwowych jest dziełem sugestji, hypnozy, czyli niema w sobie nic cudownego.

— Niemożna odrzucać elementu cudowności, który spotykamy na każdym kroku, — dowodzi psychiatra, przetłomaczony świeżo z luteranizmu na prawosławje. — Oto inna osobliwość katedry: święty z głową ptaka. Miał być bardzo piękny i wodził na pokuszenie najcnotliwsze kobiety. Więc wymodlił sobie łaskę, że głowa została cudownie zmieniona.

— Takie cuda działy się często w czasach dawnych, — potakuje pop.

— Panowie nie spotykali się nigdy z orientalistyką? — zagaduję biesiadników.

— Pan chciał powiedzieć — z ornitologią, — wtrąca poważnie psychiatra.

— Nie. Mówię o badaniach nad wschodem, a nie nad ptakami, — odpowiem zdumiony, że ci ludzie nie wiedzą o symbolistyce wschodu i zadawają się poglądami gminu. Biesiadnicy słuchają moich wyjaśnień, jak powieści o żelaznym wilku. Nie mogę się też zgodzić, aby głowa ptasia świętego była nie cudem, lecz symbolem. Popa rozumiem: taki jest zakres jego myślenia. Ale psychiatra, który powinien posiadać szeroką wiedzę, aby zrozumieć chorego umysłowo, nie odróżniający orientalistyki od ornitologii. może się zdarzyć chyba w szpitalu wojskowym, gdzie te wyrazy nie przeszły nigdy przez usta chorego. Zaprawdę powiadam: jaki warjat, taki i psychiatra.

Ale okulista i neurolog w służbie wojskowej są nie lepsil Oto spotykam w muzeum miejskiem Łoktiewa i Rachmanowa. Oglądamy wykopaliska i monety. Wśród nich są i rzymskie. Radcowie stanu sądzą, że przed Chrystusem nie było monet srebrnych, złotych i miedzianych.

Zbiory muzealne są niezbyt liczne i mało dotyczą przeszłości Smoleńska. Poza mapą oblężenia tego miasta z 1612 r., będącą odbitką z miedziorytu o powierzchni 12 łokci kw., niema właściwie nic godnego uwagi. A mapa przedstawia miasto z jego murami, wieżami, wałami, fosami, poszczególne budowle wewnątrz i obozy polskie naokół, szczegóły natarcia i obrony. Autorem mapy jest jezuita. Ten dokument wskazuje, że miasto nie posunęło się o krok naprzód przez 3 wieki: nie wyrosło poza swe mury obronne,

nie zdobyło się na okazalsze budowle prócz szablonych cerkwi. Natomiast znikły dawne lasy, a zastępuje je nieskończona gąszcz krzaków leszczyny, olszyny, berberysu i krzewów karłowatych wśród moczarów i błota, gdzie pasą się krowy i unoszą roje much i komarów. Do miasta należy 1200 włók ziemi gliniastej, z której niema żadnej korzyści. O trzy wiorsty znajduje się jedyny ogród owocowy, dzierżawiony przez ogrodnika z kijowszczyzny. W mieście jest kilka ogródków, nie wystarczających na potrzeby ludności, bowiem owoce dostarczone są z południa, choć ziemia aż się prosi o drzewa owocowe.

Jest niedowiary, aby miasto z 70,000 mieszkańców nic nie wytwarzało. Zbudowano wprawdzie dwie cegielnie na potrzeby koszar. Dziś jednak są one już bezczynne, choć należałoby wystawić dużo nowych domów, a stare podtrzymać od ruiny. W mieście niema ani jednej fabryki. Poza koleją i statkami parowymi niema dowodów, że miasto żyje nie XVII lub XVIII wiekiem. Jest ono jedynie siedzibą urzędów i spokojnym zjadaczem chleba, który dochodzi tu łądem i wodą. Ba, prawda! Tramwaj elektryczny i także oświetlenie mają świadczyć, że to miasto kulturalne. Kto jednak chce oszczędzić czasu, uczyni dobrze, idąc na piechotę, ponieważ jest tylko jeden tor, a na rozjazdach tramwaje wyczekują po kilkanaście minut. Ale na co się spieszyć i do czego? Pośpiech wytwarza życie gorączkowe i prowadzi do nerwowości. Lepiej spokojnie, cicho, powolutku..

Również oświetlenie nie wysiła się nadmiernie. Oto raz jednego siedzę wieczorem na Błoniach. Raptem staje przedemną jakiś wojskowy i mówi:

— Salutuję panu, a pan nie uważa za właściwe odkłonić się.

— Daruje pan. Jest tak ciemno, że tego nie zauważyłem.

— A jednak i teraz jeszcze nie oddał mnie pan honoru. Kto pan jesteś?

— Jestem lekarz. Sam się pan przekonywa, że w takim oświetleniu trudno rozpoznać szlify, — odpowiadam natrętowi. — Z kim mam przyjemność?

— Mogę pana aresztować, — wykrzyknął nieznamy. — Jestem komendant miasta.

Wstaję z ławki. Przy bocznem oświetlaniu rozpoznaję teraz szlify generalskie i składam przed nimi wymagany ukłon, oczekując na wykonanie groźnej zapowiedzi. Ale natręt oddala się pospiesznie, zmiarkowawszy, że takie przestępstwo pociemku nie może być karalne, skoro przestępstwo po pijanemu ma w pewnej mierze ten przywilej. Dowiaduję się, że komendant jest Niemiec z pochodzenia i że jest postrachem wojskowych w Smoleńsku, niemniej niż jego rodacy na froncie. Takie postaci podtrzymują na tyłach autorytet władzy, która świeci jaśniej, niż elektryczność. Ale tego nie rozumie zwykły śmiertelnik. Należy na to mieć mózg czynownika, aby pojąć, że nieskruszone mury Smoleńska obroniły, jak mur chiński, miasto na rubleży dwu kultur od rozkładowych wpływów „zgnilego zachodu“, jak poucza dziejopis łowajski. Obrona była konieczna: nowinki z zachodu nie powinny się tu przedostawać. Poddany cara nie może rządzić się jakimiś wywrotowymi zasadami. One są źródłem nieszczęść. Musi mu wystarczyć świadomość, że Rosja jest większa i bogatsza od Europy, że jest prawosławna z wyjątkiem nielicznych inowierców, którzy powinni byli się zrusyfikować, a jeśli tego zaniechali, tem gorzej dla nich. Wszak Niemcy nadbałtyccy stali się najlepszymi Rosjanami, książęta Imeretji, Gruzji i innych plemion Kaukazu, wielu Tatarów, Czechów, Bułgarów, Rumunów zespoliło się szczerze z Rosją i zajęli w państwie stanowiska: ministrów, generał gubernatorów, gubernato-

rów, kuratorów, dyrektorów .. Tylko Polacy i Finnowie są oporni. Jednak i wśród nich są ludzie rozumni. To też wielu przeniosło się w głąb Rosji, przyjęło prawosławie i dosłużyło stopni generałów, sędziów. Oto gen. Januszkiewicz jest pomocnikiem głównodowodzącego, gen. Mrozowski — gen.-gubernatorem Moskwy, Hurko — gen.-gubernatorem Prywislanja, Jaczewski — gubernatorem Piotrkowskim, a innych dostojników trudno wyliczyć.

Tak jest. Smoleńsk był najechany przez Polaków już przed 300 laty. Musi więc walczyć z ich wpływami. Oto dziś znów go najechali, uciekając w popłochu przed Niemcami...

— Protestuję! Wyście nas wysiedlili!

— Gdyby tak, to i cóż? Osiedliliście się tu masowo, zajęliście nasze domy, zjadacie nasz chleb, podbijacie nam ceny... Czy nie łaska trochę dalej na wschód? na Sybir?

— Zatrzymaliśmy się, gdzie nakazały wasze władze. A Sybir znamy dobrze od kilku pokoleń.

— Słusznie! To miejsce zesłania dla zbrodniarzy, przestępców, zdrajców. Miejsca dość. Pomieszczą się wszyscy.

— A gdzie wy się zmieścicie, gdy Niemcy dojdą do Smoleńska?

— Smoleńsk się obroni! Ma mury warowne, które odparły Polaków, Napoleona. Odeprą i Niemców. Nie dojdą do Smoleńska. Ale dziś musi się bronić od wroga wewnętrznego...

— Od baronów nadbałtyckich, którzy pomimo prawosławia są Niemcami? Od Korfów, którzy dostali się umyślnie niedawno do niewoli z dokumentami, pieniędzmi, kosztownościami i całym majątkiem? Od Renonkampfów, których samo nazwisko wskazuje, że są zdolni tylko uciec z pola bitwy i wprowadzić woj-

ska na pola podminowane w porozumieniu z Niemcami.

— Zdraycy, przedawczyki! Najwięksi z nich to Niemcy, Polacy, żydzi...

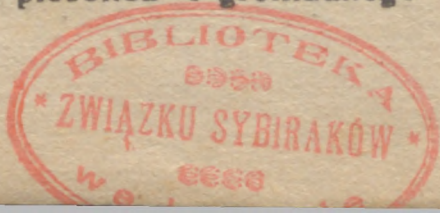
— A ja wam powiadam, wychowańcy Iłowajskiego, że największy zdrajca waszej sprawy to ucisk, który nie stworzył w tem państwie obywateli, tylko poddanych. Ta zdrada praw człowieka gubi Rosję i może ją doprowadzi i do upadku.

— Strachy na Lachy! Rosja jest wielka i potężna. Nawet w razie przegranej da sobie radę. Przegrała wojnę z Japonją. I co? Wywrotowcy przypuszczają, że zaprowadzą swoje rządy. Dano im na odczepne Dumę. A gdy chcieli ograniczyć samowładztwo cara, odstawiła posłów karetkami do więzienia, zmniejszyła liczbę Polaków od $\frac{1}{4}$ i zagroziła kołnierzem Stołypina... Pomogło!

— Czy na długo? Chłop przyjdzie kiedyś do wniosku, że i jemu się coś więcej należy, niż złożyć kości na obcym polu, za cudzą sprawę. Jeżeli ma ginąć, będzie wolał wśród swoich dla własnej sprawy.

— Buntownik, wróg! Nie rozumiesz życia rosyjskiego, nie znasz muzyka, jego dążeń i potrzeb. On nie jest ze zgniętego zachodu, gdzie każdy chce zostać bogaczem ministrem, generałem, obszarnikiem, fabrykantem, uczonym. Wystarcza mu: chałupa, koń, krowa, żona, szczy, czajok...

— „Oczyszczona”, próżniactwo... Wszak to tu zbudowaliście cerkiew na pamiątkę ustanowienia jeszcze jednego święta po za 90, które świętujecie i po za setką posłów, które odbierają wam siły do pracy. Zaciężnych, których wysyłacie stąd do boju po 3 tygodniach pobytu w koszarach, nauczyliście tylko paru piosenek i gromadnego krzyku: „zdrawja



żelajem waszem..." a nie wskazaliście im, jak mają się posługiwać bronią, jak wykonywać sztukę...

— Agitator. Przewrotowiec? Bóg osłoni człowieka prawosławnego...

— A mało ich poległo? Niedość jest wołać: „hospodi pomiluj!” i bić pokłony. Gdzie w waszym życiu jest poszanowanie prawa, dążność do doskonalenia się? Wasza kobieta jest niewolnicą, a nie żoną i matką. Dziecko zaprawia się do próżniactwa, kłamstwa, nadużyć. A wy sami gnuśniejecie w bezczynności. Tylko w święto rąbacie drzewo na opał i malujecie dachy...

— Oszczęstwo, potwarz! — woła Smoleńsk, zatopiony w półmroce.

Smoleńsk

18 sierpnia 1915 r.

Zupełnie niespodziewanie dostaję nakaz wyjazdu do Mińska na wezwanie inspektora gen. Zawadzkiego. Prócz mnie jest jeszcze pięciu kolegów, nie należących do kliky, którzy mają się tam udać. Zaczyna się rozdzielanie szpitala. Może to i dobrze, iż jestem w pierwszej partii!

Wyruszamy wieczorem. Pociąg jest przepelniony. Nad rankiem docieramy do Mińska, gdzie na stacji oczekują tysiące uciekinierów.

Zawadzki przybywa do urzędu dopiero koło południa. Składamy więc raporty i udajemy się do miasta. Odszukuję jedną z pacjentek, która prosiła, aby ją odwiedzić przy okazji. Mieszka ona przy głównej ulicy w pobliżu dworca. Przez szereg dziedzińców docieram do małej oficynki drewnianej, w której pani W. zajmuje 4 pokoiki; dwa z nich są odnajęte, jednak gotowa jest zapewnić mi nocleg, a nawet przyjąć i kolegę B. Jestto wielka zdobycz, bo o mieszkanie w hotelu jest bardzo trudno.

Koło 11-ej zbieramy się w kancelarji inspektora. Niema go jeszcze, a interesantów czeka moc. Wreszcie zajezdza wspaniały samochód, z którego wysiada generał. I na cóż ci było, przewoschoditelstwo, przymilać się do powozu i siwków ujazdowskich? Czyż nie lepiej w aucie?

Czekamy jeszcze z godzinę, aż załatwi osoby wyżej postawione. Wreszcie przyjmuje nas bardzo serdecznie.

— Moi kochani Ujazdowcy! Bardzo się cieszę, że was widzę. Pamiętam wszystkich, choć blisko rok upływa. — To mówiąc dopytuje się o nasze nazwiska i przypomina, gdzie który pracował, jednak fantazją nie może dosztukować pamięci, bo tylko trzech z nas pracowało w Ujazdowie od początku, a reszty Zawadzki nie widział nigdy. Siwizna i łysiny rozstrzygają o naszym losie.

— Żądałem od Bogdanowa przysłania trzech młodych lekarzy, a panowie jesteście staruszkowie, których nie mogą użyć do przyrządzania opasek przeciwczerwotnych.

— Dr. Bogdanow nie liczy się z wiekiem, tylko ze stanowiskiem, — wtrącam. — Młodszy ordynator jest dla niego to samo, co młody lekarz.

— Panów szkoda do takiej roboty. Wracajcie. Polecę, aby was skierowano do miejscowego lazaretu, — powiada, podając nam prawicę na pożegnanie.

Wracamy więc znowu pod władzę Bogdanowa. Przejechaliśmy po 600 wiorst, doznawszy niewygód i powiększając zamęt. Ale to drobnostka. Wszak miałem pacjenta, którego sprowadzono do Warszawy z Władywostoku. Uznałem go za zupełnie niezdatnego do służby wojskowej, chociaż można to było zrobić w miejscu jego zamieszkania, nie narażając skarbu na duże wydatki, a chorego na podróż trzymiesięczną.

Po załatwieniu spraw urzędowych poszliśmy na obiad do pierwszorzędnej restauracji za wskazówką lekarza policyjnego, Homienki, który rezyduje czas dłuższy w Mińsku. Jadłodajnia prowadzona jest wystawnie. Jednak nie jest dostępna dla lekarzy wojskowych, chyba dla pewnych specjalistów podczas poboru. Zadowolony się porcją mięsa, pozostawiłem resztę kolegów przy stole, a sam wyruszyłem na zwiedzanie miasta.

Przypomina ono prowincjonalne miasta rosyjskie. Rozrzucone na dużej przestrzeni poprzecinane jest paru długimi ulicami i szeregiem małych, wązkich zaułków, w znacznej mierze niebrukowanych. Domy są przeważnie piętrowe, położone w ogródkach; brud i wyziwy spotyka się na każdym kroku. Na rynku wznosi się starożytna katedra, na którą patrzą jaskrawo wymalowane cerkwie, jak mój konsulant na mnie. Dwie kultury ścierając się na rynku: wschód ma wszelkie przywileje władcy, zachód powołuje się na swe zasługi dziejowe.

Drugi kościół katolicki jest w stylu gotyku nadwiślańskiego. W porównaniu z katedrą traci on pretensjonalnością drobnomieszczańską.

W Mińsku jest niewiele do zobaczenia poza ogrodem i paru gmachami. Puszczam się więc na wycieczkę poza miasto, a wieczorem zgłaszam się do mej pacjentki, aby ją pożegnać i podziękować za obiecaną gościnę. Dowiaduję się tu, że ludność Mińska podwoiła się w ostatnich miesiącach, że brak przedmiotów pierwszej potrzeby, że się zanosi na głód.

— A co będzie dalej? — pyta pani W. — Jeżeli Niemcy zbliżą się do miasta, nikt nie ucieknie stąd. Czy nie lepiej zrobić to zawczasu?

Strategicy dowodzą, — mówię, — że poza Brześć

Niemcy nie posuną się prędko. Zresztą mają do przebycia błota Pińskie.

— Dla nich niema przeszkód. Posuwają się błyskawicznie. A Mińsk to kąsek łakomy. Ile tu jest bogactw wszelkich: zboża, bydła, maszyn, miedzi, srebra...

Staruszka rozwodzi się nad zasobami miasta rodzinnego, poza którym widziała niewiele. Powiadam więc: — Warszawa była chyba bogatsza?

— Gdzie tam! Cóż, że domy większe i sklepy szykowniejsze. Tego się nie ukąsi.

— Tak samo rozmawiali niedawno jeszcze warszawiacy, uważając swe miasto za kąsek łakomy i nie wystawiając sobie, coby się stało ze światem, gdyby Niemcy tu wkroczyli. Jednak rzeczywistość orzekła, że takie koleje dziejowe są możebne, a ruch ziemi nie zmieni się i słońce nie wstrzyma się w biegu, jak przy zdobyciu Jerycha przez Jozuego.

Późnym wieczorem wracam na dworzec. Główna ulica jest już pusta. Nieliczni przechodnie spieszą, jakgdyby w obawie, że za chwilę ukaże się cepelin i zacznie rzucać bomby. Tylko na skwerze kręcą się grupki wypoczywających i pary, mające dużo sobie do powiedzenia.

Na stacji panuje ścisk. Pociągu, który miał przybyć przed pięcioma godzinami, jeszcze niema. Mówiono, że był ostrzelany i jeżeli nadejdzie, będzie to ostatni, którym można uciec. Kasa odmawia sprzedaży biletów; zdenerwowanie czekających powiększa się stopniowo, jak gdyby zbliżała się chwila przełomowa. A jednak dość jest odejść o kilka kroków od dworca, aby ujrzeć noc, wyiskrzoną gwiazdami, i wsłuchać się w ciszę, zapewniającą, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Na stosie pakunków śpi dwoje dzieci, jedno zwinęte w kłębek, drugie rozłożone na wznak, że zwieszko-

ną głową w dół. Te dzieci mówią że noc jest okresem wypoczynku, wobec którego ustępują inne sprawy. Szczęśliwy jest wasz wiek: czerpicie wskazówki z prawodastwa przyrody; jeszcze nie podporządkowano was prawu człowieka. Oto sygnalizują pociąg. Matka budzi dzieci, aby były gotowe. Gdzie tam! Chłopiec zwrócił twarz ku gwiazdom i nie daje wyprowadzić się z tego położenia. Dziewczynka zwija się, jak wąż, Trzeba je wnieść na równi z bagażem do wagonu.

Świta. Ruszamy. Kto dostał miejsce choćby w korytarzu, rad jest, że się wydostał z zagrożonego miasta. A może za kilka godzin, gdy słońce oświetli widnokreśli będziesz, uciekinierze, wyrzekał i rozpaczał, żeś opuścił lekkomyślnie ognisko domowe, gdzie je dnie mogłeś żyć spokojnie i pracować wytwórczo?

28 Sierpnia 1915,

Niebawem po powrocie z Mińska zostaliśmy skierowani do miejscowego lazaretu. Niedawno podlegał on rewizji Bogdanowa, który wykrył tysięczne uchybienia. To też dostaliśmy polecenie, aby zaprowadzić tam porządek Ujazdowski.

Co rano chodzę teraz przez parów i miasto na drugą stronę Dniepru, gdzie na górze Pokrowskiej znajduje się lazaret pośród cienistego ogrodu. Koledzy, jadąc tramwajem, zjawiają się o kilkanaście minut po mnie, ja zaś zużywam na tę przechadzkę 50 minut. Tylko podczas deszczu korzystam z tramwajów, bo wchodzenie na gliniaste góry jest bardzo uciążliwe.

Lekarz główny lazaretu, Wierbicki, jest siwy staruszek, z pochodzenia Polak, ma żonę mówiącą niezłe naszym językiem, wielbiciel naszego piśmiennictwa. Ma on jeszcze jedną cechę polską: osiedli go i wo-

dzą za nos żydzi, jak pachciarze dziedzica, a to go naraża na rozmaite przykrości.

Na pierwszym posiedzeniu szpitalnem ujawniła się ta zależność od trzech lekarzy żydów. Chcieli, oni zwalić na nas wszystkie obowiązki, zwłaszcza dyżury. Broniełem się przeciw tym zamachom. Jednak narzucano nam dyżury wbrew naszej woli. Podczas narady wniesiono samowar. Lekarze miejscowi zaopatrzyli się coprędzej w herbatę, nie zwracając na nas uwagi. Starał się naprawić to dr. Wierbicki, lecz wszystkie szklanki były już zajęte.

Lazaret przedstawia wielkie braki pod względem urządzenia i opieki lekarskiej. Zwalnianie z wojska i dawanie urlopów odbywa się niewłaściwie. Wbrew moim orzeczeniom pisemnym zmienia jeden z lekarzy kwalifikacje, a dr. W. podpisuje uchwałę. Podczas jednej komisji oświadcza mi lekarz F.:

— Kolega będzie dziś u nas pisarzem. Proszę pisać w książce, co podyktuję.

Chociaż wygląda mi to dziwnie, siadam do roboty. Dwaj pierwsi chorzy przechodzą bez zastrzeżeń. Trzeci, młody żyd, zostaje uznany za niezdatnego do wojska z powodu braku zębów. Oponuję:

— To może być przypadek sądowy. Nie podpisuję takiej uchwały.

— Kolega nie potrzebuje podpisywać, tylko zapisać do książki.

— To wszystko jedno. Jeden z naszych felczerów dostał się pod sąd, ponieważ akt był spisany jego ręką.

— Proszę pisać, co dyktuję, — komenderuje młody żydek F.

— Darujecie koledzy. Nie na to jestem 23 lata lekarzem, abym miał pisać dyktando, na które nie mogę się zgodzić. Piszcie sami.

Zawrzało. Sprawa oparła się o lekarza g e-

go, u którego spędziłem poprzedni wieczór w jego kole rodzinnem wyłącznie polskiem na miłej pogawędce. Poruszaliśmy tam rozmaite bolączki naszej ojczyzny. Opowiadałem i o nagance, którą urządzano na mnie. Wierbicki zdawał się podzielać pogląd, że Żydzi wywierają wpływ ujemny na nasze stosunki. Byłem więc zaskoczony, gdy stanął po stronie moich przeciwników. Czy jest z nimi w porozumieniu, czy tylko wierzy im bezkrytycznie? To pewne, że go skompromitują.

Koło 1-ej wracam do koszar na obiad z trzech potraw: zupy, pieczystego (często prosię) i leguminy. Kosztuje to 60 kop, czyli tanio, jak na stosunki smoleńskie. Pogawędki przy obiedzie są zwykle denerwujące. Nie mogę zdobyć się na rozmowę po rosyjsku i na basowanie radcom stanu. Trzymam się więc swego kółka.

Od paru tygodni nie mam od was listów. Po upadku Brześcia nie możecie pozostać w Dymsku. Wysłałem telegram terminowy z żądaniem, abyście wyjechali bezzwłocznie. Pozostaw wszystko, ale wyjedź z dziećmi. Tu chodzi o życie. Armja rosyjska niema już oparcia. Musi cofać się pospiesznie. To znaczy, że ludność jest wysiedlana przymusowo, a wsie, dwory i zbiory są palone.

Dowiaduję się, że poszukują lekarza na pobór do Kobrynia. Zgłaszam swą kandydaturę, licząc na to, że zajadę do was. Lecz o to zjawia się drugi kandydat, lekarz policyjny. NK., zajmujący się dentystryką. Proszę go, by nie przeszkadzał mi w ratowaniu was od grożącego niebezpieczeństwa.

Napróżno!

— Siedzę beczynnie cały miesiąc, — odpowiada NK. — Trzeba coś zarobić.

Gotów jestem wynagrodzić mu korzyści straco-

ne, choć nie umiem określić ich wysokości. Jednak i to zawodzi.

— Zmarnował pobór w I., — mówił K. o koledze B., — który nie dał się uwikłać zgrai pośredników i faktorów, przygotowanych do dawania łapówek za zwolnienie od wojska.

„Zmarnował pobór“. Ile cynizmu jest w tych słowach! W czasach, gdy leją się łzy i krew, mogą być lekarze Polacy, patrzący na pobór okiem rewirowego, wężącego zyski nieprawne.!

Znam N. kilkanaście lat. Był to skromny lekarz, dorabiający się na dentystyce. Powołano go na wojnę japońską. Zostawił w trudnych warunkach młodą żonę i syna. Ale niebawem stosunki się zmieniły: Słomiana wdowa spędziła lato w Zakopanem, potem kształciła się we Włoszech w śpiewie i... Mąż po powrocie został lekarzem policyjnym, zdobywał rangi, odznaczenia, robił majątek. A żona uczyła się śpiewać we Włoszech. Po dwu latach, zwątpiwszy o karierze artystycznej, porzuciła na śpiewaniu przy kołysce drugiego syna. Małżonkowie wyglądali na dobraną parę. Dopiero wojna wskazała, że nie wszystko jest tam kryształowe.

28 Sierpień 1915.

— Otworzyć!—wołają za drzwiami.

— Kto tam?—pyta Stanisław, zbudzony o 5-ej rano.

— Telegram!

Biegnę coprędzej. czytam: „Łuniniec. Jedziemy dwa dni, Jadwiga“. Skaczę z radości. Łuniniec! Poza sferą działań wojennych od wczoraj! Moja kochana żono, moje kochane dzieci. Jedzicie. Nie grozi wam już śmierć od kul i kozaków. Będziemy znów razem... Teraz na zawsze!

— A nie mówiłem,—odzywa się kolega B. przewracając się na drugi bok.—Poco było niepokoić się tyle czasu?

— Widzi pan doktor,—mówi Stanisław, przecierając zaspane oczy,—że Pan Bóg czuwa nad bezbronnymi.

Nie splemam się o koncepcję, lecz wyliczam, kiedy możecie przybyć. Z Łunińca na Homel albo Baranowicze. Druga droga bliższa, ale czy będzie wolna? Najpóźniej za trzy dni powinniście przyjechać. Drogę macie ciężką, narażeni jesteście na masę trudności i niebezpieczeństw. Ale... zdala od kozactwa!

W południe dostajemy nakaz, aby się gotować do drogi do Moskwy. Koszary zajmie generał Daniłow. A my do stolicy... Znowu przewożenie majątku, pociągi sanitarne. Zapisuję się do ostatniej partji, aby się nie rozmiąć z Wami.

31 Sierpień 1915.

Telegram z Orszy. Jesteście blisko. Dziś powinniście przybyć! Jadę na dworzec, czekam, szukam. Przeszło parę pociągów z wygnańcami. Siedzą w wagonach towarowych na tłomokach, zmęczeni, strapieni, beznadziejni. Zbiedzone dzieciaki płaczą, leżąc na podłodze. Moja ty, Donusiu, powiedziałaś słusznie: „niemiec nie niemiec, a dziecku jeść dać trzeba“. Może dziś i tobie przymawiają od włóczędzów, tułaczów!

— Skąd jesteście?—pytam jedną babę o wyglądzie poleskim.

— Z za Brześcia. Jedziemy już 10 dni. Nie wiemy dokąd nas wiozą.

Spotykam włościan z Kobryńskiego. Opowiadają straszne rzeczy. Wszystko poszło z dymem. Wysiedleńcy dostali się w sferę ognia działowego. Wie-

le rodzin zostało rozdzielonych. Matki pogubiły dzieci. Wiele ludzi chorowało i pomarło...

Zbliża się nowy pociąg z Orszy. Chorzy, ranni, jeńcy. Was niema i nikt nie umie powiedzieć, kiedy przyjedziecie.

Oto jeszcze pociąg z taborem wojskowym. Kilkanaście platform z samochodami, wozy dwukołki, jaszczyki, naboje, pociski, zaprzęgi, szyny, mosty, maszyny, słowem wszystko, co można wywieźć!

Koło południa zostawiam Stanisława na warcie, a sam zachodzę do p. Ślizewiczów. Niebawem wracam. Stanisława niema. Przyszedł pociąg wojskowy. Przeciskam się przez tłum. Wtem dochodzi mnie głos:—tatuś, tatuś! Grażyna spostrzegła mnie pierwsza. Rzucamy się sobie w objęcia. Jesteście zmęczeni, zbrudzeni, może chorzy, głodni, ale żywil Aldonka stoi z boku, jakby zawstydzona, ale po chwili rzuca mi się na szyję: Tatusiek! Szczęsny i Halina nie odstępują mnie na chwilę, a Ty, moja droga, oświadczasz:—Przywożę ci dzieci żywe i zdrowe. Zajmij się niemi teraz.

— Moja kochana, cóż mam ci odpowiedzieć? Wojna oszczędziła nas, bo zachowaliśmy życie tych, których pragniemy wychować na dobrych obywateli kraju. To jest, dzieci nasze, największa troska waszych rodziców. Nie zawiedźcież więc naszych nadziei. A jeśli z czasem te listy, pisane do waszej Matki, wpadną wam do rąk, zrozumiecie, czemu wasi rodzice nie zabiegali ani o dostojność, ani o powodzenie, ani o bogactwo, czemu płynęli nieraz w życiu pod prąd, chociaż z prądem było płynąć łatwiej i korzystniej. Dzięki pieczołowitości Waszej Matki dwoje z was uniknęło śmierci w zaraniu życia. Dziś Jej energia i wytrwałość ratuje was wszystkie od zagłady. Te wysiłki nie powinny pójść na marne. Nie dla siebie was chowamy i nie dla waszego

szczęścia. Wszak i sami woleliśmy kroczyć po drodze kamienistej, niż jechać wygodnie po bitym gościńcu.

Przed nami jest tułaczka. Ile czasu potrwa nie zdołamy dziś tego przewidzieć. To pewna, że będzie ciężka i przykra.

Jednak nasi dziadowie przetrwali Sybir i pozostali Polakami. Żydzi przeszli diasporę po upadku Jerozolimy, skąd niedobitki rozproszyły się po świecie, jednak zachowali w ciągu 2000 lat swe cechy właściwe. Łączyła ich wiara, że są narodem wybranym, który musi odpokutować za bałwochwalstwo, bo Pan jest zawistny, lecz czasem daruje im grzech odwrócenia się od Jego oblicza i zakonu. Nas w naszej diasporze łączy ukochanie ziemi ojczystej, gdzie ojcowie przeżyli tysiąclecie. I choć ta ziemia jest od 1½ wieku pod przemocą trzech rozbiorów, wierzymy, że wróci do nas i że znów na niej sami rządzić się będziemy.

W naszym rozproszeniu pozostał nam jeden łącznik. Jest nim nasza mowa. A strzeżmy tego talizmanu wśród różnojęzycznych ludów, z jakimi zetknie nas tułaczka. Tę mowę stworzyli nasi wieszczowie w okresie upadku i niewoli narodu. Po tej mowie poznamy siebie nawzajem na niezmiernych przestrzeniach Rosji. Ona też „nas powróci cudem na Ojczyzny łono“...

Zamykam pierwszą księgę naszych przeżyć. Gdy spojrzę na ten rok ubiegły, zda mi się, że to jedna chwila, ot taka powszednia, choć ileż to razy zdawało się, że się jej nie przeżyje! Ukoiciel — czas rzucił na tę przeszłość mgłę zapomnienia, z której wynurzają się dziś tylko pojedyncze zarysy. A są one cenne. Z nich odtworzy się kiedyś przeszłość minioną.

I to, co jest przed nami, kryje się we mgłę. Oko przeszyć jej niezdolne. Lecz nie jest to tylko otchłań

tajemniczości. Ta droga prowadzi do lepszej przyszłości, jeśli nie naszej osobiście, to przynajmniej Narodu naszego. Zbierajmy ślady na tej drodze, abyśmy ją umieli czasami odnaleźć. Te ślady — to nasze przeżycia. Musimy je nizać jak perły na nić, z której powstanie wspaniały sznur. Bez niej są one tylko gromadką bezładną, której wartość oceni handlarz, dbały o zysk.

Przejścia wojenne winny pozostać Wam, dzieci moje, w pamięci na całe życie. Ponieważ jednak tylko Szczęsny umiałby je dziś zapisać, lecz nie zdradza do tego ochoty, a córeczki nie władają jeszcze dostatecznie piórem, postanowiłem wyręczyć Was w tej pracy. Nie będą to już wasze, lecz moje przeżycia. Jednak na tę nić nawleczcicie i wasze paciorki, po których czasami odszukacie siebie.

Przed naszymi oczami przesuwają się szeregi obrazów, na które każdy patrzy inaczej: dla jednych są one powszednie i ciche, dla innych — pełne znaczenia, bo stanowią tło, na którym tworzy się całość przyszłych dziejów.

Pamiętnik naszej tułaczki nazwałem: Diaspora, czyli po grecku rozproszenie. Wygnał nas Mus na niezmiernie przestronne Rosji, jak wyganiał naszych przodków od półtora wieku, kiedy Polak musiał wędrować po całej ziemi. Po upadku Polski zdobywały Legiony sławę na obczyźnie i podtrzymywały ducha rycerskości w narodzie, przelewając krew za obcą sprawę. My w naszej tułaczce pracować będziemy w obcym środowisku, dla obojętnych celów, zdobywając dla siebie tylko odporność i hart, z którymi winniśmy wrócić do kraju.

Na wygnaniu nauczymy się skromności wymagań. Tę zdobycz zastosujemy w Ojczyźnie. A będzie to czynnik doniosły przy odbudowie kraju, któremu potrzebny jest bardziej dom niż pałac, zboże — niż

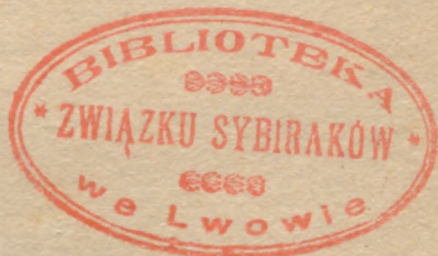
kwiaty, koń roboczy — niż wyścigowiec, woz — niż kareta, płótno — niż jedwab, woda — niż wino. Dzięki brakom i wyrzeczeniu się przyzwyczajzeń zbliżymy się do ludzi i klas upośledzonych bardziej, niż przez uprzednią działalność oświatową i dobroczynną. W ten sposób stanowość i klasowość tracą oporę. Z tułaczki możemy powrócić bardziej zdemokratyzowani, niż to dało się osiągnąć w kraju pod wpływem gromkich haseł i agitacji partyjnej.

Nie wiemy, jak ułożą się sprawy naszej Ojczyzny. To pewna, że wielu dowie się dopiero na obczyźnie, czym jest dla nich ziemia, którą opuścili.

Jeżeli wrócimy z tułaczki z temi zdobyczami, to nie stracimy czasu nadaremnie. Mamy przed sobą jeszcze morze cierpień, walk, niedoli. Uzbrójmy się w cierpliwość i męstwo! I wy, dzieci moje, wyrzec się musicie uciech, do których uprawnia wasz wiek. Trudno! Jesteście dziećmi wojny. Niech ona wybije swe piętno. Pożoga ogarnia w jednakiej mierze stodołę, jak galerję dzieł sztuki. Nigdy jeszcze życie nie żądało tyle hartu, co dziś.

Śmiało! Ruszamy w nowe życie. Bacność! Naprzód!

KONIEC.



tajemniczości. Ta droga prowadzi do lepszej przyszłości, jeśli nie naszej osobiście, to przynajmniej Narodu naszego. Zbierajmy ślady na tej drodze, abyśmy ją umieli zczasem odnaleźć. Te ślady — to nasze przeżycia. Musimy je nizać jak perły na nić, z której powstanie wspaniały sznur. Bez niej są one tylko gromadką bezładną, której wartość oceni handlarz, dbały o zysk.

Przeżycia wojenne winny pozostać Wam, dzieci moje, w pamięci na całe życie. Ponieważ jednak tylko Szczęsny umiałby je dziś zapisać, lecz nie zdradziłby

nie władają jeszcze wilem wyręczyć Was wasze, lecz moje przeżycie i wasze paciorki, siebie.

przesuwa się szereg inaczej: dla jednych innych — pełne znaniem tworzy się całość

nazwałem: Diaspora, Wygnał nas Mus na niejak wyganiał naszych Polak musiał wędrować zdobywały Legjony słały ducha rycerskości za obcą sprawę. My dziemy w obcym środowisku zdobywając dla siebie i innymi wró-

ę skromności wymagać Ojczyźnie. A będzie w owym kraju, któremu pałac, zboże — niż

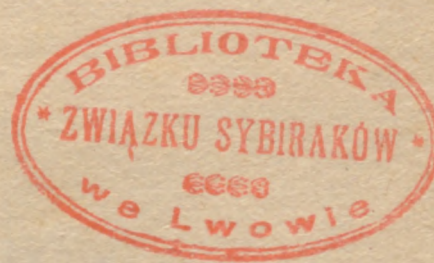
kwiaty, koń roboczy — niż wyścigowiec, woz — niż karetka, płótno — niż jedwab, woda — niż wino. Dzięki brakom i wyrzeczeniu się przyzwyczajęń zbliżymy się do ludzi i klas upośledzonych bardziej, niż przez uprzednią działalność oświatową i dobroczynną. W ten sposób stanowość i klasowość tracą oporę. Z tułaczki możemy powrócić bardziej zdemokratyzowani, niż to dało się osiągnąć w kraju pod wpływem gromkich haseł i agitacji partyjnej.

Nie wiemy, jak ułożą się sprawy naszej Ojczyzny. To pewna, że wielu dowie się dopiero na obczyźnie, czym jest dla nich ziemia, którą opuścili.

Jeżeli wrócimy z tułaczki z temi zdobyczami, to nie stracimy czasu nadaremnie. Mamy przed sobą jeszcze morze cierpień, walk, niedoli. Uzbrójmy się w cierpliwość i męstwo! I wy, dzieci moje, wyrzec się musicie uciech, do których uprawnia wasz wiek. Trudno! Jesteście dziećmi wojny. Niech ona wybije swe piętno. Pożoga ogarnia w jednakiej mierze stodołę, jak galerję dzieł sztuki. Nigdy jeszcze życie nie żądało tyle hartu, co dziś.

Śmiało! Ruszamy w nowe życie. Bacność! Naprzód!

KONIEC.



Biblioteka Główna UMK



300044255420

GDANSKI
ANTYKWARIAT NAUKOWY
A. KRZYWICKI
Gdańsk - Wrzeszcz, Marchlewskiego 15

Z. 244/50

38

254723

Biblioteka Główna UMK



300044255420